

z.783980

W aurze Opinogóry

Bożena Królik – kartki z pamiętnika



W aurze Opinogóry

Bożena Królak – historia z pamięci

730080

Z. 783980

205-86-22

W aurze Opinogóry

Bożena Królik – kartki z pamiętnika...

Opinogóra 2021

Ex 13/2022

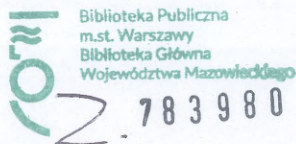
00 38/1

Opracowanie wydane ze środków samorządu gminy Opinogóra Górna
w związku z obchodami 30-lecia samorządu terytorialnego w Polsce



Współwydawca
Ciechanowskie Towarzystwo Naukowe
Towarzystwo Miłośników Opinogóry

Redakcja, opracowanie graficzne, słowo wstępne:
Zbigniew Ptasiwicz



Projekt okładki:
Piotr Królik

© Copyright by Bożena Królik
© Copyright by Urząd Gminy w Opinogórze Górnej
© Copyright by Ciechanowskie Towarzystwo Naukowe

Wszelkie prawa zastrzeżone. Każda reprodukcja lub adaptacja całości bądź części niniejszej publikacji, niezależnie od zastosowanej techniki reprodukcji (drukarskiej, fotograficznej, komputerowej i in.), wymaga pisemnej zgody autorki i wydawcy

Wykonanie na zlecenie wydawców:

Oficina Wydawnicza ASPRA-JR
e-mail: oficina@aspra.pl
www.aspra.pl
Unikatowy Identyfikator Wydawnictwa 44900

ISBN 978-83-936238-5-3

Objętość: 9,2 ark. wyd.

Spis treści

1. Wstęp
2. Północna Europa
3. Północna Europa
4. Północna Europa
5. Północna Europa
6. Północna Europa
7. Północna Europa
8. Północna Europa
9. Północna Europa
10. Północna Europa
11. Północna Europa
12. Północna Europa
13. Północna Europa
14. Północna Europa
15. Północna Europa
16. Północna Europa
17. Północna Europa
18. Północna Europa
19. Północna Europa
20. Północna Europa
21. Północna Europa
22. Północna Europa
23. Północna Europa
24. Północna Europa
25. Północna Europa
26. Północna Europa
27. Północna Europa
28. Północna Europa
29. Północna Europa
30. Północna Europa
31. Północna Europa
32. Północna Europa
33. Północna Europa
34. Północna Europa
35. Północna Europa
36. Północna Europa
37. Północna Europa
38. Północna Europa
39. Północna Europa
40. Północna Europa
41. Północna Europa
42. Północna Europa
43. Północna Europa
44. Północna Europa
45. Północna Europa
46. Północna Europa
47. Północna Europa
48. Północna Europa
49. Północna Europa
50. Północna Europa
51. Północna Europa
52. Północna Europa
53. Północna Europa
54. Północna Europa
55. Północna Europa
56. Północna Europa
57. Północna Europa
58. Północna Europa
59. Północna Europa
60. Północna Europa
61. Północna Europa
62. Północna Europa
63. Północna Europa
64. Północna Europa
65. Północna Europa
66. Północna Europa
67. Północna Europa
68. Północna Europa
69. Północna Europa
70. Północna Europa
71. Północna Europa
72. Północna Europa
73. Północna Europa
74. Północna Europa
75. Północna Europa
76. Północna Europa
77. Północna Europa
78. Północna Europa
79. Północna Europa
80. Północna Europa
81. Północna Europa
82. Północna Europa
83. Północna Europa
84. Północna Europa
85. Północna Europa
86. Północna Europa
87. Północna Europa
88. Północna Europa
89. Północna Europa
90. Północna Europa
91. Północna Europa
92. Północna Europa
93. Północna Europa
94. Północna Europa
95. Północna Europa
96. Północna Europa
97. Północna Europa
98. Północna Europa
99. Północna Europa
100. Północna Europa

Cieniom Tych, którzy odeszli...

Spis treści

Wprowadzenie	9
1. Tylko na dwa lata	13
2. Pierwsze lata w Opinogórze	19
3. Truskawki dla Pani Mieci	25
4. Nasi „miejscowi” i... Japończyk w Opinogórze	29
5. Parkowe krowy i... punkt skupu królików	35
6. Konno do Opinogóry	39
7. Pamięci Edwarda Krasińskiego	45
8. Historia jednej rodziny	51
9. Przy mężu... na własny rachunek	57
10. Powrót Cesarza	61
11. Zakonnik z Maria Laach	65
12. Za kawałek sznurka do Ravensbrück	69
13. Szulmierska przygoda	75
14. Historia jednego eksponatu	79
15. Urodziła się po to, żeby śpiewać	83
16. Powrót wieszczka	87
17. Kawaler bon vivant	93
18. Głód niezaspokojony	99
19. Z Opinogóry do Wilna	103
20. Requiem dla Ireny	115

21.	Złota szabla porucznika	119
22.	Hekatomba Warszawy	125
23.	Wiem, dokąd pójdzie moja dusza	131
24.	Ostatni lot	135
25.	O dwóch niedźwiadkach	139
26.	Świetliki nad Pajewem	143
27.	Patrzeć sercem	147
28.	Przy kawiarnianych stolikach... ..	151
29.	Pamięci ojców naszych	155
30.	Mówić głośno	159
31.	Nigdy więcej...!	165
32.	Zakląć rzeczywistość	169
33.	Z Żelazowej Woli do Opinogóry	175
34.	Nie wszystek umrę.....	181
35.	Krymska przygoda, czyli historia jednej wystawy	189
36.	Wspomnienia jak duchy... ..	193
37.	Iść na groby.....	199
38.	Tadeusz Drozd. Kapłan dobrej nadziei... ..	201
39.	Dotyk ducha miejsca	207
	Fotografie z Opinogóry.....	213

Wprowadzenie

Redakcja kwartalnika „Gazeta Opinogórska”, której wydawcą oraz sponsorem od 25 lat jest samorząd gminy Opinogóra Górna, prezentuje kolejne wydawnictwo, będące zbiorem opracowań publikowanych cyklicznie na łamach tego pisma. Pierwszym był zbiorek znakomitych felietonów pod tytułem *Widziane z Opinogóry* autorstwa pana Henryka Przygodzkiego, dziś już emerytowanego rolnika, spółdzielcy, byłego posła na Sejm. Niniejszy – stanowi zbiór niezwykle interesujących wspomnień pani Bożeny Królik, która 60 lat temu przyjechała do Opinogóry wraz z mężem Januszem, który objął wówczas funkcję dyrektora miejscowego muzeum, znanego dziś w Polsce i poza jej granicami Muzeum Romantyzmu.

Autorka różne notatki, zapiski na marginesach, fotografie i inne materiały dotyczące ważniejszych zdarzeń ze swojego życia w Opinogórze zaczęła gromadzić już pod koniec lat 60. XX w. Związane były oczywiście w dużym stopniu – bezpośrednio lub pośrednio – z pracą jej męża Janusza Królika w opinogórskim muzeum. Bo, jak sama mówiła, praca zawodowa męża była przez wiele lat integralną częścią ich życia osobistego. Do tego stopnia, że trudno było czasem te dwie sfery oddzielić. Również dlatego, że przez ten czas mieszkali wraz z rodziną na terenie muzealnego kompleksu. Ale gromadzone materiały dotyczyły też wielu zdarzeń ważnych dla niej osobiście, związanych z najbliższą rodziną, przyjaciółmi, znajomymi. Zdarzeń, do których miała szczególnie, emocjonalny stosunek, lub takich, które odegrały wyjątkową rolę w jej życiu osobistym.

Potrzeba gromadzenia różnych pamiątek – przede wszystkim rodzinnych fotografii i dokumentów – pojawia się u większości z nas. Uzasadnienia takich działań są typowe: – bo po latach przyjdzie nieuchronnie czas wspomnień i życiowych refleksji, bo o coś zapytają dzieci, wnuki, bliscy znajomi itp. Ale czasem bywa też tak, że te gromadzone przez lata pamiątki dotyczą również zdarzeń z udziałem ludzi wyjątkowych, ważnych nie tylko dla nas czy lokalnych społeczności, ale znanych i cenionych w szerszej skali. Ludzi kultury, nauki, sztuki, którzy w różnych okolicznościach i w różny sposób pojawiali się w naszym życiu. Wtedy te pamiątki nabierają szczególnego kolorytu i mogą się stać bardziej interesujące nie tylko dla osób najbliższych. Tak było właśnie w przypadku autorki tych wspomnień. Żyjąc i pracując przez ponad pół wieku w miejscu magicznym, odwiedzanym przez bardzo wielu takich wyjątkowych

ludzi, zgromadziła liczne materialne pamiątki z ich pobytów w Opinogórze a także osobiste notatki dotyczące tych zdarzeń. Rodzina a także bliscy znajomi zachęcali ją od dawna do wykorzystania tych materiałów oraz notatek i pisania wspomnień, ale długo nie dała się do tego namówić. Publikowaliśmy wprawdzie jeszcze w latach 90. pojedyncze teksty jej autorstwa, ale były to głównie relacje z różnych bieżących wydarzeń, czasem wywiady z interesującymi mieszkańcami gminy.

Przed kilkunastu laty poprosiłem panią Bożenę, aby spróbowała – w formie swego rodzaju kartek z pamiętnika – przygotować swoje wspomnienia do publikacji w „Gazecie Opinogórskiej”. Tak powstał interesujący cykl, prezentowany pod ogólnym tytułem *Duch miejsca*. Stał się dość szybko przedmiotem dużego zainteresowania nie tylko miejscowych czytelników, ale również bardzo wielu ludzi spoza gminy, do których dotarło nasze pismo. Okazało się, że pani Bożena Królik, podobnie jak kilkanaście lat wcześniej pan Henryk Przygodzki, to niewątpliwie samorodny talent dziennikarski, by nie powiedzieć – literacki. Jej wspomnienia zawierają wnikliwe obserwacje i zapisy wielu zdarzeń dziejących się nie tylko w opinogórskim kompleksie muzealnym czy gminie, ale wykraczających poza wymiar lokalny. W tych wspomnieniach widoczna jest nie tylko znajomość natury ludzkiej i szacunek do każdego człowieka, ale także ogromne odczytanie autorki, dla której interesująca książka jest ważną życiową pasją.

Po latach ilość tych wspomnień była już tak duża, że wspólnie z wójtem gminy panem Piotrem Czyżykiem doszliśmy do wniosku, że warto je – przy wsparciu lokalnego samorządu – wydać w formie prezentowanej tu książki. Że może ona stać się nie tylko zwartym kronikarskim zapisem współczesnej historii gminy, ale także atrakcyjną formą jej promocji. Okazją do tego stał się jubileusz 60. rocznicy zamieszkania autorki w urokliwej Opinogórze, 30-lecie samorządu terytorialnego, ale też okrągły jubileusz „Gazety Opinogórskiej”, jednego z nielicznych na Mazowszu pism lokalnych, wydawanych przez samorząd gminy wiejskiej nieprzerwanie przez ćwierć wieku.

W prezentowanym tu zbiorze znalazło się prawie czterdzieści odrębnych wspomnień, swoistych kartek z pamiętnika, dotyczących zdarzeń z lat 1961–2021 i wcześniejszych. Zachowany został w zasadzie ich układ z kolejnych publikacji zamieszczanych w „Gazecie Opinogórskiej”, głównie tych z cyklu *Duch miejsca*. Autorka przygotowywała je odręcznie do kolejnych numerów czasopisma, wybierając zdarzenia, które przywoływała, z pamięci, zaczynając oczywiście od niełatwych początków swojego zamieszkiwania wraz z mężem w Opinogórze. Poszczególne wspomnienia, dotyczące konkretnego okresu, zawierają czasem dygresje, oceny czy informacje z lat późniejszych, ale wzbogacają przez to opisy zdarzeń o – czasem dość intymne – refleksje przychodzące po latach. Tytuł tego zbioru, który miałem możliwość i przyjemność usta-

łać wspólnie z autorką, wskazuje na szczególną, pozytywną aurę Opinogóry. Miejsca związanego z rodziną Krasińskich, przede wszystkim z życiem i twórczością jednego z naszych romantycznych wieszczów Zygmunta Krasińskiego. Ale wskazuje także na swojskiego dobrego ducha opiekującego się tym pięknym miejscem, wpływającego też na pozytywne, prospołeczne postawy obecnych mieszkańców Opinogóry i całej gminy.

Na koniec należy również podkreślić życzliwość i pomoc pracowników Muzeum Romantyzmu w udostępnieniu wielu unikalnych fotografii, które pozwoliły wzbogacić narrację autorki.

dr Zbigniew Ptasiiewicz
redaktor „Gazety Opinogórskiej”
i niniejszego opracowania



Fig. 1. Alcja i Gedeon Krasińscy oraz ich synowie Zdzisław i Jan Krasińscy, 1840 r.

Zdjęcie: Zdzisław i Jan Krasińscy

Kartka z pamiętnika 1

Tylko na... dwa lata?

*L*uty 1962. Pogoda nie najlepsza. Ni to zima, ni to już wiosna. Wprawdzie to koniec lutego, ale nic nie wskazuje na rychłą zmianę. Zimno, wietrznie, nieciekawie. Dziś planowany, wspólny z mężem wyjazd do Opinogóry. – A może by tak odłożyć tę wizytę? – pytam. Jak zwykle zwycięża jednak jego dobry humor i optymizm. – Jedziemy! – decyduje.

Krajobraz widziany przez okna „wesołego autobusiku” nie poprawia nastroju, czego nie można powiedzieć o całej rozśpiewanej grupie. Trudno włączyć się w rytm wycieczkowy, bo dzielą nas różne plany. Autokar jest pełen dziennikarzy, fotoreporterów mających obsłużyć dwie wystawy. Jedną w Płocku, drugą w Opinogórze. Pobieżnie oglądamy ekspozycję płocką, a myśli biegną już ku miejscu, które znamy tylko z mapy i zdjęć. O celu naszej wyprawy wie tylko Tadzio Bonik, kolega męża ze studiów, też historyk sztuki, który dzisiaj bawi się w fotoreportera i dziennikarza.



Fot. 1. Alicja i Tadeusz Bonikowie oraz Bogusław Werner w Opinogórze. Pierwsza połowa lat 90.

Źródło: Ze zbioru. B. Królik.



Fot. 2. Zadrzewienia śródpolne w rejonie Opinogóry, kiedyś zwane remizyjkami.

Źródło: Urząd Gminy w Opinogórze Górnej.

Jak bardzo ta „zabawa” mu się przedłuży. Już do emerytury nie rozstanie się z piórem i aparatem. Za kilka lat ze swoją żoną Alą przyjadą do pobliskiego Ciechanowa, zakładając tam terenowy oddział „Trybuny Mazowieckiej”. Zamieszkają w pokoiku redakcyjnym przy Orylskiej, a Opinogóra stanie się dla nich drugim domem. Przyjdzie nam jeszcze przeżyć razem niejedną przygodę. Nigdy nie zawiedli, jak to w przyjaźni „na dobre i na złe”. To oni od wielu już lat namawiają mnie na pisanie wspomnień.

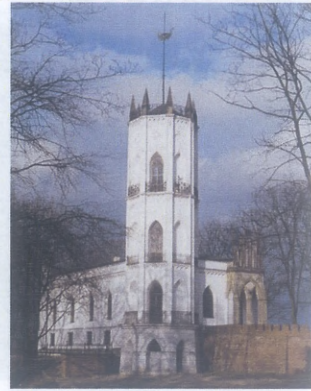
W autokarze robi się coraz weselej, a na zewnątrz ciemniej, tylko gdzieś-niegdzie, daleko w polach, jakieś skupiska krzewów i drzew. O nich wkrótce opowie nam pan Piotr Dziedzic – łowczy hrabiego Edwarda Krasińskiego. To remizyjki, które sadzono już w XIX w. Były ostoją dla zwierzyny, szczególnie w okresie zimy, głodu. Tam je dokarmiano.

Mijamy wieś Władysławowo, następnie Elżbiecin, zbliżając się do Zygmuntowa. W oddali kilka domków, w oknach nikłe światelka – to chyba lampy naftowe? – Ale się wpakowaliśmy, mówię cicho do męża. Nie ma światła? Nagle, po lewej stronie w blasku zachodzącego słońca wyłania się jakaś monumentalna budowla. Autokar nieco zwalnia. To pewno zamek. Ktoś woła, że to kościół. Robi ogromne wrażenie i budzi powszechny zachwyt. Zjawisko wydaje się wręcz nierealne, a jednak jest prawdziwe.



Fot. 3. Kościół w Opinogórze.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.



Fot. 4. Zamek w Opinogórze w przedwiośniu.

Źródło: Muzeum Romantyzmu.

Nieco bliżej drogi przycupnięta drewniana chata (plebania?), dalej po prawej stronie, trochę pod górkę, jeszcze jakieś dwa ciekawe domy i szeregowy budynek (dwojaki) pokryte czerwoną dachówką, już rozjarzone światłem. Oddechamy z ulgą. Opinogóra jest zelektryfikowana! Jeszcze jeden zakręt, duże skupisko drzew, krzewów i ... białe чудо! Maleńkie – miniaturka zameczku. Lekki, finezyjny, ze smukłą wieżą z balkonikami, w pełnej krasie – świadom swej urody.

Wiedziałam, że zanim wejdziemy do środka, już tu zostaniemy. Choć minęło tyle lat, choć starość zaciera pamięć... a jednak pewne szczegóły zostają. To podobno dar pamięci wstecznej związanej z pewnym wiekiem. Niech będzie. To tak, jak się pamięta pierwszą miłość, a przecież Opinogóra stanie się dla nas tą wielką miłością na całe młode i dojrzałe życie.

Przekraczamy nasz Rubikon. Co będzie, to będzie. Nikt do niczego nas nie zmusza. Wewnątrz białe saloniki w amfiladzie, gabloty wypełnione różnymi drobiazgami; fajki, guziki, wachlarze, bibeloty, mapy, jakieś meble i... duży portret gospodarza – Zygmunta, malowany w konwencji romantycznej. Uwagę jednak zdecydowanie przykuwa architektura. Koronkowe sztukaterie, wysokie okna w ostrołukach, przez które widać już tylko ciemniejącą masę drzew. Jakiś ciekawy kominek, rażą tylko nowoczesne stelaże i oświetlenie. Później przyjdzie czas na szczegóły.

Poznajemy przedstawicieli Powiatowej Rady Narodowej w Ciechanowie. Pani Lusja Cywińska, urocza, ciepła, namawia na pracę. Towarzyszy jej pan Robert Bartołd, jak się później okaże – wielki bard ciechanowski. Humanista z wykształcenia, finansista z racji wykonywanej pracy. To on i jemu podobni zapaleńcy współtworzyli nową Opinogórę.



Fot. 5. Robert Bartołd ma w Ciechanowie pomnik na ławeczce.

Źródło: CTN.

Mąż decyduje się na pracę warunkowo, tylko na dwa lata. Miał trochę doświadczenia, jeśli chodzi o epokę romantyzmu, kierując w swoim czasie Muzeum Chopina w Żelazowej Woli. Tam się poznaliśmy. Też miało być krótko. Mieliśmy swoje różne plany, ale los za nas zdecydował.

W drodze powrotnej narastają obawy, czy aby dobrze zrobiliśmy. Podróż do Warszawy to „bezlitosne myśli”, które tłumią radość przeżytej przygody i podjętej decyzji. Nowy „kustosz” uspokaja, że to tylko na dwa lata. Nikt przecież nie każe się wiązać pracą do końca życia. Jakże się mylił!

Angaż podpisany, praca od 1 marca 1962 r. Rodzina przerażona, przyjaciele zdziwieni, pomawiający o chłopomanie. Mąż już w Opinogórze, ja przyjadę tam po roku, kończąc moje sprawy. Ostatni egzamin, staż i dyplom w zawodzie, do którego nigdy już nie wrócę. To mój warunek, na który mąż się godzi. Jeszcze ulega młodej żonie, później będzie różnie. Uczę się więc do egzaminu i... czytam „*Nie – Boską*”. Bóg mi świadkiem. Nic a nic z tego nie rozumiem. W moim programie szkolnym z lat 50. nie było tego utworu. Nie moja wina. Później, może „za karę”, będę go znała prawie na pamięć. Dobrze, że wiedziałam, kim był Zygmunt Krasiński. Czytałam o nim powieść biograficzną Aliny Świdorskiej, ale interesowały mnie wówczas same wątki miłosne. Czytałam więc tę piękną powieść, szlochając i zalewając się łzami nad nieszczęsnym Zygmuntem, którego ojciec zmusił do poślubienia niekochanej kobiety. Cóż, w wieku niespełna 14 lat ma się nieco wypaczone pojęcie o sprawach uczuciowych. Identycznie płakałam nad „*Trędowatą*” Mniszkówny. Do wszystkiego trzeba dojrzeć.

Nasza wiedza o Opinogórze długo, długo będzie dojrzewała, jak młode wino. Nie raz, nie dwa – w chwilach przygnębienia – przyjdzie mi się jeszcze buntować przed „zachłannością” Opinogóry, jej priorytetem w naszym życiu. Lecz w końcu przyjdzie pogodzenie, a może rezygnacja. Trzeba było na to wielu lat i pełnej identyfikacji z problemem. Może wiele straciłam, ale także dużo

Kartka z pamiętnika 2

Pierwsze lata w Opinogórze

Z Opinogóry przychodzi pierwsza kartka od mojego męża. Zawiadamia, że nawiązał już ciekawe towarzyskie kontakty. Złożył wizytę księdzu proboszczowi (ks. Tadeusz Drozd, wielki przyjaciel, podpora duchowa w ciężkich chwilach i nieodłączny towarzysz radosnych wydarzeń) i... zasiedział się na plebanii do rana. Co na to „Przekrojowy” Kamyczek? Ówczesny kodeks *savoir-vivre* nie pozwalał na coś takiego. Pierwsza wizyta powinna trwać krótko. Pomału łamać będziemy te sztywne konwenanse, co przysporzy nam niejednokrotnie pewnych kłopotów. Nazajutrz obaj panowie wybrali się do państwa Michaliny i Piotra Dziedziców. Ona – absolwentka Chyliczek, rodem z Piaseczna, jej mąż Piotr – łowczy ostatniego ordynata Edwarda Krasińskiego.

Obydwoje mieszkali w uroczym domku (postawionym dla nich przez hrabiego) nieopodal Czernic. Kolorowe szybki na werandzie, ganek obrośnięty bluszczem, przed domem ławeczka zapraszająca do odpoczynku. Mnóstwo różnorodnych kwiatów, drzew owocowych, leszczyny – w sezonie pełnej orzechów. Pomiędzy drzewami stały kolorowe ule. Nasze utrapienie w sezonie rojenia. Domek usytuowany nieco na górze, składał się z dwóch pokoi, dużej kuchni i przestronnej werandy, pełnej słoików, słoików, glinianych garnków, złotej miodu, konfitur i innych smakołyków. Często nasze rozmowy kończyć się będą na werandzie, ku naszemu sytemu zadowoleniu. Wkrótce obydwie słuchać będziemy opowieści, które zadziwią nie tylko nas. Będą to informacje z pierwszej ręki, często okraszone anegdotami przekazywanymi z pokolenia na pokolenie. Nie było tam jeszcze światła. Używano naftowych lamp.

Latem, przy otwartych oknach i świecącej lampie, słuchaliśmy opowieści myśliwskich pana Piotra i barwnych wspomnień jego żony Michaliny. Jak to Juruś – najmłodszy syn – poszedł na wojnę i zginął w 1939 r. gdzieś pod Białymstokiem. O Janku – lotniku, który w Anglii założył swoje gniazdo, o Sabince – lekarce, która zmarła na serce, czy synu Zygmuncie mieszkającym w Łodzi.

Interesowały nas ogromnie anegdoty związane z Krasińskimi. Po latach Marian Brandys wykorzysta je w swoich *Szwależerach*. Turyści będą pytać,



Fot. 6. „Zwierzonki” – posiadłość Piotra Dziedzica ostatniego łowczego ordynacji opinogórskiej.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.



Fot. 7. Piotr Dziedzic z żoną (po jego lewej stronie) i znajomą.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.

w którym to salonie Wincenty Krasieński kazał wyłożyć podłogę złotymi rublami mając ogromny dylemat: czy orzełkiem do spodu i deptać po wizerunku cara czy odwrotnie? Ktoś poradził, aby ustawić je na „sztorc”. Albo komu to przy nakryciu nie położył kromki czarnego chleba, co miało oznaczać koniec „łaski pańskiej”. Te i inne opowieści ciągnęły nas do domu obydwójga gospodarzy, jak do ula pełnego miodu. Czy dzisiaj można sobie wyobrazić funkcjonowanie domu, mając do dyspozycji węglową kuchnię, lampy naftowe, wodę w studni na podwórku i... żelazko na „duszę”? Ciężkie, mosiężne, które trudno było podnieść, a jeszcze nim prasować? Żelazko, które otrzymałam w spadku, oddałam wnuczce Joasi Wiecińskiej. Ja się nim już nacieszyłam. To w końcu jakaś część materialna jej przodków.

Mimo dramatów rodzinnych, ludzie ci potrafili pogodnie znosić ciężary, jakie zesłał im los. Ich dom pozostawał zawsze otwarty, życzliwy ludziom. Dzisiaj wstyd mi czasem, że mając tak wspaniałych duchowych przewodników, nie potrafię sama dźwigać własnych problemów. To widocznie inny gatunek gliny. Mniejsz szlachetny.

I wreszcie pierwsza moja wizyta w gospodarstwie męża. Zabieram na tę wyprawę przyjaciół, rodzeństwo Zbyszka i Lilkę Sowińskich, moją koleżankę Teresę. Zbyszkowi wiele będę zawdzięczać. Szczególnie miłość do książek. Ten znakomity humanista, perfekcyjnie poruszający się po wszystkich dziedzinach sztuki, w pewnym sensie wpłynie na zmianę mojego zawodu. Obładowani



Fot. 8. Zameczek w Opinogórze wiosną.

Źródło: Muzeum Romantyzmu.

nowymi garnkami, prowiantem, książkami, jedziemy do Opinogóry. Najpierw pociągiem do Ciechanowa. I to wcale nie komfortowo. Ale komu to wówczas przeszkadzało. Po cichutku śpiewamy w korytarzu wagonu okupacyjną piosenkę – „W pociągu jest tłok...”, przyłączają się do nas inni towarzysze podróży, jest wesoło. Zapraszamy wszystkich do Opinogóry i niewiele brakowało, a byłaby to pierwsza liczna wycieczka.

Dobijamy wreszcie do portu. Wokół już zielono. Po zimie natura usiłuje nadrobić braki, szczerze obdarowując kolorami, zapachami kwiatów. Park dosłownie wylewa się zielenią na zewnątrz. Pachną fiołki. W słońcu, w pełnej krasie lśni zameczek. Wokół pokrzywy i jakieś malownicze zielska, ale nie psują radości.

Nasze mieszkanie znajduje się w podziemiach zameczku. To dwa duże pokoje z kuchnią (na węgiel) i łazienką. – Trochę tu „kretowato”, mówię. – A te okna? Jak tu przez nie wyrzeć? – Po drabinie, mówi kustosz. Wysoko sklepione sufity. Wszystko na razie bawi, zaskakuje. – Dlaczego z kranu leci czerwona woda? – Bo się rury oczyszczają, ze stoickim spokojem odpowiada mąż. – Będzie dobrze. Jeszcze mu wierzę. Nie przeszkadza mi – na razie, że od rana do nocy trzeba palić światło, że to w końcu suterena. Jesteśmy młodzi, zdrowi i pełni zapału do pracy.

Wzrusza mnie wizyta małej Izy Smolińskiej, córki kierowniczk miejscowej szkoły. Dostaję od niej pęk fiołków. To moje ulubione kwiaty. Czuję się wspaniale, choć trochę zbyt „dostojnie” jak na młodą żonę przystało.



Fot. 9. Autorka wspomnień przed zamczkiem. Lata 60. XX w.

Źródło. Ze zbioru B. Królik.

Przyzwyczajam się do nowego statusu. Urządzam więc nasz dom, nie mając ku temu ani talentów ani środków. Nasi poprzednicy (panowie Ornoch i Dehnel), którzy zrezygnowali z pracy po kilku miesiącach, zostawili nam trochę sprzętów. Później zaczęły spływać dary od bliższej i dalszej rodziny – z nieodłącznym komentarzem, odwoływaniem się do naszej... miłości do „staroci”. Z całą pewnością wyraziliśmy swoją wdzięczność, ale jak zaczęto przywozić nam na dożywocie stare psy, tu już głośno protestowaliśmy, broniąc naszej suwerenności. Kilka się dochoowało, ale najgorsze były rozstania, no i... te ich imiona, nie nadające się do publikacji. Protestowała szkoła, protestował ostro nasz przyjaciel ksiądz Tadeusz. Wołaliśmy więc te psy cichutko, ale i tak się „doniosło”. Nie przysparzało nam to dobrej opinii.

Na początku mąż rozpoczął pracę sam, mając do dyspozycji a właściwie pomocy małżeństwo Janinę i Edwarda Kucińskich, którzy zajmowali się sprawami technicznymi i porządkowymi. Turystów było niewielu. Łapaliśmy dosłownie ludzi z ulicy, tak łaknęliśmy kontaktów towarzyskich. Pierwszymi do brydza byli: kochany Boguś Wajght młody lekarz, Tadzio Goryszewski jeszcze kawaler i Grzesio Grossman, syn p. Marii Świętochowskiej z jej drugiego małżeństwa. Bardzo często z Warszawy przyjeżdżał będzie Olgerd Puciata, ówczesny konserwator, kolega męża ze studiów. W muzeum znajdują się jego pamiątki.

A miał wiele do powiedzenia, organizując sieć muzealną na Mazowszu. Działał z ogromnym rozmachem i dużą wiedzą. Zmarł właściwie w zapomnieniu. Tylko nieliczni się z nim kontaktowali. Ot, człowieczy los. Nieodłączną towarzyszką tych jego podróży będzie Maja Makarczykowa, wdowa po zmarłym pisarzu, dyplomacie i podróżniku. Później zostanie żoną Olgierda. Była założycielką Mazowieckiego Towarzystwa Kultury, pełniąc w nim funkcję sekretarza. Wnuczka hrabiów Wołłowiczów, uczestniczka Powstania Warszawskiego, odznaczona medalem za udział w obronie Warszawy „39”. Po tragicznej śmierci matki, wychowanka Sacre Coeur, studiowała pedagogikę, psychologię i orientalistykę. Zaprzyjaźniona z całą plejadą pisarzy, poetów, których przywozić będzie do Opinogóry. Dla niej w hołdzie po jej śmierci, znany pisarz i poeta Andrzej Zaniewski napisał wiersz.

... Za Tobą Warszawa, Paryż
Korytarze Sacre Coeur
Wrzesień wojenny, powstanie, tułaczka
tyle bezsenności i wiary
tyle pracy codziennej
(fr. wiersza „Listy”)

Dzieliła się sobą, nic nie chcąc w zamian. Jej opowieści były niezwykle. O pisarzach, poetach, artystach, których znaliśmy tylko z literatury, a przyszło poznać nam wielu osobiście. To „dar” Opinogóry. W pamięci utkwiała mi szczególnie relacja dotycząca Juliana Tuwima i jego żony Stefanii. Pani Maja, zaprzyjaźniona z Tuwimem, była świadkiem śmierci poety w Zakopanem. Jego żona znana była ze swej niezwyklej wręcz urody. W różnych sytuacjach potrafiła zachować kamienną twarz, tak panicznie bała się zmarszczek. To ona w czasie pogrzebu swojego męża pocieszać będzie przyjaciółkę... „Maju nie płacz, bo będziesz miała zmarszczki”.

Kartka z pamiętnika 3

Truskawki dla Pani Mieci

Wkraczamy w wielki artystyczny świat. Mąż, niezwykle podekscytowany, zawiadamia, że 28 kwietnia 1968 r. w zameczku gościć będziemy panią Mieczysławę Ćwiklińską. Mamy zagospodarować jej czas od popołudnia do wieczornego spektaklu sztuki Alejandro Casony *Drzewa umierają stojąc*, który odbędzie się w Ciechanowie.

To wspaniała aktorka przedwojennego pokolenia a sztuka jakby napisana dla niej. I tylko dla niej. Dobrze więc byłoby przygotować jakiś podwieczorek, aby godnie przyjąć „królową polskiej sceny”. Wpadam w panikę. Jeśli to przyjęcie okaże się takim niewypałem jak: „napoje bezalkoholowe” dla miejscowego Koła Gospodyń Wiejskich – mogę się pakować. Mąż cierpliwie tłumaczy, że to przecież nie ja będę w tym spektaklu grała główną rolę, jedynie występowała w charakterze „ogona”. Też racja. Podejmowałam już przecież niejedno wezwanie i może mój anioł stróż tym razem nie weźmie sobie urlopu.

Zakłopotana sytuacją, kilkakrotnie zmieniam swoje plany podwieczorkowe. Wreszcie wracam do wcześniej przemyślanego wariantu. Będzie więc ciasto cytrynowe (najlepiej mi się udaje), truskawki z bitą śmietaną, kawa, herbata i... kwiaty na pięknej koronkowej serwecie, która zdobiła nasze wigilijne stoły. Mam ją do dzisiaj. Oczywiście, jako że gość znakomity, przyjęcie odbędzie się na górze w muzeum. My siedzimy jeszcze w piwnicznej izbie w podziemiach zameczku.

Od rana trwają przygotowania do wizyty. Ciasto wbrew obawom udało się, pachnie znakomicie. Śmietana ubita z cukrem czeka w lodówce, tylko te... truskawki. Kustosz przywiózł je motorowerkiem w nienajlepszej formie, poobijane. Nie sposób wysłać go po raz drugi, bo będzie tak samo. Inna komunikacja nie wchodzi w rachubę, bo rozkład publicznej komunikacji ograniczony jest do... dwóch autobusów dziennie i to dalekobieżnych. Szukamy więc świeżych owoców – za zgodą właścicieli – w zaprzyjaźnionych ogródkach. Same dorodne, świeże – pięknie prezentują się na porcelanowej paterze. Czekamy na wielką artystkę.



Fot. 10. Mieczysława Ćwiklińska.

Źródło: Wikipedia.

I wreszcie zjawia się. Krucha, delikatna, cała w uśmiechach, z dość śmiałym makijażem, prawie unoszona przez pana Andrzeja Grzybowskiego (partnera w spektaklu), z nieodłącznym pekińczykiem. Nic nie razi. Wszystko zachwycą, jesteście wzruszeni. Mąż opowiada o Krasińskim, pani Ćwiklińska zaszuchana pyta o wszystko, chwali kustosza, ja z niecierpliwością czekam na swoje „wejście”. Moja „duma” sięgnęła pułapu. Wydawało mi się wówczas, że dokonałam kulinarnego cudu i... czekam na komplementy. Proszę do stołu. Nagle okrzyk pełen grozy budzi mnie z tak bałwochwalczego samozadowolenia: – Co pani najlepszego zrobiła?! Pani Miecia jest na diecie i nic takiego jeść nie będzie! To głos garderobianej i opiekunki pani Ćwiklińskiej. – A właśnie, że zjem! Spójrz Andrzeju, jakie to piękne, jak to pachnie – ratuje mnie artystka. Nie zważając na przerażone miny opiekunki, prosi o truskawki – koniecznie z bitą śmietaną – i ciasto. Zagęściło się od złych emocji, nic nie mogę przelknąć, nawet pies patrzy na mnie z nieukrywaną pogardą. Nie lubię pekińczyków. Wreszcie wszystko dobrze się kończy. Jedziemy zaproszeni przez artystów na spektakl do Ciechanowa. Oglądamy wszystko za kulisami. Pani Miecia obiecuje, że dla nas zatańczy ostatnią scenę (walca wykreślono już z repertuaru) i już tylko zachwyt i... ły.

Fabula przedstawienia wydaje się dość prosta. Stara kobieta chora na serce daje się oszukiwać, choć wie, że przyjaciele czynią to dla jej dobra. Sama zdaje sobie sprawę, że prawda jest porażająca i też udaje, aby nie ranić bliskich.

Ostatni walc z „przybranym synem” na scenie... i cisza. Za chwilę owacje na stojąco, wzruszenia... wszyscy zdajemy sobie sprawę, że „ostatni walc” tej wielkiej artystki może być ostatnim walcem jej życia, że może to się zdarzyć tu, przy nas, na tej scenie. Zapalają się światła, milknie muzyka. Scena zasypana kwiatami. Każdy z nas ociera łzy, nie wstydząc się okazywanych uczuć. Żegnamy Panią Mieczę, wracamy do domu. Po jakimś czasie zadzwoni do nas kolega A. Gams, każąc kupić nam pamiątniki Ćwiklińskiej. Ku ogromnemu zdumieniu odczytuję w nich epizod truskawkowy: – Andrzej, co za wspaniałe truskawki podali nam w jednej z sal tego uroczego pałacyku. Pękam z dumy. Znaleźć się w pamiątnikach Ćwiklińskiej z powodu truskawek – to nie byle co! (No, może tak niezupełnie tylko z tego powodu).

Po kilku latach tę wyjątkową przygodę opowiedziałam synowi. Usłyszałam pytanie: – A kto to jest ta Ćwiklińska? Ja, po latach „odgryzłam” mu się Hołdysem, z którym przypadkowo siedział kiedyś przy stoliku weselnym swojej kuzynki i machał mi z dumą autografem swego idola. – A kto to jest ten Hołdys?

Nie wiem, czy dziś wierny jest swojemu idolowi, ja z pewnością pozostanę przy swoim. Niejednemu bowiem Hołdys, a Ćwiklińska... niepowtarzalna.

Kartka z pamiętnika 4

Nasi „miejscowi” i... Japończyk w Opinogórze

O tak pomału wtapiamy się w tło Opinogóry, przy coraz to większej akceptacji jej mieszkańców. Nasza miłość do romantyzmu i Krasińskiego jest jeszcze tak niedojrzała jak my, ale już rodzi szalone plany i pomysły, ufna w przyszłość i wiarę w słuszny wybór. Nie były to z pewnością dalekosiężne zamierzenia. Dzisiaj odnoszę wrażenie, że to samo życie napisało dla nas scenariusz a my go uzupełnialiśmy, wierząc, że robimy to zgodnie z naszym sumieniem. Nie obyło się to oczywiście bez wielu błędów, ale na tych podobno się uczymy. Nauki nigdy dość.

Każdy następny dzień staje się niespodzianką a nawet przygodą. Opinogóra zaczyna być odkrywana, a my poznajemy nowych ludzi, w kręgu których przyszło nam żyć. Doceniając ciekawe kontakty z zewnątrz, cieszymy się obecnością naszych *miejscowych*. To oni staną się przyjaciółmi na długie lata. Byli outsiderami i tak jak my, oderwani od swoich gniazd, środowisk, rodzin. Zastąpią nam niejako tych najbliższych.

Czas na prezentację. A więc nasz kochany „przystojniak” Misio (niestety zdawał sobie z tego sprawę... aż pozostał do dziś... miłym starszym panem) Marian Swat „goguś z warszawskiego Bristolu”, jak nazwał go jeden z dziennikarzy, robiąc z nim wywiad.

Zawsze nienagannie ubrany w lśniących lakierkach, nie przystawał widocznie do powszechnie utartego standardu kierownika PGR. Żurnalista z pewnością zmieniłby zdanie, gdyby usłyszał go w czasie rannej lub wieczornej odprawy pracowników. Marian – absolwent studiów ekonomicznych i zootechnicznych w Warszawie (uczeń prof. Manteuffla), rodak z Ostrowca Świętokrzyskiego – pełnił funkcję kierowniczą w gospodarstwie rolnym przez wiele lat. Radził sobie znakomicie. Ten „goguś” potrafił ostro reagować na nierówność, a nawet stanowczo przeciwstawiać się decydentom w kluczowych, profesjonalnych sprawach. Cieszył się sympatią, a także ogromnym autorytetem i zaufaniem pracowników.



Fot. 11. Opinogóra, lata 60. Na pierwszym planie Marian Swat, za nim dentystka Alicja Dubicka. Z tyłu autorka wspomnień oraz Roman Narostek pierwszy powojenny lekarz w Opinogórze.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.

Budynki gospodarcze (pohrabiowskie) usytuowane były w miejscu, gdzie obecnie znajduje się Urząd Gminy. Była tu stajnia dla koni z wydzielonymi trzema boksami dla ogierów zarodowych („gościnnie” przebywających pół roku), obora, stolarnia, magazyn zbożowy i stara kuźnia, w której pracował kowal Leonard Bałtroczyk. Nieopodal stały cztery czworaki (dwa z nich murowane) dla pracowników majątku. W jednym z nich z rodziną mieszkał przewodniczący Gromadzkiej Rady Narodowej Zenon Lewandowski. W miejscu obecnego osiedla mieszkaniowego rozciągały się łąki i pastwiska dla krów i koni. Dla nas jesienią był to istny pieczarkowy raj.

Gospodarstwo rolne (PGR) było w Opinogórze instytucją wiodącą, zapewniającą mieszkańcom pracę, dając im poczucie stabilności, zarobki, wypracowując dochód. Oczywiście, wielu rolników z okolicznych wsi długo jeszcze pamiętało różne represje, a nawet więzienie, za opór wobec władzy w obronie swoich gospodarstw, nie godząc się na kolektywizację. Mam tu na myśli m. in. znane mi rodziny Kunkowskich czy Kanigowskich z Czernic, których dzieci z „kułackimi” rodowodami nie miały łatwego życia. Ale to już sprawa dalekiej przeszłości i temat dla historyków, którzy badają zaistniałe fakty. O ile wiem, oczywiście mając na uwadze lata 60., współpraca między PGR a indywidual-



Fot. 12. Ania i Jurek Grabowscy.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.

nymi rolnikami układała się harmonijnie. Ogromną pomocą był tu Państwowy Ośrodek Maszynowy, wyposażony w dobry sprzęt, służący również okolicznym rolnikom. Kierował nim pan Wróblewski. Uprawiano tu pszenicę ozimą, jęczmień jary, rzepak ozimy, lucernę, koniczynę, kukurydzę i buraki cukrowe.

Wracając pamięcią do nowych przyjaciół nie sposób pominąć „małżeństwa doskonałego” Niusi i Zbyszka Kostyrów, państwa Talarków, Królów, Jurka Grabowskiego i jego żony Ani. To ona, między ostatnimi egzaminami z farmacji, wpadła do Opinogóry robiąc nam wspaniałe pierogi. Ich tajemnicę szybko rozszyfrowaliśmy. Wałkowała ciasto butelką po winie. Narzędzia pracy dostarczaliśmy jej nader szybko. Jurek – gawędziarz, myśliwy i koniarz, daleki potomek morganatycznego¹ małżeństwa króla Stanisława Augusta Poniatowskiego i Elżbiety Grabowskiej, powstaniec warszawski. Uczestnik jednego z oddziałów mjr. Bartkiewicza, zdobywającego PASTĘ.

Nie bardzo wierzyliśmy myśliwemu, ale gdy zobaczyliśmy jego fotografie z powstania (dzisiaj w Muzeum Powstania Warszawskiego) byliśmy dumni, że mamy go w naszym gronie. Był od nas starszy, zagubiony w rzeczywistości, o powstaniu mówił najmniej. Szanowaliśmy jego temat tabu. Zmarł w 1996 r. w pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Byliśmy z nim w czasie choroby i towarzyszyliśmy mu w ostatniej drodze. Pochowany został w Rokitnie.

¹ Małżeństwo zawarte przez członka rodu arystokratycznego lub dynastii z osobą uznaną za będącą niższego stanu, która poprzez ten związek nie zmienia swego stanu. Zob. Wikipedia.



Fot. 13. Gość z Japonii w Opinogórze.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.

Wszyscy tworzyliśmy taką kolorową grupę, podobni sobie temperamentem, zainteresowaniami, z jednaką pasją pochłaniającymi grube tomy książek, jak i pajdy chleba ze smalcem i cebulą. O cholesterolu jeszcze się nie mówiło. O pieniądzach także. Były, to były. Szybko je wydawaliśmy. Z całą pewnością nie były celem naszego życia, choć notoryczny ich brak długo nam doskwierał. Spotykaliśmy się najczęściej w naszych „piwnicach” otwieranych każdemu. Uprzywilejowani miejscem pracy, ciekawymi kontaktami, staliśmy się niejako odskocznią od zwykłej prozy życia. Pominę tu skromnie nasze „osobiste walory”, niech to ocenią inni. Dowody ich przyjaźni mam do dzisiaj.

Zaczynała się pogoń za eksponatami. Początkowo było ich niewiele. Zaledwie kilka (7) związanych z Zygmuntem Krasieńskim. Reszta to starannie dobrane przedmioty z okresu. Nowy kustosz pilnie śledzi doniesienia aukcyjne, pierwsze uwagi turystów, czyni plany związane z przejęciem parku od PGR. Nawiązuje kontakty ze znanymi kolekcjonerami (Gościński, Wierzejski, Haber) a także z Desą, penetrując jednocześnie teren. Jakże cenne okażą się w niedalekiej przyszłości te wyprawy. Niemalże sensacyjne. Nic nie można przegapić, niczego zignorować.

W czerwcu (8 VI 62) odwiedza muzeum gość z dalekiej Japonii. Przyjeżdża z naszymi przyjaciółmi. Oprawadzamy go po zameczku, robimy wspólne fotogra-

fie, kolega porozumiewa się z nim w języku angielskim – my... w migowym. Nasz Japończyk grzecznie się kłania, uśmiecha, zwraca uwagę na architekturę, my na jego znakomity sprzęt fotograficzny i maleńkie radio tranzystorowe, które było absolutną nowością. Zabieramy go do parku i przy akompaniamencie słowików więcej mówimy o Chopinie aniżeli Krasińskim. Jeszcze się go uczymy.

Japończyk cały czas pracuje aparatem i nie spuszcza nas z obiektywu. – Szpieg, czy co? – mówię do męża. – No coś ty. Tatuś pewno zainwestował w sprzęt i czeka na rezultaty – odpowiada. – Albo, wiesz co? Oni chyba już rodzą się z aparatami fotograficznymi, bo w moim domu obfotografował mi nawet porządki w szafie. – To jego hobby – mówi tłumacz. Kolega, mocno zdenerwowany naszą ignorancją językową, przekłada to na rosyjski. Wybuchamy śmiechem i mamy żal do Reja.

Pokazujemy mu już z całkowitą powagą kościół, cmentarz, kamienne mebelki w parku i prowadzimy nad stawy... bez wody. Pełne za to stokrotek i pasących się krów. Nasz gość zawzięcie fotografuje, z czegoś wyraźnie zadowolony. Czyżby uwierzył w nasz żart, że czekamy na... porę deszczową? Innej motywacji by nie zrozumiał. No, bo co mieliśmy mu powiedzieć? Że po wojnie rusczy z naszymi rozwalili upusty, że czekamy na pieniądze potrzebne na renowację, że kultura goła? Co to, to nie! Mamy swoją narodową dumę i jakiemuś Japończykowi nic do naszej biedy. A swoją drogą zastanawiamy się, co go tak zainteresowało? Krowy, stokrotki... czy stawy bez wody?

Przy pożegnaniu podajemy księgę pamiątkową, prosząc, aby wpisał się po japońsku. Kalkulujemy sobie, że jeśli coś mu się nie spodobało, to i tak przez sto lat tego nikt nie odczyta.

I czego się dowiadujemy? Tego egzotycznego gościa urzekła... atmosfera spokoju (sic!) pięknego miejsca, architektura, polska gościnność i jest ogromnie rad, że był pierwszym Japończykiem, który odkrył Opinogórę.

Kartka z pamiętnika 5

Parkowe krowy i... punkt skupu królików

*Niechaj dalej świeci Opinogóra
na całą ciechanowską okolicę
i na całe Mazowsze*

Monika Warneńska

Jeszcze nie świeci pełnym blaskiem, choć coraz więcej dzieć się zaczyna wokół samego muzeum, a także miejscowości. Przyjeżdżają turyści zagraniczni z Anglii, Szwajcarii, Austrii, Węgier. Pojawiają się pierwsze oficjalne delegacje rosyjskie, niemieckie. Opinogóra staje się wizytówką dla Ciechanowa. Władze powiatowe ogromnie przejęte. Polecają, przestrzegają, napominają. Cóż, to przecież jeden z przywilejów każdej władzy. Przewodniczący Gromadzkiej Rady Narodowej Zenon Lewandowski jest przerażony narastającymi problemami, ale przyjazny działaniom nowej instytucji. Zdaje sobie sprawę, że cały ten galimatias muzealny przerasta możliwości wsi. Wspólnie z kustoszem szuka poparcia w powiecie i województwie.

Krystalizują się plany modernizacji parku, który oficjalnie przekazany został przez PGR. Ale co z lokatorami z oficyny znajdującej się na terenie parku, w której mieszka 12 rodzin pracowników gospodarstwa? Powinno powstać osiedle mieszkaniowe, ale kultura biedna i sprawa staje się coraz bardziej skomplikowana. O co im chodzi – zastanawiali się mieszkańcy niechętni nowym porządkom. Będą grodzić? A było tak sielsko i spokojnie. Zupełnie jak w „Kornopielce” u Redlińskiego. Działo tu przecież znakomicie wiele instytucji. Była Rada Gromadzka, mieszcząca się w starym drewnianym budynku z pocztą, Urzędem Stanu Cywilnego, biblioteką. Była szkoła podstawowa (po dawnym browarze) na Chmielniku, GS „SCH” z bankiem i jej młodym jeszcze urzędnikiem, późniejszym (od 1973) wieloletnim dyrektorem panem Niedziałkowskim. Był ośrodek zdrowia, dwa sklepy, co to w nich szwarc, mydło i powidło,



Fot. 14. Opinogóra lata 60. XX w.
„Parking” przed kościołem.

Źródło: CTN.

straż, posterunek milicji (z młodym aplikantem Kołakowskim i komendantem Młodzianowskim). Nawet masarnia, fryzjerka Jadzia Kołakowska, szewc i krawiec Sze fler. Żmudny proces opróżniania oficyny będzie trwał dziesięć lat.

Turyści robią się coraz bardziej wymagający. Chcą jeść. A tu nie ma restauracji ani baru. I coraz to bardziej „światowi” przyjeżdżają do Opinogóry. Jedynie krowy zdają się nie przejmować całym tym narastającym problemem, leniwie snując się po parku i pożerając stokrotki. Było to wtedy dość duże stado liczące sobie 74 sztuki. Kustosz zastanawia się, jak by tu je z tego parku wykurzyć? Smutne krowy wreszcie opuszczają park. Władze powiatowe zabroniły także przeganiać stado główną drogą, „bo to wycieczki przyjeżdżają, turyści zagraniczni i wstyd”. A co zrobić z wysypiskiem śmieci, głębokimi dołami, rowami, stawami bez wody? Oj, śniła mu się nie raz, nie dwa Warszawa z ciepłą posadką w Instytucie Sztuki.

Póki co, będąc właściwie jednoosobową instytucją, oprowadza po zamczku i terenie, a także – z żoną i przyjaciółmi – przygotowuje przedstawienie „Ścieżka przez pole”. Aktorzy z Opinogóry i okolicznych wsi. Ludzie garną się do kultury. Kustosz robi scenografię, inni udają, że coś też tam robią. Najlepsi są artyści. Z nazwisk zapamiętałam panie: Zosię Dworzyńską (z dzieckiem), Marysię Boniślawską-Józwiakową oraz panów Moczulskiego i Pikusa z Czernic a także małżonków Kucińskich. Grają znakomicie. Sztuka trochę taka XIX-wieczna, coś z klimatu Fredry. Pierwsza prezentacja w świetlicy PGR, później *tournee* z „trupą” rozklekotanym samochodem do... Pałuk, Kołaczkowa, Ślubowa i Krasnego. Na zakończenie wszyscy „pchamy” się przed kurtynę (jeśli koc można tak nazwać), zarówno wykonawcy jak i cała ważna reszta, aby choć trochę ogrzać się w blasku sławy i rześzystych brawach. Euforia i powrót do domu.

Była niedziela. Przed Kościołem na parkingu bryczki, furmanki, ani jednego samochodu. (Pierwszymi posiadaczami prywatnych samochodów będą nieco później panowie Usiadek i Mikłaszewski.)

Tak, tak! Trudno to sobie dzisiaj wyobrazić. Podróżowano także przy pomocy innych środków. Żeromski (przed I wojną światową) przybył pieszo aż z Szulmierza, aby odwiedzić grób Wieszcza. Tymczasem swój przyjazd konno zapowiedzieli państwo Elżbieta i Ryszard Manteuffel. Telefon na „korkbę” nie daje odpoczynku. Wizytę do Opinogóry zgłasza pisarz Marian Bieliński oraz w późniejszym terminie pani Zientarowa (z „Przekroju”) ze swoim mężem, ambasadorem Michałowskim. Uff!! Czeką nas spory ładunek intelektualny. Wierzymy, że jak zwykle pomoże nam Opinogóra i jej romantyczny czar. Czekamy więc na znakomitych gości.

Powstaje pierwszy czarno-biały album o Opinogórze. Autorem jest artysta fotografik z Torunia pan Krippendorf, który przyjechał do muzeum, aby utrwalić piękno miejscowości i jej ważnej roli w polskiej kulturze.

Tymczasem do Muzeum przychodzi z Bielska Białej paczka z kapciami, zaadresowana na „Muzeum Reumatyzmu” (sic!). Kupujemy! Następna propozycja z fakturą i wyceną zaadresowana jest na... „Punkt Skupu Królików”. Nie kupujemy ani nie sprzedajemy! Nie podoba nam się wycena. Jednak kustosz... staje się coraz bardziej znany.

Kartka z pamiętnika 6

Konno do Opinogóry

*P*rzywołując wspomnienia z przeszłości, natrafiam w moim dzienniczku na autograf, którego nie sposób pominąć, mnie zaś posądzić o nadmierną konfabulację. To fakty odłożone nie tylko w mojej pamięci, ale także znajdujące potwierdzenie w źródłowych materiałach archiwum rodzinnego. Proszę mi wierzyć, ludzie, o których pisałam i piszę, wywarli ogromny wpływ na rozwój muzeum, jak i całej miejscowości. To oni tworzyli nową, romantyczną Opinogórę i jej legendę. Był to jakiś łańcuch dobrej woli, przeradzający się niejednokrotnie w wieloletnią przyjaźń i pamięć. A oto ten autograf:

Wykąpiani w ożywym źródle romantyzmu unosimy śliczne wspomnienia i chęć na ponowny przyjazd... Ogromnie miło wspominamy nasz pobyt w gościnnym muzeum oraz te ciekawe rozmowy, które mogliśmy z państwem prowadzić. Byłoby miło kontynuować nasze rozmowy i dowiedzieć się jeszcze wielu ciekawych wiadomości.

*Elżbieta /Polskie Radio/
i Ryszard Manteuffel
22.07.1963 r.*

Nasi goście, tak jak zapowiedzieli, przybyli konno do Opinogóry, zaproszeni przez naszego kolegę M. Swatę (dyrektora PGR) – ucznia profesora Manteuffla, wykładowcy warszawskiej uczelni SGGW.

Na wsi poruszenie. Ci niecodzienni goście na swoich pięknych rumakach wzbudzili niemałą sensacją, ubrani w jeździeckie stroje, prezentując znakomity poziom i styl jazdy. A konie? Pamiętam, że były ogromne i także odpowiednio „przyodziane”. Chyba były przyjazne ludziom. Na wszelki wypadek nie wykazywałam nimi większego zainteresowania i wołałam mieć kontakt z bardziej „niskopiennymi” zwierzętami, stąd fobia „jamnikowa”.



Fot. 15. Elżbieta i Ryszard Manteuffel oraz ich konie przed zameczkiem w Opinogórze. Obok Bożena i Janusz Królikowie.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.

Nasi goście zmęczeni podróżą. Proponujemy krótki odpoczynek, konie pod troskliwą opieką brygadzysty pana Z. Maliszewskiego odprowadzone do stajni. Spotykamy się ponownie w moim ulubionym miejscu pod lipą, stojącą u podnóża zameczku. Piękny lipcowy zmierzch, pachnąca miodem i pszczołami lipa stanowi idealną atmosferę do rozmów. Państwo Manteuffel opowiadają o swoich konnych rajdach (to już ich kolejny, siódmy), a także licznych przygodach w podróży. Zwiedzając tym razem Mazowsze, odwiedzają absolwentów uczelni, z którymi profesor utrzymuje kontakty, ciekaw jak też „te orły” radzą sobie w terenie. Jego żona z iście dziennikarską pasją żywo reaguje na wszelkie ciekawostki, obiecując pomoc w popularyzacji instytucji.

Obydwoje niezwykle sympatyczni, wybaczą gospodarzom drobne gafy, pewne niedogodności, choćby z tą ledwo, ledwo ciurkającą wodą lub dymiącą kuchnią. Śpią na materacach na wieży, za to widok mają oszałamiający! Rano przy śniadaniu profesor raczy nas nowinkami z dziedziny rolnictwa, bliskiej jedynie Marianowi Swatowi. My z mężem, jak przystało „na trusie”, siedzimy cichutko, bo niewiele mamy do powiedzenia na tematy związane z uprawą roślin, zboża czy warzyw. Jedyna „uprawa”, jaką usiłowałam hodować, to agawa przywieziona dla mnie z Majorki (mówiłam, że od Chopina). Padła w listopadzie ubiegłego roku, bo... zapomniałam uchronić ją przed mrozem. Padła ku mojemu zdumieniu dopiero w domu – mówię to, bo na zewnątrz trzymała się nieźle i nic nie



Fot. 16. Baltazar z Bisiem, jamniki autorki wspomnień.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.

wskazywało na jej rychły upadek. Od tej pory wybiłam sobie z głowy wszelkie uprawy. Profesor delikatnie obniża poziom dyskusji. Opowiada pięknie o kapuście – królowej warzyw. Dowiadujemy się, że znana była już w I w. n.e. w Rzymie, u nas wprowadzona do hodowli w XV w. od czasów Reja (1505–1569), który w *Żywocie człowieka poczciwego* podaje przepis na jej kwaszenie. Bogata w źródło witaminy C nie ustępując cytrynie, wykorzystywana w medycynie ludowej, a także przemyśle spożywczym. Istne cuda! Słuchamy z zapartym tchem. Profesor opowiada, jak to – będąc kiedyś samochodowym przejazdem w okolicy Grójca – zauważył na polu jakieś warzywa grubo posypane białym proszkiem mocno i brzydko pachnącym. Zaintrygowany zjawiskiem postanowił obejrzeć to z bliska. Ku swojemu zdumieniu zobaczył, że to ogromne pole z ledwo widocznymi głowami kapusty. Rolnik w tym czasie kończył opryski. Na pytanie, czy trzeba tego aż tak dużo i o tej porze, usłyszał, że to proszek DDT „od robali”, powszechnie używany. A pan i pana rodzina to spożywacie? A skądże! Dla nas, niepryskane rosną za stodołą. Od tej pory moczę w wodzie wszystkie warzywa przed spożyciem. Takie błędy popełnia się być może i dzisiaj.

Takie przejawy beztroski można było także dostrzec i w Opinogórze, choćby ze źródlaną wodą w studzience na Chmielniku. Czysta woda była chlubą mieszkańców wsi. Był tu kiedyś browar, uprawiano chmiel, produkowano piwo i jak to zwykle bywa... do czasu, kiedy zmienia się właściciel. Zatruto wtedy studzienkę odpadami chemicznymi. Woda nie nadawała się do użytku. Na początku lat 60. studzienkę odtruto, wyczyszczono i kiedy można było z niej korzystać, znów została zaśmiecona. Dzisiaj nie ma po niej śladu.

Po śniadaniu (bez kapusty i źródlanej wody) kustosz na górze w zamczku z turystami, a zaginął nam gdzieś profesor. Ku mojemu przerażeniu, odnajduję go w kuchni w moim fartuszu nad całą stertą naczyń przy zlewie. Nie pomagają moje protesty. Twierdzi, że w swoim domu, o ile pozwala mu na to czas, wyręcza także żonę w tej czynności. Mąż mój pamiętać będzie ten „epizod” i na zawsze zniełubi piosenkę Danuty Rinn... „Gdzie ci mężczyźni...”, nawet razem z jej wokalistką. Na pożegnanie kwiaty podane miłym gościom na siodło i życzenia szczęśliwej dalszej drogi.

W październiku przyjdzie bardzo miły list z propozycją ponownych spotkań. Los zadecydował inaczej. Państwo Elżbieta i Ryszard Manteuffel podczas wakacji w latach 1957–1970 przejechali konno 11 tys. km, podróżując po całej Polsce. Ulubionym wierzchowcem profesora był wałach *Esparto* 1962 nod. SK. Janów Podlaski zaś pani Manteuffel dosiadała również angloaraba z Janowa ur. w 1953 r., noszącego imię *Aminokwas*, zmienione na *Negritto*. Te i inne angloaraby półkrwi używane do turystyki znosiły doskonale jej trudy, nieraz 100-kilometrowych podróży. Państwo Manteuffel zakończyli swoje podróże po Polsce, odbywając ostatnią 25. – jubileuszową – w 1981 r. Była to prawdopodobnie ostatnia, do roku 1983, podróż konna po Polsce, jak donosi „Koń Polski” (Nr 2 z 1983 r.)

A co nowego w ekspozycji i samej miejscowości? Od pana Budzyńskiego z Krośniewic (wyrzuconego z rodzinnego majątku w Kowalewie) zakupiono część XIX-wiecznego księgozbioru oraz sekretarzyk, który – wg wiedzy właściciela – znajdował się na zamku królewskim, będący własnością ks. J. Poniatowskiego, a także bilety wizytowe, bibeloty, nalepki firmowe, zaproszenia. Ekspozycję wzbogacił przekazany przez Muzeum Literatury portret Marii z Krasińskich Raczyńskiej, malowany przez Kirchmayera w 1882 r., w pięknej złożonej ramie (na razie bez ramy, która wróci po latach). Ten szczegół będzie bardzo ważny. Sporządzono też dokumentację na projekt rekonstrukcji parku (projektanci L. Majdecki i St. Bolek), rozpoczęto również leczenie drzew, a cały park został ogrodzony siatką. Rozpoczęto także rekonstrukcję stawów. Planuje się przejęcie domku z kolumnami i jego remont, przebudowę wnętrza pałacowych w oparciu o nowe przekazy historyczne. Także przekazu archeologicznego o miejscu starego dworu na płaskowzgórzu nieopodal oficyny.

W Opinogórze kończy się budowa „agronomówki”, planowana przebudowa posterunku MO (dawny budynek administracyjny Krasińskich).

Rozwijający się ruch turystyczny wymaga niezbędnego zaplecza handlowego, w tym lepszego zaopatrzenia sklepów w artykuły konsumpcyjne, zaś kiosku „Ruchu” w karty – pocztówki z Opinogórą oraz jak najszybszej budowy restauracji.

Jesteśmy już po wizycie pani Zientarowej (z „Przekroju”) i jej męża. Opinogóra ogromnie im się spodobała, obiecali przysyłać wszystkich znajomych i szukać pamiątek po Krasińskich. Ambasador Michałowski obiecuje być... ambasadorem Opinogóry.

I tak ciekawie, ale pracowicie, życie toczy się dalej, my wchodzimy w „lata”, a muzeum rozkwita i pięknieje.

Kartka z pamiętnika 7

Pamięci Edwarda Krasińskiego

W grudniu br. minęła kolejna (74.) rocznica śmierci hr. Edwarda Krasińskiego. Człowieka prawego, szlachetnego, dla którego pojęcie „Miłość Ojczyzny Naszym Prawem” wpisane w dewizę rodu nie było tylko czczym hasłem. Swoim życiem i śmiercią dowiódł, że choć siły fizyczne zawiodły, ducha nie udało się zdławić. Wiele już o nim mówiono i wiele pisano. W muzeum odbyły się liczne wystawy, uroczystości jubileuszowe, a także ciepłe wspomnienia rodziny i pracowników pamiętających hrabiego.

Dzisiaj chciałabym odtworzyć atmosferę wydarzenia, które dla wielu uczestników uroczystości było ważną lekcją polskiej historii i patriotyzmu. Nie bez powodu wybrano tu miesiąc pamięci narodowej. W dniu 26 kwietnia 1984 r. o godzinie 11.00 w świątyni opinogórskiej odprawiono mszę świętą za spokój duszy ostatniego ordynata, którą celebrował ks. biskup Bogdan Sikorski. Przy ołtarzu asystowali dwaj księża z Płocka – ks. Władysław Lis i ks. Albin Łuczowski – rodak z Katow. Rolę gospodarza pełnił proboszcz parafii ks. Bogusław Grzybowski.



Fot. 17. Edward Krasiński w latach 30. XX w.

Źródło: Muzeum Romantyzmu.



Fot. 18. Hrabia E. Krasiński wita w Opinogórze wojewodę warszawskiego Bronisława Nakoniecznikow-Klukowskiego, 3 lipca 1935 r.

Źródło: Kopia CTN.

Jakże wzniośle zabrzmiały słowa rozpoczynające homilię ks. biskupa: „Mojżesz! Mojżesz! – zzuż sandały! Stąpasz po świętej ziemi ojców naszych”, wypowiedziane w nawiązaniu do wiodącej roli przywódców duchowych (Z. Krasiński), tradycji narodowych, słusznej kontynuacji pokoleń aż po dobrowolny wybór śmierci w przypadku hr. Edwarda. Kuszony przywilejami przez okupantów, nie uległ, nie opuścił swojej placówki. Wybrał śmierć, w imię wartości ponadmaterialnych i bezwarunkowej miłości do Ojczyzny. Wreszcie odwołując się już do samej Opinogóry, ks. biskup docenił jej ogromne znaczenie i rolę w edukacji następnych pokoleń. To perła na Mazowszu! Mazowiecki Wawel! W kościele tak wiele jest pamiątek związanych z poetą, w kryptach jego prochy, a także prochy jego przodków. To zobowiązuje.

Po zakończeniu mszy ks. proboszcz, dziękując biskupowi za obecność, poprosił o odsłonięcie płyty i jej poświęcenie. Tablica umieszczona została na bocznej ścianie świątyni, nieopodal ołtarzyka ufundowanego przez bohatera 1939 r. rodaka z Opinogóry, lotnika pana Jana Dziedzica. Uroczystego aktu odsłonięcia dokonał prezes Towarzystwa Miłośników Opinogóry Hilarion Płowski oraz Krzysztof Sowiński – pracownik muzeum. Padły także słowa o doniosłym znaczeniu historycznego wydarzenia, o rysującej się ścianie martyrologii, gdzie znajdują się jeszcze dwie tablice poświęcone pamięci cichych bohaterów. Mowa tu o ks. Teodozjuszu Brudnickim, proboszczu parafii, zamordowanym



Fot. 19. Biskup Bogdan Sikorski w gminie Opinogóra.

Źródło: Ze zbioru W. Kowalskiego.

Fot. 20. Ksiądz proboszcz Teodozjusz Brudnicki z nauczycielem Piotrem Mosakowskim oraz grupą dzieci i młodzieży. Opinogóra, lata 30. XX w.

Źródło: Ze zbioru ks. kan. Jarosława Arbata.



w Dachau i sołtysie z Kątów Romanie Konwerskim, który za to, że nie chciał wieszać rodaków na dziedzińcu zamku ciechanowskiego w latach okupacji, zginął w obozie w Mauthausen w Niemczech.

Długo jeszcze patrzymy na tablice i choć emocje cichną, pojawiają się refleksje, którym nie sposób się oprzeć. Ksiądz, sołtys i hrabia. Choć ludzi tych tak wiele różniło za życia, dzieliły ich różne stany, to w obliczu śmierci stali się jednością. Kościół udzielił miejsca swoim męczennikom.

Uroczystość dobiegła końca. Organizatorzy wyrazili wdzięczność ks. biskupowi za obecność, do nich także dołączył siostrzeniec hrabiego Karol Bielina Brzozowski (bohater Powstania Warszawskiego, dowódca patrolu w Batalionie Kiliński). Wyraził on swój szacunek wszystkim obecnym, którzy przyczynili się do tego wspianego przedsięwzięcia.

Prosto z kościoła wszyscy udali się do siedziby Towarzystwa Miłośników Opinogóry w „Domku ogrodnika”, na wystawę poświęconą hr. Edwardowi Krasieńskiemu. Po wystawie przybyłych gości oprowadził kustosz muzeum Ja-



Fot. 21. Roman Konwerski.

Źródło: Ze zbioru rodziny.



Fot. 22. Portret Edwarda Krasińskiego, pędzla Wojciecha Kossaka.

Źródło: Wikipedia.

nusz Królik, któremu towarzyszyli nieliczni już byli pracownicy majątku, wnosząc żywe wspomnienia kontaktów z hrabią. O godzinie 14.00 odbył się w zamczku koncert poezji i muzyki polskiej w wykonaniu artystów warszawskich Danuty Nagórnej i Jana Kadłubskiego. Słowo wstępne wygłosiła Barbara Wachowicz, która zapoznała zebranych z dziejami przodków Edwarda Krasińskiego. Padły wzniosłe hasła, między innymi: „I przeszłość zbawiona i przyszłość zaświeci”, a także słowa wypowiedziane przez miejscowego poetę St. Kęsika, że dzięki takim ludziom jak bohaterksi hrabia, dzisiaj możemy mówić po polsku. Była to piękna i niezapomniana lekcja polskiej historii i patriotyzmu. Niestety, na tej lekcji zabrakło przedstawicieli ówczesnej władzy.

Autorką i wykonawczynią płyty z płaskorzeźbą podobizny E. Krasińskiego jest rzeźbiarka Katarzyna Welter-Sikorska.

Silva Rerum

Nazwiska ludzi związanych pracą w majątku Krasińskich (okres międzywojenny). Informacje podane przez H. Twardzikowskiego

1. Kożuchowski Henryk – kierownik grupy budowlanej
2. Wyszkowski, Sokolnicki – prowadzili sklep kolonialny
3. Pastecki Roman – główny buchalter
4. Piotrowski – kasjer
5. Krupecki Jakub – administrator
6. Łukasiewicz – rządcą
7. Hikiert Edward – nadleśny ordynacji

8. Wisialska Wanda – sekretarka
9. Fronc – stróż
10. Grzelakowie – lokaje
11. First – kierowca
12. Wisiański Adolf – ogrodnik
13. Ks. Kuskowski – ks. Bródzicki
14. Langiewicz – organista
15. Cieśliński – organista
16. Mossakowski Piotr – organista
17. Zmorzyński – wójt
18. Żyd Abram – dzierżawca ogrodów u księdza
19. Lewicki Józef – rozwoziciel mleka
20. Dziedzic Piotr – strzelec, łowczy
21. Nowicki – leśnik, teść Hikierta
22. Bałtroczyk Leon – kowal
23. Borodicz – dzierżawca Dolnej Opinogóry
24. Szymański Mariusz – kowal w Zygmuntownie
25. Sprószyński – główny stróż u Edwarda Krasińskiego
26. Twardzikowski Henryk – pracownik grupy budowlanej
27. Klonowska Marianna – pokojówka
28. Rodzina Kalinowskich (od cz. W. Krasińskiego), Długoleckich
29. Józefowicz – furman

PS

Dnia 29 lipca 2014 r. zmarł ś. p. Marian Swat absolwent warszawskiej SGGW, wieloletni dyrektor PGR w Opinogórze. Był człowiekiem szlachetnym, wrażliwym i niezwykle uczciwym w całym swoim zawodowym jak i prywatnym życiu. Był także stałym czytelnikiem „Gazety Opinogórskiej” do końca swoich dni, ciesząc się z sukcesów miejscowości, która zawsze dla niego jawiła się jako „Kraina szczęśliwego okresu młodości i pięknia z dnia na dzień”. Zmarł w Pruszkowie, pochowany w rodzinnym mieście Ostrowcu Świętokrzyskim. Msza żałobna celebrowana przez proboszcza J. Arbata odbyła się 4 sierpnia tego roku w kościele opinogórskim, do którego często wracał nie tylko myślą. Będziemy z Tobą modlitwą i wdzięczną pamięcią.

Kartka z pamiętnika 8

Historia jednej rodziny

E Coraz mniej dzisiaj takich domów i rodzin, gdzie wzajemna miłość spleta się z szacunkiem dla tradycji i przeszłości. Odchodzą już ludzie „starej daty”. Tak powszechnie zwykło się o nich mówić. To tacy, którzy z uśmiechem zatrzymywali się na ulicy, by pozdrowić znajomych i zamienić z nimi kilka słów. Tacy, którzy nie tylko chętnie gawędzili, ale także – ciekawi życia – potrafili wspaniale słuchać. Tacy wreszcie, którzy swój dom otwierali szeroko i gościnnie wszystkim bliskim. Dzisiaj, gdyby żyli, mieliby ponad po sto lat. To Antoni i Stanisława Długołęccy z Opinogóry. Starsze pokolenie mieszkańców wsi bardzo dobrze pamięta obydwój gospodarzy w ich przyjaznym domu. Każdy mógł tam znaleźć dobre słowo, radę, uśmiech, posiąść tajemnicę drożdżowego chleba i posłuchać opowieści sprzed lat.

A mieli co wspominać. Pan Antoni przybył wraz z rodzicami do Opinogóry z pałuckiej parafii po I wojnie światowej, gdzie jego ojciec był kościelnym u księdza Mościckiego, długoletniego zesłańca z Syberii. W Opinogórze chodził do szkoły dla chłopców prowadzonej przez kierownika Ślubowskiego (dla dziewcząt była ochronka założona jeszcze przez Adama Krasieńskiego). W 1918 r. walczył pod Lwowem, w rok później poślubił Stanisławę z Kalinowskich. Ślubu udzielał im sam ksiądz Mościcki.

Być może to pamięć Orląt Lwowskich, z taką determinacją walczących o bezpieczeństwo własnego gniazda, pchnęła go do dalszej przygody wojennej 1920 r. To oczywiście wojna polsko-bolszewicka. Tuż po ślubie młody małżonek wyruszył na wojnę. Żona pomagała wówczas w prowadzeniu domu u ks. Mościckiego.

Pani Stanisława w swoich wspomnieniach często wracała do okresu dzieciństwa. Wraz z trojgiem braci (zmarłych w młodym wieku) wychowywała się w Opinogórze w starym domu znajdującym się na skraju parku, tuż przy cmentarzu. Dom ten jej rodzice dzielili z masztalerzem Trockim, który ... *na rok jeszcze przed śmiercią sam konia dosiadał* – jak głosi napis na grobie znajdującym się na miejscowym cmentarzu. (Trocki zmarł w sędziwym wieku). Dom był

drewniany, belkowany, z dużym gankiem. Leżał tylko zbyt blisko cmentarza. Adamowa Krasińska często odwiedzała swoją garderobianą i twierdziła, że dom nie nadaje się do mieszkania i częste choroby ukochanej „Kalinosi” są tego konsekwencją. Cmentarne powietrze jej nie służy. Tak zwykle mawiała hrabina i ona zdecydowała o wybudowaniu dla rodziny nowego domu tuż przy drodze wjazdowej z Ciechanowa (dawny GOK). Garderobiana cieszyła się wielkim uznaniem hrabiny. Po przeszkoleniu w Warszawie, czuwała nad garderobą Adamowej Krasińskiej, wybierając odpowiednie hafty i stroje, nad którymi miała baczenie.

Dziadek pani Stanisławy Józef Lewicki pracował jeszcze u gen. Wincen- tego, ojca Zygmunta. Opiekował się zegarami w starym *jeneralcu* – dworze rozebrany przez Krasińskich przed I wojną światową. Podobno w pobliskim Chrzanówku z resztek cegły i drewna pochodzącego z dworu, zbudowano czworaki. – Naprzeciw dworu stał piękny marmurowy zegar słoneczny, konserwowany przez mojego dziadka – wspominała pani Stanisława. W dworze było bardzo dużo zegarów i wszystkie musiały punktualnie „chodzić”, bo generał, zrzęda był bardzo dokładny i wymagający. Przypadł mu pewno do gustu chłopak-samouk o „złotych rękach” – bo dotrwał w pracy u Krasińskich do starszych lat. W rodzinie Długołęckich przetrwała legenda o jakimś „dziw zegarze” skonstruowanym przez dziadka Józefa. Zegar bardzo głośno dzwonił, był noszony po wszystkich zabudowaniach i rejestrował czas i obecność sprawdzającego porządek, czy może bezpieczeństwo?

Po I wojnie światowej państwo Długołęccy przenieśli się do domu w parku, sąsiadując z ogrodnikiem Adolfem Wisiańskim. Żona opiekowała się domem księdza Mościckiego, mąż pracował w ogrodzie razem z Wisiańskim. – Wokół domu rosły jaśminy, bzy, na rabatkach kwitły kolorowe goździki, astry i wysmukłe mieczyki – wspominała pani Stanisława. Rósł także duży jadalny kasztanowiec a wokół poustawiane były ule. Tyle było zieleni, taki spokój... A jaki to był piękny park! Wszędzie były gazony, róże, równo wytyczone ścieżki wysypane żwirkiem, nigdzie nie było chwastów i samosiewów. Była także za stawami tzw. dzika część parku. To zwierzyniec, ostoja dla saren, zajęcy i bażantów. – Dziś też jest piękny, mówię. – Ale gdzie tam – odpowiada miła starsza pani. Nigdy już tak pięknie nie będzie. Przed oficyną stały palmy, donice z kwiatami, rosły kępy fioletowych bzów tureckich „lilaków”, Adam i Ewa (dwie rzeźby) na swoim miejscu niedaleko domku ogrodnika. Po co było je ruszać, przenosić? – Dla bezpieczeństwa, bronię ustaleń dyrekcji. Gdyby rzeźby nie były zakonserwowane i nie znalazły miejsca pod dachem, dzisiaj nie byłoby po nich śladu.

Pani domu – wyłączona już zupełnie z tego wszystkiego, co jest dzisiaj – nie reaguje na moje uwagi. Jest już w warzywniku nad stawem. Opowiada o do-



Fot. 23. Antoni Długołęcki w Opinogórze, lata 60.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.



Fot. 24. Opinogóra, prawdopodobnie rok 1939. Rodzina Wisiałskich.

Źródło: Kopia CTN.

rodnych winogronach porozwieszanych na nasłonecznionych murach, ogromnych złotych dyniach i egzotycznych melonach, o brzoskwiniach, drzewach morelowych, orzechach, truskawkach. Ogród łączył się prawie ze stawem, nad którym rosły kępy leszczyny. Wspaniałe miejsce dla dzieci i wiewiórek. Milczę. To przecież jej świat. Jej dzieciństwo, jej młodość. Jej legenda. Mój wygląda nieco inaczej. Też jest piękny. – Fontanna Elizy stała w innym miejscu, ożywia się pani Stanisława. – Dlaczego teraz zmieniła miejsce? – Też dla bezpieczeństwa, mówię. Trzeba było ją oczyścić i ustawić pod zameczkiem by chronić ją przed dewastacją. Delikatnie wspominam, że kiedyś wstęp do parku mieli tylko właściciele i służba porządkowa. Dzisiaj jest to miejsce publicznie dostępne. – A jakże! Pani hrabina rzeczywiście lubiła spacerować po parku. Przed każdym jej wyjściem ogrodniczek musiał sprzątać i grabić alejki. Broń Boże, żeby były jakieś ślady.

Do rozmowy włącza się pan Antoni. Wspomina o wojennych przygodach, zatrzymując się nieco dłużej na 1939 r. Powołany do wojska, opuścił ukochaną Opinogórę, żonę i trójkę dzieci: Stasię, Janka i Zygmunta. Wcielony do policji znalazł się w Łucku, później Starobielsku. Los oszczędził mu Katyńskiej tragedii, jaka spotkała wielu Polaków. Komendant policji, ojciec pana Janka Korzybskiego, nie wrócił już do Opinogóry. Podzielił los innych, ginąc w Katyniu.

Pan Antoni cudem przedostał się do armii Andersa. Z nią płynąc przez Morze Kaspijskie, dotarł do Persji. Od Stalina, tak jak jego współtowarzysze, otrzymał 500 rubli w ramach odszkodowania. Z Persji udał się do Iraku i tu spotkała go niebywała przygoda. Będąc już w randze kaprała, składał raport gen. Sikorskiemu. Później wędrówka przez Jordanię do Palestyny, pomoc w organizowaniu obozu dla żołnierzy i rannych oraz krótki pobyt w Ziemi Świętej. Transporty po rannych do Włoch i powrót do Palestyny. Do domu wrócił w listopadzie 1947 r.

Pytam panią Stanisławę, czy pamięta Adama Krasińskiego i jego żonę – Wandę z Badenich. – Adam, wnuk poety był bardzo przystojny, wysmukły, elegancki, zmarł na gruźlicę, odpowiada. Jego żona często odwiedzała moją matkę. Ubrana w słomkowy kapelusz z czarną aksamitką na szyi, w binoklach na łańcuszku i w długiej spódnicy z wkasaną bluzką ozdobioną koronkami. Robiła to zazwyczaj wtedy, kiedy wracała kareta z Ciechanowa, wypijając zawsze szklankę mleka. Chwaliła czystość i ład w domu. Była ogromną pedantką i nie pozwalała matce nawet na powieszenie firanek w oknach, twierdząc, że to niezdrowy i niehigieniczny zwyczaj.

– A jak pięknie Opinogóra stroiła się na przyjazd młodej hrabiny tuż po ślubie z Adamem, wspomina dalej pani Stanisława. Wiele dni dekorowano różnobarwnymi girlandami bramy, czyszczono alejki. Jak tragicznie wyglądała

„pusta noc” młodej wdowy, kiedy to sprowadzono trumnę z prochami Adama do Opinogóry. Hrabina samotnie w kościele przy trumnie męża spędziła całą noc i nie pozwoliła, aby ktokolwiek jej towarzyszył. Na częste pytania zaniepokojonego lokaja, czy nic się nie stało, odpowiadała, aby ją zostawić w spokoju. Tak w ciszy i modlitwie dotrwała przy trumnie męża do rana. Adam Krasiński zmarł dość młodo. Miał niespełna czterdzieści lat. Jego żona wkrótce opuściła Opinogórę.

Państwo Długołęccy wspominają następców Adama – Józefa z linii oboźnieńskiej z Radziejowic oraz jego syna Edwarda Krasińskiego ostatniego ordynata. Edward na miejscu starego dworku kazał zbudować altanę i bardzo często w niej przebywał. Jego ojciec Józef był chory i sparaliżowany. Bardzo niewyraźnie mówił. Podwożono go karetą do kościoła i dwaj lokaje Pogorzelski i Nawrocki wnosili go na stołeczku do ławki kolatorskiej. Pani Stanisława opowiada także o matce Józefa – Karolinie z Mycielskich, która zmarła w 1912 r. i pochowana została w Opinogórze. Wszyscy mieszkańcy wsi mogli ją oglądać w odkrytej trumnie. Pogrzeb nie był zbyt duży. Tym wszystkim, którzy – poza rodziną – wzięli w nim udział, hrabia Edward kazał „rozdać datki”. Pani Stanisława miała częsty kontakt z ordynatem, zobowiązana przez niego do sporządzania uroczystych obiadów (np. 2 maja w imieniny Zygmunta, dla profesorów). Dzieci i młodzież w tym dniu otrzymywały mleko i bułki.

Obydwoje małżonkowie już nie żyją. Pan Antoni zmarł 11 sierpnia 1982 r., jego żona 8 stycznia 1991 r. Pochowano ich we wspólnej mogile na cmentarzu opinogórskim. Państwo Długołęccy pełnili służbę u Krasińskich przez wiele pokoleń. Nie byli jednak służbą w powszechnie utartym stwierdzeniu. Pozostali strażnikami relikwów przeszłości i tradycji, porządku, rzetelności i ładu, a także miłości i ofiary złożonej ojczyźnie.

Na podstawie wywiadu z lat 70. i relacji rodziny Długołęckich.

Kartka z pamiętnika 9

Przy mężu... na własny rachunek

9 już czwarty rok w Opinogórze, a miało być dwa. Przypominam mężowi: – Ktoś z nas nie dotrzymał słowa, nie tak się umawialiśmy. Zameczek, to „małe чудо”, który tak zauroczył mnie na początku, zdecydowanie przytłoczył później wielorakimi problemami. Nie chcę też żyć cudzą pracą lub zbierać okruchy cudzych sukcesów. Chcę żyć na własny rachunek, chcę pracować! Ale po rozmowie z kierownikiem ówczesnego, powiatowego Wydziału Zdrowia w Ciechanowie lek. med. J. Wielgomasem, szanse moje na pracę maleją. Owszem, będzie etat, ale muszę sama zorganizować pracownię bakteriologiczną. Co z tego, że potrafię odróżnić pod mikroskopem tasiemca uzbrojonego od nieuzbrojonego. Nie mam zdolności organizacyjnych i doświadczenia w zawodzie, w którym dopiero zaczęłam „raczkować”, mając – jak na dzisiejsze czasy – uzyskany dyplom licencjacki i roczny staż w pracowni bakteriologicznej w Międzyzlesiu. Jest wprawdzie analityka, ale mdleję na widok własnej i cudzej krwi. Odpada!

Nie jestem chyba wystarczająco kreatywna ani odważna. Dlatego, mimo „szantażyków” i „pogróżek”, zostaję jako żona przy mężu. Bezrobotna! Wiem już, że od problemów muzealnych nigdy nie będę mogła się uwolnić. Może to przeznaczenie, a może brak konsekwencji i woli buntu. Tęsknię za rodziną, bliskimi, miastem. Dobry Boże, ileż to razy z wieży zameczku spoglądając w kierunku Warszawy, płakałam, że jestem tak daleko. Dzisiaj jest odwrotnie. Los potrafi płatać nam niespodzianki. I o dziwo! Przeglądając luźne notatki męża z tego samego okresu, natrafiłam na zapis wskazujący na jego podobne zniechęcenie i obawy co do przyszłości: ...*Opinogóra wciąga, odbiera siły i nie można się od niej uwolnić, czy to był słuszny wybór?* (J.K)

Znienacka spada dla mnie propozycja pracy w miejscowej bibliotece. Jest jednak pewien warunek. Do szkoły! Studium bibliotekarskie w Warszawie. Znakomicie. Już widzę światła stolicy, myśli moje krążą wokół uciech towarzyskich, kawiarni, teatrze, kinie, przyjaciółach. A nauka? Jakoś sobie poradzę. Książki lubię czytać – to chyba wystarczy. Trochę się myliłam. Na kawiarnie

i towarzyskie uciechy nie miałam zbyt wiele czasu. Żmudna nauka i wcale nie tak łatwa praca, jakby się wydawało.

Moja poprzedniczka w bibliotece pani Miecia Ropelewska wprowadziła mnie w praktyczne niuanse zawodu i... już prawie wszystkiego mi się odechciało. Dostaję lokal w „starej” gminie, który pełnił kiedyś funkcję archiwum. Mały, ciasny, ledwo sama mogę zmieścić się między regałami. Moim szefem jest pan Henryk Bogusławski, kierujący Powiatową Biblioteką Publiczną w Ciechanowie. Pedantyczny, niezwykle wymagający. Kierownikiem Wydziału Kultury była wówczas pani Lidia Krasiejko. Ich „najazdy” służbowe doprowadzały mnie do stanu katalepsji. I te pytania: – Czy książki opracowane, równo poukładane? – Czy założone i obsługiwane punkty biblioteczne, przeprowadzone wywiady? ...etc. etc. Jestem w dodatku, kolokwialnie mówiąc, jedną nogą w Warszawie, drugą w Opinogórze, a tu jeszcze dom – muzeum. Nie ma lekko. Czytelnicy też wymagają pełnej wiedzy o księgozbiorze, prowokując nierzadko do dyskusji. Wspomnę tu chociażby pana Henia Przygockiego, który zmusił mnie do przeczytania całego Faulknera. Panie Heniu, nie przeczytałam *Absalomie, Absalomie*, tej najważniejszej chyba w jego twórczości książki. Obydwu panów przepraszam. Może to jeszcze nadrobię. A w Warszawie? Wkuwam mądrości, zdaję kolokwia, biegam po drukarniach, gubię się w katalogach, bibliografiach, uczę się też gotować (tak, tak) i ... odpoczywam w Opinogórze.

Wreszcie pierwsza wizyta związana z moim przyszłym zawodem, wizyta pisarza. Ciekawa, choć trudna. Niewiele jeszcze o nim wiemy. Internet jeszcze nie działał, encyklopedie ciągle uzupełniane. Ot szkopu! Trzeba się przygotować do rozmowy, coś przeczytać. Szperam w warszawskich katalogach i mam: – „Marian Bieliński (1920) prozaik, eseista, dziennikarz”.

Człowiek o rozlicznych zainteresowaniach. Zafascynowany bogatą kulturą Mezopotamii, autor znakomitej książki *Zapomniany świat Sumerów*, w której odtworza obyczaje jednej z najstarszych cywilizacji i ... zaginionej dawno kultury. Za tę książkę pisarz zaproszony został do Iranu przez szacha Rezę Pahlawiego (1919–1980), inicjatora autorytarnych reform gospodarczych i społecznych, które w 1979 r. pozbawiły go władzy na skutek rewolucji islamskiej. Autor znany także z licznych reportaży z Mongolii, a także pięknych baśni tybetańskich. Ja oczywiście wybieram baśnie, kustoszowi zostawiając „Sumerów”. Ogromnie opasłe i z pewnością bardzo mądre dzieło. Wówczas bardziej interesowały mnie losy Sorai, pierwszej żony cesarza tak okrutnie porzuconej dla dobra dynastii. Dynastia, dynastią – a niepokój towarzyszący czekaniu na emocje intelektualne powoduje u mnie lekkie zdenerwowanie. W takich sytuacjach chętnie zamieniłabym się z żółwiem na jego temperament, ale tu trzeba działać szybko.

I tak, 29 lipca witamy oczekiwanego gościa. Towarzyszą mu Maja Makarczykowa i Olgierd Puciata. Przy ich wroście pisarz Marian Bieliński jest niewiel-



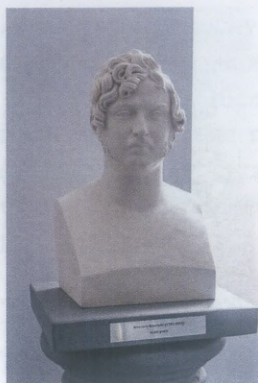
Fot. 25. Marian Bielicki.

Źródło: Danuta B. Łomaczewska.

kiej postury, w okularach, zza których spoglądają na nas przenikliwie bardzo mądre oczy, obdarzone poczuciem humoru i dobre. Po zwiedzeniu ekspozycji muzealnych udajemy się do naszego „Hadesu” i czekamy na opowieści. A było czego słuchać. Otóż, pan Bielicki, będąc już w Iranie, otrzymał zaproszenie na uroczystości koronacyjne drugiej żony cesarza. Zaproszenie ogromnie go zaskoczyło, bowiem nie spodziewał się aż takiego zaszczytu. Nie przywiązując więc szczególnej uwagi do stroju i sądząc, że przyjdzie zająć mu jakieś dalsze miejsce gdzieś na galeryjce wśród braci dziennikarzy, przyodział się w „polo”, (to taka męska moda lat 60.). Ale gdy usłyszał wywołane przez megafon swoje nazwisko, doznał szoku. I w dodatku ta prezentacja „znany polski pisarz”. Poproszono go o zajęcie miejsca dość blisko pierwszych rzędów. A wokół sama gala. Fraki, smokingi, olśniewająco ubrane damy, typowy high-live. Nie traci jednak głowy. Szybko zamienia się miejscem z jakimś dyplomatą angielskim, siedzącym w dalszych rzędach od podium. – A co miałem zrobić – opowiada. Zrezygnować z tego pięknego widowiska? Nigdy!

Słuchamy dalej z zapartym tchem. Dach świata – Tybet, Mongolia, jej czar i obyczaje, niekiedy trudne do zaakceptowania, choć czasem trzeba się do nich dostosować. I tak niebywałą odwagą wykazała się jedna z polskich pianistek, której na przyjęciu w... jurcie towarzyszył pisarz. Wypiła herbatę „ulepszoną” kawałkiem zjełczonego masła, przymykając jedynie oczy, kiedy gospodarz własnoręcznie sprawdzał temperaturę wrzątku... palcem. Przy pozostałych już „smakołykach” (oko jaka itp.), uśmiechając się i relacjonując wydarzenia związane z degustacją potraw, pisarz – ratując honor Polaka – został już sam.

Czas szybko upływa, trudno się rozstać. Gość obiecuje powroty, pozostawiając piękny autograf: – *Nareszcie muzeum, w którym człowieka urzeka atmosfera – nie tylko eksponaty. Gdy będzie mi smutno, zapragnę tu wrócić.* M. Bielicki 18 VII 1965 r. Nie było powrotów. Pisarz zmarł w 1972 r.



Fot. 26. Popiersie gen.
Wincentego Krasińskiego.

Źródło: Muzeum Romantyzmu
w Opinogórze.

Do muzeum przychodzi informacja o dwóch wyoranych rzeźbach w okolicy Krasnego, a z Warszawy o znalezionym popiersiu generała Wincentego Krasińskiego. Tak dużo pamiątek po rodzinie Krasińskich uległo rozproszeniu i zagładzie w okresie wojny, że czas już najwyższy na powroty – tych cudownie ocalałych z pożogi. I będą wracać.

A w Opinogórze? Kończy się budowa agronomówki z wydzielonym miejscem na klubokawiarnię i bliskie są także plany ukończenia budowy baru – restauracji. Oj, będzie bal...

Kartka z pamiętnika 10

Powrót Cesarza

Duchy Krasińskich czuwają nad nami niegodnymi. Jeszcze niejednokrotnie dadzą nam o sobie znać i wybawią z niejednego kłopotu czy opresji. Niezachwianie w to wierzę, tak jak w Opatrzność, mając ku temu niezbite dowody. I tak nieoczekiwanie do muzeum dociera informacja o ciekawym znalezisku z okolic Krasnego. Dwaj rolnicy w czasie prac ziemnych wyorali w polu rzeźbę. Czyją? Nie wiadomo.

Kustosz reaguje natychmiast. Uruchamia swój pojazd, motorowerek żartobliwie nazywany „odkurzaczem” i w drogę. Pozwólmy zatem, słowami zaczerpniętymi z legendy o Cesarzu, powtórzyć tę ciekawą historię, opowiadaną w jedną z wigilijnych nocy przez samego jej autora Janusza Królika. Kiedy gen. Krasiński przyjechał do Florencji, aby u mistrza Luigi Pampaloniego zamówić nagrobek swojej żony Marii, poznał tam rzeźbiarza Capariego. Rychło przypadli sobie do gustu i w winiarni nad brzegiem Arno w pobliżu Ponte Vecchio spędzili przy winie i na rozmowach całą noc. Generał tak się zapamiętał w rozmowie, że zaczął opowiadać o swoim życiu pełnym przygód, a kiedy wspominał Cesarza, łzy płynęły mu z oczu. Przyjacielu, rzekł do artysty. Ja mam taką małą biskwitową figurkę Napoleona wykonaną przez Louisa Boisota, którą zakupiłem w manufakturze w Sevres. Kiedy przyjadę do Carrary po odbiór nagrobka mojej żony, zamówię u ciebie kopię (ale powiększoną) tej figurki.

Generał i artysta dotrzyмали słowa. Gdyby modelowana figurka Napoleona mogła mówić, usłyszeli by zapewne: I tak rodziłem się uwalniany z kamiennego bloku (następnie modelowany) roku pańskiego między 14 kwietnia a 3 majem w Carrarze a dokładnie na przedmieściu zwanym Massa. Leży ono a Alpach Apuańskich u wylotu szerokiego wąwozu. Odkuwano mnie z białego marmuru, podobnie jak stojącego obok mnie biskupa (Adama Krasińskiego) czy anioła z aureolą. Proces tworzenia trwał długo. Wydobywanie z marmurowej bryły, cyzelowanie, polewanie wodą i polerowanie czyniło marmur miękki jak aksamit w dotyku. Kiedy artysta skończył modelować głowę, nos, uszy i oczy, mogłem rozejrzeć się wokół a nawet usłyszeć, co się dzieje w pracowni mistrza. Z biskupem nie udało mi się nawiązać żadnego kontaktu. Patrzył na mnie z góry, pogardliwie jak na parweniusza. Wycodził jedynie słowa, że jakoby zrobiono mnie z jakichś odpadów, bom taki mały.



Fot. 27. Figurka cesarza Napoleona
Luigi Pampaloni.

Źródło: Muzeum Romantyzmu w Opinogórze.

Com mu odrzekł, nie powiem, ale od tej pory nie odezwał się do mnie ani słowa. Wreszcie razem z nim udaliśmy się w podróż do miejsca fundatora tak odległego od Carrary, które miało stać się moją ojczyzną i przeznaczeniem.

Obydwie rzeźby załadowano do dwóch drewnianych skrzyń wymoszczonych figowymi liśćmi. Biskupa Adama – do dużej z napisem „Cardinale”, i mniejszej – Cesarza z napisem „Atenzione! Napoleon”. Rozpoczęła się długa i żmudna podróż, która trwała trzydzieści dwa dni morzem od portu do portu i wreszcie dłuższy odpoczynek z przeładowywaniem skrzyń w Gdańsku. Następnie już Wisłą i dalej Narwią do Łubienicy nieopodal Pułtusa. Podróż była nie mniej uciążliwa i długa jak żeglowanie po morzu. Po odbiór cennych arcydzieł przybył do Łubienicy administrator generała Stanisław Krynicki. Generał Wincenty przebywał wówczas w Dreźnie, zaabsorbowany ślubem jedynaka. W taki oto sposób posążek Napoleona znalazł się w Opinogórze a biskup Adam Krasiński otrzymał godne miejsce w kościele w Krasnem. Po trzech tygodniach odbyła się tu wielka uroczystość związana z poświęceniem pomnika. Zjechał biskup płocki, zakonnicy z Czerwińska, wielu księży i okolicznych ziemian. Był wśród nich i generał Krasiński.

Minęło wiele lat. Odszedł generał, jego syn, a cały splendor przeniósł się do Krasnego. Wdowa po poecie poślubiła Ludwika Krasińskiego, przeniosiła się do majątku męża a cesarz powędrował razem z nią. Rzeźbę ustawiono obok popiersia Ludwika Krasińskiego (dłuta Pesettiego) i brązowej pozłacanej grupy przedstawiającej dwa konie. Podobno jeden z nich był zwycięzcą w europejskich wyścigach. Ludwik Krasiński był znanym hodowcą koni a jego „biała stajnia”, cała w marmurach, budziła podziw wśród wielu konkurentów.

Przyszłe lata nie oszczędziły także i Krasnego. Powstania, wojny a także przemiany społeczno-polityczne doprowadziły do upadku klasy ziemiaństwa polskiego. A nasze rzeźby? Zakopane głęboko w ziemi przez ostatnich właścicieli, czekały uśpione, aż ktoś przywróci je do życia. Jedynie zaprzyjaźniony kret opowiadał im, co się dzieje na górze. I przyszedł taki dzień. Ale oddajmy ponownie głos figurce Cesarza z legendy: *Aż wreszcie jakiś hałas, łomot, coś ciężkiego rozwalilo skrzynię. Jakies nerwowe głosy, krzyki. O zgrozo! Walnęli we mnie jakimś łodem. Ostrożnie! Roztrzaskam się na kawałki. Zaczęto wydobywać nas z ziemi a następnie transportować w nieznane miejsce. Ludwika Kraszińskiego zamknęli w komórce i przysypali węglem, natomiast mnie zanieśli do jakiegoś domu i ukryli pod starą kozetką. Jak długo tam leżałem, nie pamiętam. Byłem chory, połamany, co pewien czas przychodziły jakieś dzieci, zaglądał kot i ocierał się o moje połamane nogi, czasami jakaś szczotka zamiatała wokół mnie, ale o konkretnej pomocy nikt nie pomyślał. Dopiero kiedy do tego domu zaczął przyjeżdżać jakiś pan, który z gospodarzem rozmawiał o popiersiu Ludwika, zrozumiałem, że coś zaczyna dziać się w naszej sprawie. Usłyszałem, że pertraktują o sprzedaży popiersia Ludwika. Mój Boże, żeby nie zapomnieli o mnie, ale niestety – dobijali targu wyłącznie na popiersie. A kiedy mieli kłaść podpisy pod umowę, nagle noga tego pana dotknęła mojej głowy. Odchylił róg narzuty i zapytał! – A co tu robi ten Napoleon? – To jest taka ruina – odpowiedział lekceważąco gospodarz – która była w tym samym dole i nie chciałem jej tam zostawić. Ruina? Bezcelny kłamca! Kto mnie do tego stanu doprowadził? – Ta figura również mnie interesuje. Postaramy się ją wyleczyć, odrzekł mój wybawca. I tak zaczął się kolejny etap mojej życiowej drogi. Zakupił mnie kustosz Muzeum Romantyzmu w Opinogórze (1964). Oddano mnie do kliniki rzeźby w Warszawie. Posklejano, uzupełniono brakujące części kapelusza i usytuowano na honorowym miejscu. Spotkałem tu także mojego generała (popiersie Bosiego) i hr. Ludwika. Stoję tu już wiele lat i cieszę się niesłabnącym zainteresowaniem. Zauważyłem, że w Polsce Cesarz ma bardzo wielu sympatyków, którzy widzą w nim symbol nadziei, której im wciąż brakuje. Nieco inaczej odbierają mnie obcokrajowcy. Taki Anglik, mieszkający w domu z XVII wieku, kiedy odwiedził nasze muzeum i usłyszał od kustosza moją historię, pojął to jednoznacznie i skomentował słowami: – Powinniście w tym miejscu głębiej orać, bo może tam takich Napoleonów jest więcej. Kompletny ignorant. Polskich dróg to on poznawać i zrozumieć nie chce. Stojąc tak na postumencie zastanawiałem się nieraz, czy Ekscelencji nie oberwało się także w tych licznych zawieruchach wojennych i czy dzisiaj również dumnie prezentuje się w swoim kościele. Oj, oberwało się, oberwało! Ale wszystko jest już w porządku, a i nawet przeżywa swój wielki renesans w pełni splendoru i majestatu trwając na straży swojego kościoła².*

² Na podstawie legendy J. Królika, *Powrót Cesarza*, opracowała Bożena Królik.

Kartka z pamiętnika 11

Zakonnik z Maria Laach

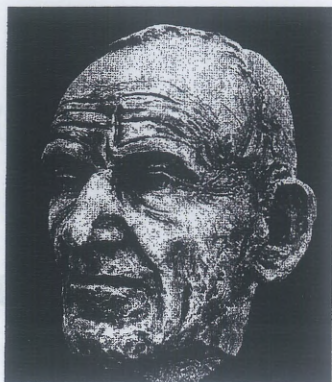
Benedyktyn, doktor medycyny tybetańskiej, autor wielu znakomitych dzieł teologicznych, filozof, badacz prehistorii ludów Wschodu, archeolog, kompozytor, podróżnik. Rodowe nazwisko – Jan Kazimierz hr. Korwin Krasieński. Urodził się w 1905 r. w Regimentarzówce na Ukrainie. Po maturze, którą zdał w Krakowie, poświęcił się studiom pianistycznym w konserwatorium a także komponowaniu, co czynił prawie do końca życia.

Myśl o wstąpieniu do seminarium duchownego nurtowała go już od wczesnej młodości. Zanim podjął tę ostateczną decyzję, po maturze rozpoczął jeszcze studia na Wydziale Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie studiował także historię i filozofię. Dopiero po śmierci ojca w 1928 r. zdecydował o wyborze studiów teologicznych. Ogromny zapewne wpływ na kształtowanie się jego myśli duchownej wywarł przyjaciel rodziny kardynał A. Sapięha.

Udał się więc Krasieński do Paryża, gdzie rozpoczął naukę w Instytucie Katolickim. Tu znalazł się w gronie bohemy artystycznej. Nie przerywając nauki, doskonalił się dalej w komponowaniu a nawet zaczął malować. Poznał znakomitych przedstawicieli cyganerii paryskiej: Diagilewa, Strawińskiego, Picassa. Pod wpływem tamtego środowiska zaczęły więc powstawać pierwsze kompozycje malarskie. Otrzymał nawet propozycję na wykonanie scenografii do przedstawienia Baletu Rosyjskiego.

Świat artystyczny cyganerii nie wciągnął go ostatecznie. Zaledwie posmakował tej wolności, jaką tak bardzo podziwiali jego rówieśnicy. Dojrzała inna decyzja. Pozostawił więc Paryż i w roku 1931 udał się do Innsbrucka. Po pięciu latach nauki (filozofia i teologia) uzyskał papieski tytuł magisterski z propozycją profesury. Zaniechał i tego. Po rozmowie z opatem klasztoru Maria Laach³, podjął decyzję o wstąpieniu do zakonu benedyktynów.

³ Opactwo Maria Laach – klasztor benedyktyński w Niemczech, przykład sztuki romańskiej doby Hohenstaufów. Założony w 1093. W 1127 erygowany jako opactwo. Po sekularyzacji na początku XIX w. opactwo było placówką jezuitów. Benedyktyni powrócili tam w 1892 i posługują do dzisiaj. Zob. Wikipedia.



Fot. 28. Rzeźba głowy Jan
Kazimierza hr. Korwin
Krasińskiego – o. Cyryla.

Źródło: Muzeum Romantyzmu.

Wyświęcony w Krakowie w 1936 r. swoją pierwszą mszę prymicyjną odprawił w rodzinnej Mszanie Dolnej w noc Bożego Narodzenia. Jak nam opowiadał: „Było pięknie i na niedzielną prymicję ludzie zeszli z gór, przynieśli jadło w koszach, śpiewali nieszpory po polsku”. W 1937 r. Jan Kazimierz Krasiński przyjmuje imię zakonne Cyryl. Pozostaje już w oddaleniu, ale nie zamknięty, nadal otwarty na świat i ludzi w nieco innym jednak wymiarze.

Polityka pod koniec lat 30. dociera również do klasztoru. Faszyzm staje się coraz bardziej groźny i wkrótce zapuka do furty klasztornej, aby upomnieć się o niepokornego mnicha. Aresztowania wśród znajomych, deportacje i śmierć zbierają żniwo. Represje dotknęły również ojca Cyryla. W asyście gestapowców opuszcza klasztor. Aresztowany, chory, przewieziony do szpitala, czeka na wyrok. I tu szczęśliwie przychodzi interwencja od samego króla Włoch Emanuela III, kuzyna, wnuka Franciszki Krasińskiej. „Wstyd mi do dziś, że tak własną skórę obroniłem, podczas gdy tylu innych, nie mających za plecami jakiegoś pomocnego monarchy czy ministra, musiało ponieść śmierć. Boże bądź miłościw mnie grzesznemu” – pisał po wojnie.

Dzięki ci Boże za ojca Cyryla. Po wielu, wielu latach stanie się wielkim orędownikiem Opinogóry. To on pozwoli nawiązać kontakty z rodziną Krasińskich w celu pozyskania pamiątek po Zygmuncie. Siostra o. Cyryla – Maria Drucka-Lubecka – przekaze muzeum cenne portrety antenatów rodziny, którzy w różnych okresach naszej historii piastowali ważne urzędy kościelne i państwowe. Dziś zdobią sale oficyny dworskiej. Maria Krasińska-Rudecka zasilą również zbiory muzealne w ciekawe meble i portrety. Brat o. Cyryla – profesor Uniwersytetu w Calgary – ofiaruje cenną pamiątkę z kolekcji rodzinnej.

Ten wspinały Alchemik Ducha, jak nazwał go Budrewicz, zawsze znajdzie czas dla Opinogóry, będąc z wizytą w kraju czy w korespondencji: „Sz. RK! Całym sercem życzę Wesołego Alleluja, szczęśliwych staropolskich Świąt Wielkanocnych z Polskim Świętym, którego tu burżuazyjny Zachód nie zna...”.

Wizyty z potomkami Brühlów, przyjacielem arystokratą niemieckim von Mülem, braćmi Józefem, Andrzejem, bratankiem Piotrem zaowocowały w inwentarzu muzealnym, poszerzając zbiory o ciekawe pamiątki rodzinne. Za każdym razem ilekroć odwiedzał Opinogórę, żywo interesował się nowymi nabytkami. I wreszcie ostatnia wizyta w Opinogórze na dwa lata przed śmiercią. Ledwo przekroczył próg i od razu pytanie: – Co nowego macie? Pokazuję obraz Wolskiego, na którym cyganka przestrzega przed wyprawą rosyjską, wróżąc przegraną batalię. Ojciec Cyryl na to – Hmm. Coś w tym jest. Cyganka przepowiedziała Poniatowskiemu, że zginie przez srokę. A sroka w języku hiszpańskim to elster.

– A z tymi flagami niemieckimi to prawda? – pytam. – Ach te flagi, no cóż to prawda! I lekceważący ruch ręki, bo myśli skupione już na innym ekspozycie. Z flagami wiąże się niezwykła historia. Otóż po deportowaniu o. Cyryla do Polski, już po kapitulacji, kiedy znalazł się w Warszawie, Niemcy szczególnie hucznie rozpoczęli uroczystości na znak zwycięstwa. Siostry zakonne ukryły go na poddaszu swojego domu, gdzieś na Woli. Na rozkaz okupantów zaczęły bić wszystkie dzwony, kazano wywiesić flagi we wszystkich urzędowych budynkach. Przerażony zakonnik widząc ten znienawidzony symbol faszyzmu, rozpoczął... egzorcyzmy: – Zły duchu rozkazuję ci w imię Ojca i Syna – idź precz!. I wtedy przy idealnej, bezwietrznej pogodzie flagi zaczęły spadać. Flagi spadają też z sąsiadujących gmachów. Egzorzysta zaprzestaje działać na skutek usilnych prośb przerażonych zakonnic. Wkrótce cała Europa pozna ten znak haniebnego znieważenia.

Polski zakonnik otrzymuje pozwolenie na wyjazd z kraju do Rzymu, gdzie przebywać będzie do 1947 r. We Włoszech nie zaprzestaje swojej działalności politycznej i naukowej. Utrzymuje kontakty z rodakami, niejednokrotnie pomagając im opuścić kraj. I znów budzi zainteresowanie władz niemieckich. Płyną zaszyfrowane listy do Polski i z kraju do Rzymu. A. Sapieha przestrzega zakonnika i zabrania wręcz działalności. Być może jeszcze raz o. Cyryl ratuje życie. Pracuje na Uniwersytecie Laterańskim, publikuje filozoficzne oraz medyczne dzieła z zakresu filozofii i medycyny wschodniej.

Po wojnie wraca do Maria Laach. Podróżuje po świecie, zbiera materiały. Pełni także dyżury w konfesjonale, oprowadza wycieczki po zespole klasztornym. Poliglota, ze znajomością siedmiu obcych języków, przypomina rodakom o obecności w Kolonii Rychczy – polskiej królowej, matki K. Jagiellończyka. I biada temu, co nie zna historii!!! Każdy dzień o. Cyryla wypełniony jest benedyktyńską pracą, pełną samodyscypliny, wspieraną głęboką wiarą w cudowną moc Boga. Umiera w 1992 r.

Jemu to Muzeum Romantyzmu zawdzięczać będzie większość pamiątek rozproszonych wśród krewnych zamieszkałych w Polsce lub za granicą. Był wielkim ambasadorem Opinogóry.

Kartka z pamiętnika 12

Za kawałek sznurka do Ravensbrück

KL Stutthof i KL Ravensbrück – to dwa obozy koncentracyjne założone przez hitlerowców w 1939 r. Jeden nieopodal Gdańska i Sztutowa, drugi na terenie Niemiec, na obrzeżu miasta Fürstenberg/Havel. W KL Ravensbrück więziono głównie kobiety, które poddawano zbrodnictwom eksperymentom medycznym. Znalazło się tam około 132 tys. więźniarek, w tym około 30 tys. Polek. W komorach gazowych i egzekucjach zginęło 92 tys., w tym 17 tys. Polek. W KL Stutthof na początku więziono głównie Polaków, później także obywatele innych okupowanych krajów. Przez obóz ten przeszło około 110 tys. więźniów, zginęło 85 tysięcy. Obydwa obozy wyzwolono w 1945 r. To już historia. Odległe lata, suche statystyczne fakty, zarejestrowane w encyklopediach. Przeszłość jest jednak nieodłączną częścią życia każdego z nas. Niełatwo wykreślić ją z życiorysu a szczególnie z pamięci. Żyją jeszcze wśród nas ludzie pamiętający z autopsji koszmar tamtych wydarzeń. Niekoniecznie są to bohaterowie, ot po prostu ofiary wojny, nierzadko bezimienni, zapomniani.

Osoba o której tu piszę – pani Stanisława Adamska-Szymczakowa, spędziła cztery lata w dwóch wymienionych obozach. Mieszka w Opinogórze. Ciężkie dzieciństwo, tragiczna młodość jeszcze dzisiaj, po wielu latach, wraca do niej w bezsenne noce. Nikt jednak z nas nie zdejmie z niej ciężaru mrocznych lat wojny. Lęk wraca nocą i nie da wyrzucić się z pamięci.

Jej dzieciństwo też nie było łatwe. Urodziła się w Kobylinie w gminie opinogórskiej w rodzinie komorniczej⁴. Rodzice służyli u dziedzica, właściciela niedużego majątku. Stanisława, średnia z rodzeństwa, pomagała przy najmłodszych. W domu było ośmioro dzieci. Choroby, niedożywienie powodowały śmierć tych słabszych. – Nie zdążyło się czasem dowieźć ich do lekarza. Tak szybko umierały. – Trudno powiedzieć, na co – dodaje.

⁴ Komornik – chłop nieposiadający ziemi i zabudowań, mieszkający najczęściej u innych chłopów, utrzymujący się z pracy najemnej we dworze lub u zamożniejszych chłopów. Zob. Wikipedia.

Wkrótce się polepszyło, kiedy z rodziną przenieśli się do pobliskiego Wierzbowa, do nowej pracy. Ciągłe jeszcze na cudzym. Tu było znacznie lepiej, ale trwało zbyt krótko. Nieoczekiwanie przyszła choroba ojca, który po sześciu latach pracy został zwolniony i wówczas rodzinę przyjął gospodarz z Wierzbowa. Także na określonych, komorniczych warunkach. Starsi bracia paśli bydło, matka pomagała w gospodarstwie, dojąc krowy. Dobry rok, dobre dwa lata. Za kąt, za marne wynagrodzenie. Mieli także swoją krowę, co dawało im szansę na nieco lepsze przetrwanie. Nie było najgorzej. Taka tułaczka, zwykle komornicze życie. Ciągłe w poszukiwaniu pracy, dachu nad głową. Później były Jadźwiny. Mieszkanie w wynajętej lepiance, za które naturalnie trzeba było odpracować. A na wsi zawsze dużo pracy i obowiązków. Po Jadźwinach, Łaguny-Warchoły i tak z miejsca na miejsce. Trochę szkoły, zaledwie trzy klasy i wybuch wojny.

Cała rodzina, ogarnięta paniką i wiadomościami o zbliżającym się froncie, ucieka pod Warszawę. Byle dalej, byle przed siebie. Lęk przed nieznanym nie każe zastanawiać się nad sensem czy celem ucieczki. Robili tak prawie wszyscy. Ale Niemcy byli już wszędzie. Trzeba było wracać. Nie wszystkim z rodziny było to dane. – Niemcy zabrali obu starszych braci, jednego wkrótce wypuścili z powodu młodego wieku, starszego zabrali na roboty do Niemiec – wspomina pani Stanisława. Uciekł po półtora roku i odnalazł rodzinę w Bartołodach. Piętnastoletnia Stasia znalazła pracę w Żmijewie koło Krasnego w folwarku zarządzanym przez Niemców. Pracowała, gdzie się dało. Przy pieleniu, w oborze, przy żniwach. Tak minęły jej trzy lata okupacji. Przyszły wreszcie te nieszczęsne żniwa.

Był 1942 rok. Od świtu do wieczora ciężka praca. Spięte, rozwścieczone twarze nadzorców nie pozwalały na dłuższy odpoczynek. A wokół intensywny zapach dojrzałego lata tak bardzo odwodził od pracy. Gdyby tak znów uciec do matki, odpocząć lub pójść nad staw? Tyle razy już to robiła. Może żandarmi nie zauważą krótkiej nieobecności? Wahając się, wchłaniała te zapachy lata z jakimś niezrozumiałym dotąd roztargnieniem, tak jakby robić to miała ostatni raz. Z nieba lał się żar. Ręce krwawiły przy wiązaniu ciężkich snopów. Słońce jeszcze dość wysoko, jeszcze nie czas myśleć o odpoczynku. Gdyby tak zdobyć kawałek sznurka. Tyle tego w magazynie. Można by zrobić rękawiczki. Ręce może przestaną boleć. A może i skarpetki? Prawie każdy tak robił.

Niemcy weszli do domu, kiedy na drutach z ukradzionego sznurka robiła rękawiczki. Nie patrzeć na nich, nie zwracać uwagi, może przyszli napić się wody, zapytać o drogę, czy po prostu poszperać, co często czynili. Mocniej zacisnęła palce na drutach, aby powstrzymać drżenie rąk i paniczny strach. – Stanisława! Szykuj się! – powiedział jeden z nich. Nie pomogły prośby, płacz matki. Węzelek naprędce uszykowany, coś na siebie i w drogę. Najpierw noc spędzona w komórce w Woli Wierzbowskiej i oskarżenie: za kradzież sznurka i ucieczkę z pracy. To poważne zarzuty dla tak młodej dziewczyny.

Na drugi dzień znalazła się w Ciechanowie. Znów jakieś przesłuchanie i skierowanie do pracy na peryferiach miasta. Skubanie gęsi. – Lepsze to już od wiązania snopów zboża, pomyślała. Później przewieziono ją do pracy w Sońsku. Jeszcze blisko domu, rodziny. Umieszczono ją w jednym z baraków, gdzie było już prawie stu współwięźniów. Mężczyźni i kobiety. Pracowali przy noszeniu kamieni i utwardzaniu szosy. Było ciężko, ale nadzieja na rychły powrót do domu dodawała siły.

I nagle wiadomość, która poraziła boleśnie. Wraz z pozostałymi więźniami skierowana została do obozu w Stutthofie koło Sztutowa. Brzmiało to nie tak obco, coś z polska... i Gdańsk nie tak daleko. Brat uciekł z samych Niemiec, jej też może się to udać. Tylko słowa pilnującego strażnika budziły jakiś nieokreślony lęk: „tam, gdzie was wiozą, rozsypiecie się jak gęsi. Żal mi was...”.

Zajechały zakryte „budy”, załadowano po pięćdziesiąt osób do każdej i w drogę. Żadnego jedzenia, żadnego postoju. Tylko żandarmi wychodzili. Potrzeby fizjologiczne załatwiano na miejscu. Nie było czasu na wstyd. Każdy kilometr oddalał od domu, rodziny. Sparaliżowani strachem, niepewnością przed nieznanym, przestali reagować na wszystko.

Pod wieczór dotarli do Mierzei Wiślanej, skąd promem dopłynęli do obozu. Ciemno, w oddali szara masa czegoś, co przypominało jakieś baraki. Biegiem po pięćdziesiąt osób do klitek i tak bez mycia, jedzenia, spania. Rano do przeglądu. Świdrujący mózg głos, twarde palce ujmujące podbródek. – Ile masz lat? Dwanaście, trzynaście, dwadzieścia? Dane personalne i pierwszy numer obozowy – 19040. Dali pasiaki, zaprowadzili do łaźni z – na przemian – zimną i gorącą wodą i zabrali do lekarza. Krępujące badania, obojętność i obawa, co dalej. Na początku praca w lesie przy noszeniu drągów na nowe baraki. Później kobiety przesypywały piasek do zaprawy z wapnem. Najgorzej było patrzeć, jak przez obóz wracali z pracy mężczyźni. Bici, mordowani, padali przy bramie obozowej. A wszystko odbywało się przy dźwiękach obozowej muzyki.

Trupy przewożono do krematoriów samochodami. Zrzucali je jak szczapy drewna. – Wtedy głośno płakałyśmy – mówi pani Stanisława. – Ale i tego nie wolno nam było robić. Wachmanka waliła za to po twarzach. Łzy piekły pod powiekami.

Musiała być twarda, aby przeżyć. Nie myśleć o przeszłości, trzeba było żyć nowym życiem. W nowym zupełnie otoczeniu. Nie powinna także czuć się winna. To zaledwie kawałek sznurka. Ale kiedy stała na apelu wśród innych, tak bardzo samotna wśród obcych ludzi, łzy i poczucie niewyjaśnionej winy niemalże ją dławiły. Później przyszło pewne zobojętnienie. Ciała już nic nie czują, cierpią żywi. Musi przeżyć. Jest młoda.

W KL Stutthof przebywała dziesięć miesięcy. Pracowała różnie. Nawet przy stołówce w kartoflarni. Najgorzej było w pralni. Żrące środki, jakich używa-



Fot. 29. Więźniarki w Ravensbrück.

Źródło: Wikipedia.

no do prania, spowodowały ciężką chorobę oczu. W obozie pracowali polscy i niemieccy lekarze. Trafiła na swojego z Warszawy. To on uratował jej oczy. Po wyleczeniu na prośbę lekarza, skierowana została do szwalni, gdzie przyszywała guziki do mundurów wojskowych. W obozie spotkała dwie swoje rodaczki, Smolińską i Mariannę Kozłowską z Przasnysza. Pomagało to jakoś znosić niewolę i dzielić trudy.

Kiedy w Warszawie wybuchło powstanie, przybyli nowi więźniowie. Stanisławę z setką innych kobiet wywieziono do Ravensbrück. Wieziono je samochodami w cywilnych ubraniach. To pewno wolność, myślały. A tu następna brama, znienawidzone czarne swastyki, golenie głowy, łaźnia, bolesne zastrzyki dopochwowe i kolejny numer obozowy – 24404. Praca przy bunkrach, wożenie ziemi i utwardzanie gruntu poza obozem. Cały czas przy dzikich wrzaskach strażników przywołujących do porządku półżywych „pensjonariuszy”. Najgorzej miały Żydówki i Rosjanki. Dla nich nie było litości.

Czasem dostawały paczki. Te skromne dary z domu pozwalały przetrwać głód i samotność. Chleb pieczony przez matkę przywoływał zapach domu, przypominał czułość jej rąk. Miał wartość większą niż sam jego smak. Zroszony łzami, całowany, dzielony między siebie lub czasem – tak z łakomstwa – zjadany ukradkiem, przypominał wszystko co najdroższe a tak odległe. Jedzenia było

ciągle mało. Brukiew, buraki, zupy jakieś zielone, przydzielowy kawałek chleba z odrobiną marmolady nie napełnił ciągle głodnych żołądków. „Patrzyło się na ten chleb, całowało zanim zjadło”. Dlatego tak bardzo czekały na ten domowy. Matka ukryła w nim czasem, a to kawałek słoniny, a to butelkę miodu. I tak dawało się jakoś przeżyć. Spokoju nie dawały dymy. Ciężkie, czarne, groźne, na które nie wolno było nawet patrzeć. Wiedzano jednak, co tam się dzieje.

Wkrótce do obozu przywieziono nowych więźniów. Byli to warszawscy powstańcy. Trzeba było zrobić miejsce nowym. Stanisławę i około stu innych więźniów ubrano znów w cywilne ubrania i wywieziono bliżej Berlina, do fabryki amunicji. Były tam także samoloty. Obóz oddalony był około dwóch kilometrów od miejsca pracy. Kobiety pracowały przy naprawie skrzydeł, pod ścisłym nadzorem. Zaczynały się naloty, wyły syreny, trzeba było się chować. Nadzieja wolności była jednak bardzo bliska. Był już 1945 rok.

Ktoregoś rana zabrano im ubrania i nie puszczano do pracy. Wszystko poszło do odkażania. Tak w niepewności przesiedziały całą noc. Następnego dnia, pod wieczór, oddano im czyste pasiaki, każda otrzymała koc, miskę, po kawałku chleba i kielbasy, i na apel. Później szły pieszo całą noc w nieznanym kierunku, oddalając się od Berlina. Prowadziły wachmanki z bronią. Po drodze trupy mężczyzn. To ci, którzy już nie mieli siły iść. W pewnym momencie coś dziwnego zaczęło się dziać, wachmanki zaczęły przebierać się w obozowe ubrania, pojawiła się jakaś opuszczona polowa kuchnia niemiecka i kucharz rozdający jedzenie. To śledzie. Nie było już strażniczek. Uciekły gdzieś w las. Jakież lecące nisko samoloty, tory, kolejka, bombardowanie. Uciekający w popłochu Niemcy zdzierający wojskowe epolety.

Nagle cisza. Nie ma już Niemców. Przy torach zupełnie obcy żołnierze, w oddali dudnienie czołgów. I pierwsi jeńcy niemieccy. Z takim samym strachem w oczach, jak one kiedyś. To już wolność. Nie mają ochoty na najdrobniejszy chociaż odruch zemsty. – Do domu! To staje się teraz najważniejsze.

Rosjanie dali konie, wóz drabiniasty, żywność i tak w kilka osób skierowali się na Bydgoszcz. Stasia z koleżanką przenocowała u kolejarza i rano koleją do Przasnysza. Dwie obozowe koleżanki wracały razem w swoje strony. Zanim przyszedł czas na wzruszenia rodzinne, wytarzały się w soczystej zielonej trawie tuż po wyjściu z kolejki. Wreszcie wolne, wreszcie już u siebie.

Na podstawie rozmowy przeprowadzonej w 1997 r.

Kartka z pamiętnika 13

Szulmierska przygoda

Piękny czerwcowy dzień 2015 r. Pachną bzy i akacje. Stojąca nieopodal ławeczka kusi do odpoczynku, pozwalając dać ulgę „zdeptanym” stopom. Idealna pora i miejsce na wspomnienia. Myśli poszarpane, nie podporządkowane woli, szukają podobnego czerwca chcąc odnaleźć atmosferę tamtych lat, tamtych dni. Wokół cisza. Nawet wszędobylskie wrony gdzieś poleciały. Wszystko niby tak samo, a jednak inaczej. Dzisiaj chłonie się każdą chwilę, każdą minutę, pragnąc wygrać z tym nieubłagany czasem, którego nie sposób zatrzymać. Kiedyś nie zwracaliśmy na to uwagi. Żyliśmy tak, jakby czas nie dotyczył nas. Wszystko było dla nas i w nas, tak jak oczywiste było oddychanie, bez zadyszki i zmęczenia. To przywilej wieku i egoizm młodości. Dzisiaj już wiem, że czasu nie da się zatrzymać. Nie da się także przewidzieć tragicznych wydarzeń, które wplatają się w nasze życie, tak boleśnie raniąc. Myślę tu o mojej przyjaciółce Marii Pietrzak-Roszek, która odeszła nie tak dawno.

Była przez wiele lat wspaniałym lekarzem stomatologiem w Opinogórze, zyskując sobie ogromny szacunek i sympatię jej mieszkańców. Nasza ostatnia wielogodzinna rozmowa, zaledwie trzy dni przed jej śmiercią, poświęcona była jak zwykle wspomnieniom. – Mirko, dla Ciebie więc nasza „Szulmierska przygoda”, której zapewne nie znałaś.

Lata 60. – czerwiec. Mąż proponuje wycieczkę do Szulmierza, w odwiedziny do ... Żeromskiego. To zaledwie dziewięć kilometrów od Opinogóry. Niezawodny motorowerek wiezie nas przez Dzbonie i Kotermań w stronę Włostów. Jeszcze tylko parę kilometrów a przed nami wzgórze porośnięte jałowcami, byliną, jakieś sosenki i kilka brzošek. Pełno tu kwiatów polnych i ładnych kamieni. Wdrapujemy się na górę, skąd roztacza się wspaniały widok na całą okolicę. Na prawo lasy Szulmierza, z lewej strony Regimin, lasy lekowskie, a na wprost Zeńbok. Wokół pola i widok aż po Grudusk. Na polach ludzie pasący krowy, gdzieś daleko na drogach furmanki i samochód, a za górą gwizdzą kolejka wąskotorowa. Wiatr wieje prosto w twarz. Docieramy do Zeńboka. W tej wsi w 1863 r. stoczył z kozakami bitwę Zygmunt Pad-



Fot. 30. M. Pietrzak-Roszek
z autorką wspomnień.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.

lewski. Krótki odpoczynek w gościnnej plebanii ks. Eugeniusza Pydyńskiego i... do Szulmierza.

Droga dobra, wyremontowana. Mąż wspomina, jak dwa lata temu ratowaliśmy na niej pijanego chłopca, któremu rozwalił się wóz. I oto przed nami docelowe miejsce podróży. Dwór a przed nim nowo postawiony pomnik, a właściwie popiersie Stefana Żeromskiego, dłuta Zofii Wolskiej. Ufundowane w 40. rocznicę jego śmierci (1965) przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Ciechanowskiej. Na ścianie dworu marmurowa tablica upamiętniająca obecność pisarza, który przebywał tu w r. 1887 pełniąc funkcję guwernera synów właścicieli majątku państwa Cyprysińskich.

Wchodzimy do środka i przy małym barku raczymy się oranżadą i herbatnikami, pytając o pokój Żeromskiego. – To dzisiaj biblioteka, odpowiada miła pani i prowadzi nas ciemnymi, stromymi schodami na górę. Na końcu korytarza z lewej strony drzwi, przez które wchodzimy do dużego, oświetlonego przez trzy okna pokoju. Środkowe to właściwie oszklone drzwi prowadzące na taras. Prosimy o „Dzienniki” Żeromskiego. To tu, w tym pokoju autor „Syzyfowych prac” i innych znakomitych utworów opisywał miejsce, w którym przebywał: – *Na balkon wychodzą trzy duże okna z naszego pokoju. Przed pałacykiem roztacza się szeroki dziedziniec, pośrodku którego leży równa elipsa gazonu*”. Pokój nagrany czerwcowym słońcem tworzy nastrój.

Odkładamy książkę i wychodzimy na balkon. Może towarzyszy nam sam pisarz, zdziwiony widokiem własnego popiersia? Wypatrujemy, tak jak on niegdyś, Opinogóry. Wysokie drzewa zasłaniają widok na wieżę zameczku. Koncentrujemy się na słowach bohatera naszej wyprawy, szukając wspomnień związanych z Opinogórą. Dyskretnie podpatrujemy hałasujące na balkonie wróble, tak humorystycznie opisane w „Dzienniku”. A może właśnie wśród nich znajduje się potomek słynnego wróbla Casanowy, który tak zaimponował Żeromskiemu? I wreszcie znaleźliśmy jego wspomnienie z Opinogóry. – *Byłem*



Fot. 31. Dworek w Szulmierzu.

Źródło: Wikipedia.

dziś w Opinogórze. Od dawna, odkąd tu jestem, wdychałem do tej wycieczki, jak muzułmanin do zwiedzenia grobu Mahometa. Jeździmy konno z Kaziem. Ja na jednej z czterech klaczy cugowych – on na kucu. ... Zaledwie minęliśmy Kotermań – zarysowała się wyraźnie wieżycza zameczku, do którego zdążaliśmy – ... i stajemy wkrótce wobec muru otaczającego park opinogórski. ... Srebrne brzozy, wierzbry rzucające w wodę gałęzie, a od nich idą w różne strony aleje zapuszczone, straszne, przepiękne. ... Park ten zrobił na mnie wrażenie takie jak Łazienkowski. Trudno oderwać się od lektury. Myślą towarzyszymy pisarzowi w drodze do zameczku, kościoła, cmentarza. ... Po drugiej stronie pałacu i parku wznosi się kościół. Żaden z kościołów warszawskich nie zrobił na mnie takiego wrażenia. Jest to jakieś greckie cacko, cudowna myśl architektoniczna... I dalej ... Poszedłem na plebanię. Ponieważ proboszcza nie było, umiznąłem się do księżej gospodyni, odesłała mnie do kościelnego. Dotarł do katakumb, tej „Wiecznej sypialni smutnego ducha poezji polskiej”, na cmentarzyku „uszczknął gałązkę akacji”. Nam pozostawił cenne zapiski. ... Weszliśmy do wiecznej sypialni smutnego ducha poezji polskiej. Stoi tam na drewnianych podstawach sześć drewnianych trumien. Pośrodku stoi wielka dębowa, zwykłego formatu – to trumna Wincentego. Obok tej – czarna, suknem obita, otoczona srebrną lamą, mającą kształt zwykłej podłużnej skrzynki, ściętej cokolwiek w głowach. Pośrodku płaskiego wieka przybita mosiężna tablica i dużymi literami wyryto na niej: ZYGMUNT KRASIŃSKI + 1859. Nic więcej... Obok dużej trumny małego ojca – mała trumienka czarna wielkiego syna... Jesteś w tym podziemiu Polakiem, czcicielem wielkiego prochu”...

Żeromski ponawiał wielokrotnie swoje wędrówki po okolicy. Konno lub pieszo. Sam lub ze swoimi podopiecznymi, zwiedzając zabytkowe kościółki w Przedwojewie i Koziczynku, podziwiając urokliwe kapliczki przycupnięte na rozstajach dróg. Może spotkał tam małego kilkuletniego artystę nazywanego przez rówieśników Gawronem, strugającego w drewnie przemysłne figurki, później znanego rzeźbiarza, malarza, dramatopisarza Bolesława Biegasa. Pisarz

za swoją pracę w Szulmierzu otrzymywał miesięcznie 50 rubli, mając pięć godzin zajęć dziennie z dwoma uczniami – synami właścicieli majątku. Napisał tu dwie nowele: „Zapomnienie” i „Chmara dziewcząt”.

Czas nagli. Pora wracać do domu. Jedziemy nieco inną trasą, przez Ciechanów i Kąty. Zamyka się koło. Po pięciu godzinach wracamy z innego świata, wizyty w innej epoce, z XIX w., który dla nas na co dzień przenika się z chwilą obecną.

Po przyjeździe do Opinogóry na biurku pilne wiadomości zawiadamiające o wizycie Krasińskich, propozycjach nawiązania kontaktów z grupą poetów skupiających się wokół Stanisława Grochowiaka a także Ernesta Brylla i Jerzego Gruzy. Elektryzująca wiadomość od... elektryka z Warszawy, na temat domniemanej rzeźby Wincentego Krasińskiego.

A w samej miejscowości? Wre kulturalne życie w nowo powstałej agromówce klubokawiarni z telewizorem i fusowatą kawą (ekspresu jeszcze nie znaliśmy), nader częste odwiedziny baru usytuowanego na skraju parku i moje nieudane pokazy pt. „Napoje bezalkoholowe”. Proponowałam degustacje, ale nikt nie chciał brać. Z uszczerbkiem więc na honorze dołączyłam do większości... w barze. Przyjęto mnie całkiem przyjaźnie i pobłażliwie. Gorzej było z powrotem. W każdym razie na długo przeszła mi ochota na jakiegokolwiek napoje, włącznie z bezalkoholowymi.

Kartka z pamiętnika 14

Historia jednego eksponatu

Kiedy wiele lat temu rozpoczynałam pracę w muzeum nie zdawałam sobie sprawy, że przekraczam jakąś granicę zaczarowanego świata, czasu od którego nie będzie już odwrotu. Czasu, który zatrzymał się dla mnie w epoce romantyzmu. Zawsze bardziej interesowała mnie ta „druga strona lustra”. I może dlatego łatwiej mi było pojąć „mowę” prezentowanych eksponatów, przedmiotów pozornie martwych. Nic bardziej mylnego. Jeśli tylko uważnie wsłuchamy się w ich historię i poznamy ich pochodzenie, wiele mogą nam o sobie powiedzieć. O ludziach, którzy je tworzyli, którzy je kochali i o całej atmosferze tamtych lat zatrzymanych w czasie i miejscu. To także piękno zamknięte w kształcie eleganckiego biureczka, starego dagerotypu, obrazu, koronkowego wachlarza, czy lustro w srebrnej ramie. Muzea to nie tylko miejsca gromadzenia i ochrony dzieł sztuki, to „...ciągły konflikt między pamięcią tego, co było, a dynamiką popychającą nas ku przyszłości” (Mathew Gerald). Co wcale nie wyklucza wykorzystywania postępu technologicznego i całego multimedialnego świata we współczesnych środkach przekazu. Z jednym zastrzeżeniem, aby nie przekroczyć tej bardzo delikatnej granicy, poza którą wartości muzealne mogą się przeobrazić w zabawę Disneylandu. Historia prawdziwa, którą dzisiaj przedstawię wiąże się z moim ulubionym eksponatem. Niestety nie kończy się happy endem.

Kiedy w muzeum pogaszono już światła i pozamykano drzwi, zapaliła się czujka przeciwpożarowa. Nagle, w ciemności rozległ się nieśmiały głos: – Może byśmy porozmawiali? Przed nami długa noc, a na spanie jeszcze za wcześnie. Długo naradzano się komu oddać głos, którą historię wybrać, kiedy spod wieży do czerwonego saloniku, gdzie odbywało się spotkanie, „przyczłapała” żyrafa. Nieco zmęczona po całym dniu prezentacji, polerowania przez panią Henię i odkurzania miotełką, której nie lubiła (miotelki), zdecydowała się opowiedzieć swoją historię.

Żyrafa to instrument muzyczny z pierwszej połowy XIX w., to klawicyn albo klawesyn, a żyrafą zwany ze względu na pionowy układ strun. Można



Fot. 32. Zabytkowy pionowy fortepian zwany „Żyrąfą”.

Źródło: Muzeum Romantyzmu w Opinogórze.

też powiedzieć, że to prototyp fortepianu. Nasz instrument powstał w latach 1808–1810 w pracowni znakomitego mistrza wiedeńskiego Josefa Wachtla. Wykonany był prawdopodobnie na zamówienie w Warszawie. Klawiaturę wykonano z jaworu oraz czarnej gruszy, a okładziny z kości słoniowej. Natomiast zewnętrzne okładziny ozdobił mahoń i wstawki pod brązami z jasnej gruszy. Liczne brązy. Pokrycie jedwabne zielone, na którym błyszcząły napoleońskie pszczoły wykonane z brązu.

Pyszny kąsek dla „prywatnych” kolekcjonerów z tamtych i obecnych lat. Instrument należał do Franciszka Gościmskiego, później do jego syna Fr. Józefa (1800–1877), który był znakomitą wirtuozem, akompaniując nawet samemu Mickiewiczowi do improwizacji w Petersburgu. Ostatni właściciel Jan Gościmski sprzedał instrument do muzeum w 1961 r. Wg jego relacji grywali na nim Ignacy Paderewski, Ludwik Ursztajn, znany aktor Kamiński i liczni goście. W okresie Powstania Warszawskiego żyrafa znajdowała się na Żoliborzu, skąd na polecenie prof. Lorenza uratowana została z płonącej Warszawy i przewieziona do Pruszkowa. Ale to jeszcze nie koniec historii. Marzyło nam się przywrócić ten eksponat do życia. Dowiedzieliśmy się, że w Mławie mieszka znakomity stroiciel – artysta. Niewidomy. Niestety, nie pamiętam jego nazwiska. Były pewne obawy, czy można powierzyć mu tę odpowiedzialną pracę, ale zawierzyliśmy instynktowi i mając już niewielkie doświadczenie w Laskach, poprosiliśmy go o przyjazd.

To co zobaczyłam w Laskach, utwierdziło mnie w przekonaniu, że patrzeć można nie tylko oczami, ale i wyobraźnią. Można wówczas bardzo wiele do-

strzec. W Laskach upewniłam się, że ludzie dotknięci tym kalectwem widzą znacznie więcej aniżeli ja. Nasz stroiciel przyjechał. Zobaczyliśmy z jaką precyzją rozłożył całą maszynę: śrubki, śrubeczki, klawisze, kołeczki, struny na osobne gromadki ułożone według jemu tylko znanego schematu. Kustosz przerażony, czy zdoła to z powrotem złożyć, stroiciel – abyśmy mu tego nie rozdeptali. Złożył i wydał diagnozę rokującą nadzieję. I pewno przywróciłby instrument do życia, gdyby... sam nie zginął znaleziony na torach między Ciechanowem, a Mławą. Czy mógł pomylić drzwi w pędzącym pociągu? Nie poznaliśmy nigdy szczegółów tej tragedii.

Tymczasem do muzeum przybyła kolejna pamiątka, która na skutek działań wojennych „wywędrowała” z Opinogóry. To marmurowe popiersie generała Krasińskiego wykonane przez F. Bosio w 1808 r. Rzeźba ta znajdowała się na cokole nad wejściem do zameczku w Opinogórze. Po I wojnie światowej wywieziono ją na Okólnik do Warszawy. Po powstaniu uratował ją właściciel sklepu warzywnego z ul. Kopernika. Po wielu latach odkrył ją elektryk naprawiający instalacje na Krakowskim Przedmieściu i – już jako turysta będąc w Opinogórze – przekazał nam tę cenną informację. I tak, po ustaleniu warunków transakcji, jeszcze jedna pamiątka wróciła na swoje miejsce, powiększając nasze zbiory. Takie szczęśliwe przypadki będą się jeszcze zdarzały. Podwoje zameczku były także szeroko otwarte dla wszelkich inicjatyw zgodnych z „Duchem Romantyzmu”.

I tak w Opinogórze pojawiają się pierwsi poeci, którym przewodzi Stanisław Grochowiak (1934–1976) powieściopisarz, liryk i poeta. Młodzi adepci sztuki jeszcze nie rozpoznawalni, choć już wśród nich niektórzy z dorobkiem – Młynarski, Bryll, Chudy. Towarzyszą im także aktorzy znani ze swoich radiowych interpretacji poezji klasyków, a wśród nich wyróżnia się młody aktor Henryk Boukołowski, który wiele lat później zabłyśnie w Teatrze Polskim i razem z Marią Wójcik będzie współzałożycielem Teatru Adekwatnego w Warszawie. Z Opinogórą nie zerwie kontaktu i cieszyć będzie wspaniałym głosem i interpretacją utworów Gałczyńskiego, Leśmiana, Tuwima, Lechonia i innych poetów.

Nieco później zrodzą się plany koncertów poetycko-muzycznych. Przyjadą Jerzy Gruza i Agnieszka Osiecka, Barbara Brylska i Irena Karel – obie tuż po sukcesach filmowych. Wszyscy życzą realizacji planów. Z uwagą przysłuchujemy się warsztatom prowadzonym przez mistrza Grochowiaka. Jest bezlitosny i bezwzględny. Chłoszcze, krytykuje, napomina. Padają różne uwagi: – jak zobowiązująca jest pokora wobec sztuki, odpowiedzialność za słowa, treści wyrażanych myśli. Uff!!! Gubię się w tym wszystkim. Zabieram więc ulubione moje poezje Gałczyńskiego i zanurzam się w... parku, zostawiając trudne problemy bohaterom tego skądinąd ciekawego spektaklu. A swoją drogą kocham

„Chłopców” Grochowiaka. Tych z Dzwonkowskim, Opalińskim, Mroźewskim, Kowalskim, odkąd ujrzałam ich w filmie pod tym samym tytułem. Tylko mistrz słowa mógł pozwolić sobie na przedstawienie problemu starości w sposób tak żartobliwy, choć nie pozbawiony nostalgicznej pamięci „utraconego raju dzieciństwa i młodości”.

Kartka z pamiętnika 15

Urodziła się po to, aby śpiewać

*K*iedy „przekopując” się przez sterty materiałów, zastanawiając się o czym, czy o kim by tu napisać, wypadła mi na podłogę teczka, z której wysypały się różne fotografie i dokumenty. Na samym wierzchu zdjęcie starszej pani trzymającej w ramionach kota. Ot, zwykły przypadek – ktoś by powiedział. Nie wierzę w przypadki. Pora więc jeszcze raz przypomnieć sylwetkę tej pani, sylwetkę osoby o której pisano i plotkowano we wszystkich europejskich salonach u schyłku XIX stulecia.

Na fotografii widoczny fragment salonu. Na ścianach obrazy wśród których króluje „nasza” Franciszka Krasińska, (obecnie własność Muzeum Romantyzmu) jakieś biurczko, kilka książek, lichtarzyk ze świecą, etui na okulary, wygodny obok kaloryfera fotel i ... moja bohaterka. To pani Elżbieta Krasińska-Rudnicka w swoim poznańskim salonie. To nie tylko arystokratka. To także diwa operowa o której zaszczyt występowania z nią zabiegali znani śpiewacy, dyrygenci i kompozytorzy z R. Straussem na czele. Boska Tosca, Nedda w „Pajacach”, Santuzza w „Rycerskości”, Aida, Salome, Halka – uczennica szkoły operowej Gemmy Bellincioni w Berlinie. Partnerował jej w swoim czasie słynny tenor włoski E. Caruso (1873–1921), ale niezbyt chętnie z nim występowała, bowiem – jak twierdziła „miał ordynarne maniery”. To nic, że rodzina przerażona widząc hrabiankę na scenie, że ukochany brat starszy od niej o dwadzieścia lat nie był przychylny artystycznym wyczynom, że szwagier – warszawski birbant „wolałby zobaczyć ją w trumnie, aniżeli na deskach sceny”. Śpiewa, bo urodziła się po to, aby śpiewać. To jej talent, to jej życie. Występuje pod herbowym pseudonimem – Korwin. Jedynie matka popiera jej pasję i włoski kuzyn, król Wiktor Emanuel III (1869–1947) spokrewniony z artystką poprzez Franciszkę Krasińską, która weszła do włoskiej rodziny królewskiej.

Pani Elżbieta urodziła się na Ukrainie w majątku Regimentarzędka, należącym do jej rodziców Huberta Krasińskiego i matki Olgi z Naumanów. Majątek był okazały. Sam park wokół pałacu liczył sobie około 45 ha. Nazwa wywodziła się od wystawionego regimentu przez jednego z przodków pani Elżbiety.



Fot. 33. Elżbieta Kasińska-Rudnicka
w swoim poznańskim salonie.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.

Jej dziadek Teodor służył w wojsku napoleońskim i towarzyszył Napoleonowi na zesłanie na wyspę Św. Heleny. Przywiózł stamtąd płaczącą brzozę i zasadził ją w parku a pod nią umieścił kamień z datą wszystkich bitew napoleońskich. W sąsiedztwie Regimentarżówki znajdował się majątek matki – Neswatkowo. Matka pochodziła ze znanego rodu tatarskich bojarów, spokrewniona z wieloma rodzinami arystokracji rosyjskiej. Rodzice prowadzili ożywione życie towarzyskie. Wśród częstych gości w pałacu bywali znani naukowcy, m.in. A. Schweitzer, L. Pasteur, którego „matka wyrzuciła z majątku, ponieważ znęcał się nad psami”, wspominała pani Elżbieta. Ojciec jej Hubert Kasiński (1833–1890) był lekarzem, publicystą, społecznikiem. Studiował medycynę w Petersburgu, później Paryżu. W swoim majątku praktykował jako lekarz bezpłatnie. Ostatnie lata życia spędził w Krakowie i Paryżu. Pochowany w Złotopolu na Ukrainie, gdzie znajdowało się mauzoleum Kasińskich z postacią anioła wskazującego na niebo.

Zostawmy anioła. Niech strzeże rodzinnych grobów. Zatrzymajmy się jeszcze chwilę przy artystycznej karierze pani Elżbiety. Podpisuje kontrakt za kontraktem, otrzymuje propozycję wyjazdu do Ameryki, która czeka na polską hrabiankę, aby ją usłyszeć. Niesamowite gaże, wspaniałe recenzje, kwiaty,

klejnoty, ogólny aplauz i... – nagle, jak w złej bajce, wszystko się zmienia. Wybuch I wojna światowa, która zastaje ją i jej matkę w Neswatkowie na Ukrainie.

W Europie zmiany polityczne, zamęt. Władze rosyjskie założyły sekwestr na wszystkie majątki Krasińskich. Jej brat Henryk jako austriacki poddany dawno już w Krakowie i Mszanie Dolnej, gdzie ich ojciec Hubert Krasiński nabył posiadłość. Obydwie z matką bezskutecznie starają się ratować resztki majątku. Propozycja przyjęcia obywatelstwa rosyjskiego budzi głęboki sprzeciw pani Elżbiety.

Pod koniec wojny wybuch rewolucja rosyjska. Przez krótki czas pracuje na rzecz ochrony zabytków. Rezygnuje z pełnienia funkcji komisarza, co doprowadza ją do więzienia, gdzie czeka ją niechybnie śmierć. Dzięki licznym protekcjom, podobno samego Dzierżyńskiego udaje się jej ucieczka zorganizowanym transportem. Z matką i opiekunką Czupi opuszcza miejsce terroru. Jest już rok 1919.

Udaje się do Poznania, gdzie wita Wolną Polskę. I znów nadzieja. Ta zwodnicza nadzieja, która zobowiązuje do planów i życia. Pani Elżbieta, to już nie ta sama kobieta, czy heroina z bohaterskich oper. To osoba schorowana, ogłuchła, nieomal oślepla na skutek traumatycznych przeżyć. Już nie śpiewa, ale uczy śpiewu. W jej poznańskim apartamencie znów rozbrzmiewa muzyka. Wykorzystując także znajomość siedmiu języków, tłumaczy, co pozwala jej w utrzymaniu domu i prestiżu kobiety zaradnej w oczach rodziny. Pełni także różne społeczne funkcje, pomaga młodym artystom. Ale czas, ten największy złodziej wszech czasów, zbliża ją ku następnej katastrofie – wybuchu II wojny światowej.

Fortepian koncertowy milknie. Bo co tu grać i dla kogo? Dźwięki muzyki i tak nie zagłuszą rechotliwego śmiechu i stuku podkutych butów okupanta. Komendantem Poznania zostaje dawny jej znajomy, dyrygent orkiestry wiedeńskiej. Zajmuje większą część kamienicy, w której mieszka pani Elżbieta. Niemcy zdają się nie interesować Krasińską, za to bardzo wnikliwie oglądają obrazy, badając nawet ich autentyczność. Padają nawet propozycje zakupu. Pani Elżbieta nie wyraża zgody. Zaangażowana w ruch oporu, nie dostrzega, że jest bacznie obserwowana. Maskarada nie trwa długo. Aresztowanie, upokarzające przesłuchania, obóz pod Poznaniem. Ciemna wilgotna cela, słoma na podłodze i to, co dla kobiety wydaje się być najgorszą udręką, brak środków toaletowych i osobistych rzeczy. Próby złamania polskiej hrabiny nie przynoszą oczekiwanych skutków. Buta i wrzaski starają się nie docierać do więźniarki. Nie przyznaje się do niczego. Nagle sytuacja ulega diametralnej zmianie. Czy to ten sam strażnik? Czy inny? Już nie wrzeszczy, ale grzecznie prosi ją na przesłuchanie. To pewno już koniec, myśli pani Elżbieta. Z godnością, która jej nigdy nie opuszczała, nie

prosi, ale żąda wydania osobistych rzeczy i czasu na przygotowanie. Strażnik bez sprzeciwu spełnia jej żądania. Przed komendantem obozu staje dumna kobieta, która nie boi się już niczego. Jest wprawdzie słabą, wrażliwą kobietą, ale w swoim życiu grała już niejedną dramatyczną rolę. Zagra i tę ostatnią. Nie ulegnie lękowi. Zajmuje miejsce w fotelu i na pytania komendanta, czy on także może usiąść – odpowiada: Nie! Dotychczas ja zawsze stałam, pan siedział. Proszę stać! Komendant oznajmia, że jest wolna. Zawdzięcza to swojemu włoskiemu kuzynowi Wiktorowi Emanuelowi. Koło się zamyka, uśmiecha się pani Elżbieta. Pierwszy raz król uratował jej karierę artystyczną, drugi raz życie. Koniec wojny, pożar kamienicy, ratowanie ukochanego obrazu Madonny Murilla, który sama, bez niczyjej pomocy, zniosła z drugiego piętra do piwnicy. Bardzo często o tym wspominała, dziwiąc się jak zdołała tego dokonać. A dodać trzeba, że obraz był dość duży, w ciężkich ozdobnych ramach.

Po wojnie nie zazna wiele spokoju. Oskarżenie o kolaborację, długie oczekiwanie na rehabilitację, przesłuchania, rewizje. Kto miał ją bronić? Koledzy z organizacji w więzieniach lub w ukryciu w obawie o siebie, też przycichli. Król włoski też już nie żył. Wreszcie zamiana na mniejsze mieszkanie. – *Dom w którym mieszkam ma być zburzony – bardzo niemiła perspektywa – nie wiem co zrobić z koncertowym fortepianem. Czy już nigdy nie zagłędnie Pan do Poznania? Tak miło by mi było zobaczyć i porozmawiać z Panem, a czuję, że już bardzo niewiele pozostało mi życia.* (E.K) – pisze do kustosa pod koniec lat 70.

Z Opinogórą pani Elżbieta Krasieńska nawiąże kontakt poprzez swoich dwóch bratanków. Jednym z nich był ojciec Cyryl – zakonnik z Maria Laach w Nadrenii, drugim jego brat Józef Krasieński z Kanady – profesor Uniwersytetu w Calgary. Życzliwość obydwu panów dla Opinogóry okaże się nieoczekiwanym źródłem w pozyskiwaniu wielu cennych pamiątek związanych z rodziną Krasieńskich z linii Ukraińskiej. Będą więc trwały wizyty kustosa w Poznaniu, będzie też liczna korespondencja, rozmowy. Nawiąże się nić przyjaźni i szacunku w stosunku do siebie ludzi, dla których losy muzeum nie były obojętne. U pani Krasieńskiej na honorowym miejscu, obok dzieł znakomitych malarzy, będzie „świeciła” kolorowa fotografia zameczku opinogórskiego – oprawiona w piękne, stylowe ramki.

Zmarła 25 kwietnia 1978 r. w wieku 91 lat w Poznaniu i tam została pochowana. Po śmierci pani Elżbiety Krasieńskiej, zgodnie z jej życzeniem zawartym w testamentie sporządzonym 3 lutego 1977 r., muzeum otrzymało następujące eksponaty: portret Zygmunta Krasieńskiego oraz portret Franciszki Krasieńskiej, dwa rzeźbione krzesła wykonane w Rzymie przez rzeźbiarza, który sporządził krzesła dla papieży w Watykanie oraz jedno krzesło „Savonarola”. Ponadto albumy z fotografiami i wycinkami prasowymi o działalności artystycznej pani Elżbiety.

Kartka z pamiętnika 16

Powrót wieszcza

Obchodziliśmy w tym roku (2016) wyjątkowe jubileusze. To pięćdziesięciopięćciolecie istnienia Muzeum w Opinogórze, trzydziestopięćciolecie Towarzystwa Miłośników Opinogóry i dwudzieste urodziny naszej „Gazety Opinogórskiej”. Towarzyszą nam emocje, ale także i radość z odniesionych sukcesów. Ten, zwykle ma wielu ojców. Pragnę przypomnieć niektórych.

O nich niewiele osób zapewne już pamięta lub niewiele wie. Dziś będzie o pomniku trzeciego wieszcza Z. Krasieńskiego, który stanął w Opinogórze. Był niewątpliwie dużą zasługą Towarzystwa Miłośników Opinogóry, bo to w jego gronie w Muzeum Romantyzmu narodził się ten pomysł wiele, wiele lat temu. Cofnijmy się więc w przeszłość.

Opinogóra. Upalny czerwiec 1989 r. Uroczystość odsłonięcia pomnika Z. Krasieńskiego w Opinogórze. Janusz Królik, kustosz, ówczesny dyrektor Muzeum Romantyzmu, rozpoczynając uroczystość odsłonięcia pomnika powiedział wtedy: *Dzisiaj wielki dzień. Dwa święta, dwie uroczystości, które łączy osoba Z. Krasieńskiego. Zjazd wychowanków Liceum Ogólnokształcącego Jego imienia oraz odsłonięcie pierwszego pomnika poety. Opuszczając mury ciechanowskiego liceum, wychowankowie niosą w świat wspomnienia krainy lat szczęśliwych, którym towarzyszą Zygmunt i Opinogóra. Jak spójne i nierozzerwalne są te dwie uroczystości wspominając poprzedni zjazd sprzed czterech lat (1984). To wówczas z inicjatywy Towarzystwa Miłośników Opinogóry zrodziła się idea wzniesienia pomnika Z. Krasieńskiego tu w Opinogórze w pobliżu jego grobu. Pierwsi na ten apel odpowiedzieli wychowankowie ciechanowskich szkół. To była wspólna myśl, tak jak wspólną kołębą jest ta nasza mazowiecka ziemia.*

Współtwórcami tego plastycznego symbolu było także Towarzystwo Miłośników Ziemi Ciechanowskiej, Mazowieckie Towarzystwo Kultury, liczne organizacje społeczne, instytucje i osoby prywatne. Rzucona myśl zaczęła zataczać coraz to większe kręgi zainteresowanych tą szlachetną i ważną ideą. Do pracy włączyli się poeci zrzeszeni w Związki Literatów Polskich. Podczas corocznych spotkań z cyklu *Warszawskiej Jesieni* zaproponowali napisanie wierszy o Krasień-

skim, Opinogórze i romantyzmie, co wkrótce ucieleśniło się w tomiku poezji. I tak 27 października 1986 r. przyjeżdżają do Opinogóry poeci ze znanym pisarzem Wojciechem Żukrowskim. To on poniósł symboliczny kamień na miejsce pod przyszły pomnik. Nie była to zabawa. Wszyscy poważni, skupieni, wierząc, że jest to realne, że to się stanie. Pierwsze uzyskane pieniądze ze sprzedaży owego tomiku wierszy, pozwoliły na finansowany „zaczyn”, który miał wzbogacić konto na rzecz budowy pomnika. Nie było to jednak takie łatwe i proste.

Wielu sceptyków powątpiewało. Czasy jeszcze zdecydowanie nie dla Krasińskiego. Coś jednak przełamywało się i w polityce i w świadomości. Była także i dobra wola niektórych ludzi ówczesnej władzy. Wspomnę tu o aprobacie byłego wojewody Jerzego Wierchowskiego, wsparciu ciechanowskiej Stacji Naukowej Mazowieckiego Ośrodka Badań Naukowych, Ciechanowskiego Towarzystwa Naukowego, drukarni ciechanowskiej, dzięki którym tomik poezji tak szybko się ukazał i mógł promować tę ideę. Włączyły się wszystkie szkoły ciechanowskie, a w Liceum Ogólnokształcącym im. Z. Krasińskiego przy pełnej pomocy dyrektora Z. Nowakowskiego, powstał Komitet Budowy Pomnika. Szybko na tę myśl zareagowały zakłady pracy i wiele osób prywatnych, czasami bezimiennych. Wymienię tu z miłego obowiązku pana Zbigniewa Czupkała z Niedrzwicy Dużej w woj. lubelskim, który dobrowolnie opodatkował się ze swojej renty i co miesiąc wpłacał 100 zł aż do momentu odsłonięcia pomnika. Wszyscy ludzie w kraju jak i Polacy z zagranicy odnieśli się do naszych działań bardzo serdecznie i ofiarnie. Konta pilnował pracownik PGR w Opinogórze członek Towarzystwa Miłośników Opinogóry pan Demianiuk. I tak w kwietniu 1985 r. wyłoniła się grupa inicjatywna a 30 maja tego roku w salach Zamku Królewskiego w Warszawie uformował się Społeczny Komitet Budowy Pomnika. Przewodniczącym Komitetu został ówczesny wojewoda ciechanowski Franciszek Budzianowski, którego ogromne zaangażowanie w to dzieło budziło nadzieję na sukces. Cennych rad w pracach komitetu udzielał nam prof. Zbigniew Sudolski, a także pan Jan Korzybski, który prowadził zawiłe i trudne operacje finansowe związane z gromadzeniem środków i realizację zobowiązań.

Na pierwszym posiedzeniu Komitetu przyjęto kilka podstawowych założeń, a także termin realizacji dzieła na rok 1989 – w 130 rocznicę śmierci poety. Drugie posiedzenie Komitetu odbyło się również na Zamku Królewskim w lutym 1986 r., gdzie dyskutowano już nad założeniami ideowymi do konkursu. Trzecie zaś, kluczowe spotkanie odbyło się w Muzeum Romantyzmu w Opinogórze 6 grudnia 1986 r., gdzie postanowiono, że konkurs przeprowadzony zostanie wspólnie z Oddziałem Warszawskim Związku Artystów Rzeźbiarzy i będzie miał charakter konkursu mieszanego. Wici poszły w Polskę do wszystkich środowisk twórczych. Odbyło się także wiele roboczych zebrań dotyczą-



Fot. 34. Mieczysław Welter, autor pomnika Zygmunta Krasińskiego w Opinogórze.

Źródło: Wikipedia.

cych regulaminu konkursowego, założeń ideowych, konsultacji, a także spraw organizacyjnych. I wreszcie 15 marca 1987 r. ogłoszono konkurs z terminem zakończenia go do 10 grudnia tego roku. Na konkurs wpłynęło 11 prac. Powołano jury składające się z grona członków społecznego komitetu a także z grupy artystów rzeźbiarzy z czterech silnych ośrodków rzeźbiarskich w kraju. Prace były anonimowe, opatrzone godłami. Decyzja sędziów była jednomyślna. Najwyżej oceniono pracę artysty rzeźbiarza Mieczysława Weltera.

Zanim rozpoczęto realizację dzieła, wcześniej wszystkie prace konkursowe pokazano na dwóch wystawach: w Warszawie (28 stycznia 1988 r.) w Starej Kordegardzie w Łazienkach i w Liceum Ogólnokształcącym w Ciechanowie (obecnie projekty znajdują się w oranżerii Muzeum Romantyzmu w Opinogórze). Te dwie wystawy zakończyły pierwszy etap przygotowawczy do realizacji pomnika. Artysta wykonał model gipsowy w skali 1:1 przeznaczony do odlewu a Komitet rozpoczął poszukiwania wykonawców. I tu zaczęły piętrzyć się trudności. Zakłady M. Nowotki na warszawskiej Woli odmówiły. Nie pomagały różne „dojścia” i „najścia”. Było wprawdzie kilka innych ofert, ale nie wszystkie spełniały określone wymogi. I wreszcie spadła nam gwiazdka z *Nieba Wysokiego*. Oferta Stoczni Gdańskiej Marynarki Wojennej w Gdyni. Życzliwość i zrozumienie wykazane przez jej dyrektora komandora Ferdynanda Dwórnikę oraz kierownika odlewni pana Leona Bandrowskiego, a także wszystkich pracowników wykonujących odlew, sprawiły, że praca wykonana została przed terminem a jej poziom autor rzeźby ocenił bardzo wysoko.

Kustosz znad morza wracał coraz bardziej szczęśliwy i choć „przewiany” nieco zachodnim wiatrem, piał pochwalne hymny dla „Ludzi Morza”. Nasi na Mazowszu też nie byli gorsi, kiedy przyszło już do montażu pomnika. Nie były to działania w ramach chłodnej kalkulacji ekonomicznej. Państwowe Gospodarstwo Rolne w Opinogórze (z dyr. St. Szczygielskim) zaoferowało transport ciężkich elementów pomnikowych z Wybrzeża i Śląska w ramach

pracy społecznej. Wykonano również bezpłatnie betonowy fundament i cokol pod pomnik. A pogoda była kapryśna. Kierowcy nocą wyjeżdżali w trasę, żeby przywieźć wszystko na czas bacząc, aby nic nie uszkodziło się w czasie transportu. Widząc ich zaangażowanie w pracę, odzyskiwało się wiarę w dobro ludzi, dla których idea tego przedsięwzięcia stawała się sprawą nadrzędną. Tak rodził się lokalny patriotyzm. Do pomocy włączali się inni. Pan Jerzy Smoliński pracownik Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków bezinteresownie wykonał obliczenia i dokumentację montażu. Ciechanowskie Przedsiębiorstwo Budowlane dało masę betonową. Swoim autorytetem wspomagał nas zawsze profesor Zbigniew Sudolski znakomity biograf i znawca literatury romantyzmu polskiego. Wiele pomocy udzielił również ówczesny prezydent Ciechanowa Marcin Stryczyński, który wspierał wszelkie poczynania od początku naszych działań, do powstania pomnika Wieszczka. Z niecierpliwością oczekujemy na jego powrót do Opinogóry.

I nagle rozdzwoniły się telefony. Jedzie! Z Wybrzeża do Sulejówka (gdzie autor poczynił już ostatnią kosmetykę) dalej przez całe centralne Mazowsze i zbliża się do Opinogóry, wieziony na ogromnej platformie. Pomnik urzekł nas od pierwszego wejrzenia. Jest to właściwie rzeźba ogrodowa lub parkowa. Zadumany, wyobcowany z tego wszystkiego co wokół, siedzi sobie pan hrabia w fotelu, wpatrując się w miniaturkę. I chodź ciekawi nas czy to Delfina, Amelia, czy może Eliza, nie pytamy go o to. Tyle intymności dajemy ludziom z jego życia, że pozwólmy mu na tę jedną, jedyną tajemnicę.

Nieoczekiwanie pojawiły się problemy z granitową płytą pod pomnik i tu jak zwykle trzeba było szukać kogoś, kto nam pomoże. Dzięki dobrym relacjom ze stadniną koni w Krasnem, pomaga nam jej dyrektor. A Zygmunt? W zbitej z desek komórce żałośnie spogląda z małego otworu (tak jakby małego okienka), dziwiąc się zapewne przedłużającą się pracą.

Podest wreszcie gotowy. Dźwigi, jakieś specjalne maszyny unoszą dostojnego gościa, sadzając go na honorowe miejsce. Robi to ogromne wrażenie. Zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy świadkami historycznego wydarzenia. Cała Opinogóra, prawie wszyscy jej mieszkańcy oglądają pomnik. Dzieci, jeszcze onieśmielone, przynoszą kwiaty polne, ogrodowe i... modlą się, klękając przed pomnikiem. Jest to przecież ich pierwszy kontakt z dziełem. Później bardzo się z nim zaprzyjaźnią, jak ptaki siadając mu na kolanach, cisnąć się na fotel, robiąc wspólne fotografie. To nie razi, a wzrusza.

I oto przychodzi chwila, na którą tak długo czekaliśmy. Organizatorzy przygotowują się do uroczystego odsłonięcia pomnika. Ludzi wciąż przybywa, choć wśród nich nie ma wielu przedstawicieli władzy. Nie ma dokumentacji filmowej, choć wiemy, że nasi koledzy telewizyjni są w Ciechanowie i kręcą ludowy festyn. Czekamy jeszcze, może przyjadą. Nie przyjechali. Są władze duchowne



Fot. 35. Odsłonięcie
pomnika Z. Krasieńskiego
w 130. rocznicę śmierci
poety, Opinogóra 1989 r.

Źródło: Muzeum Romantyzmu.

z miejscowym proboszczem z ks. Bogusławem Grzybowskim, który święci pomnik. Modlimy się. Jeszcze przemówienia, kwiaty dla poety, podziękowania. Piękne słowa padające z głębi serca poety – tłumacza dzieł Horacego pana Stefana Gołębiowskiego. Na zakończenie uroczystości Janusz Królik, kustosz Muzeum Romantyzmu dzieli się refleksjami z odsłonięcia pomnika Adama Mickiewicza, który odbył się w Warszawie w 1898 r. na Krakowskim Przedmieściu. Jakże zbieżne i czytelne były analogie.

Pomału uroczystość dobiega końca. Ludzie zmęczeni wrażeniami i upałem odchodzą do swoich domów. Poeta też zapewne strudzony długą wędrówką do Opinogóry pragnie pozostać samotnie ze swoimi wspomnieniami...

*Już beznamiętny, posagowo spokojny Z losem pogodzony
Lecz czasem w złotojesienne ciepłe wieczory gdy w pełni księżyca
na park bajkowa srebrzystość spływa On z cokołu pomnika powoli się zsuwa
z Dyrektorem po parku chodzi o tym i owym szeptem prowadzą ze sobą rozmowę...*
(fragment wiersza Anny Grabowskiej)

Niechaj szept ich nigdy nie zacichnie. Niech zatrzyma się w szumie drzew, które wiecznie opowiadać będą opinogórką legendę.

Kartka z pamiętnika 17

Kawaler bon vivant

Druga połowa lat 60., październik. To już szósty rok naszego pobytu i pracy w Opinogórze. Ciągłe jeszcze jak krety mieszkamy w podziemiach zamczku. Brygada pracowników pod kierunkiem E. Kucińskiego i R. Kaliszewskiego remontuje domek z kolumnami do którego mamy się przenieść.

Zwiększył się także personel pracowników muzealnych. Ulega on niestety ciągłej rotacji. Miejsce polonistki Igi Karczewskiej zajmuje nauczyciel historii Waldemar Łątkowski, który przez kilka lat pełnić będzie również rolę przewodnika. Obecnie na emeryturze z tytułem doktora historii. Wkrótce także i on wraz ze swoją żoną Elą przeprowadzi się do Ciechanowa. Opinogóra nie zapewnia im szans rozwoju i komfortu choćby mieszkaniowego z wodą, gazem, etc. etc.

A u nas? Narastają rodzinne nieporozumienia. Czy tak wygląda kryzys małżeństwa i czy aby nie za wcześnie? Warczymy na siebie, żalując po raz kolejny podjętej decyzji. Wysiada światło, brakuje opału (nieszczęsne przydziały), pieniędzy, rodziny. To nie Syberia mówi mąż. Nikt nie trzyma nas tu na siłę i w każdej chwili możemy wyjechać. Kiedy? Nie czekając na odpowiedź wychodzę na spacer, zabierając kota i psa, aby obniżyć temperaturę wrzenia.

Kolejny wietrzny i zimny dzień. W powietrzu czuje się wilgoć i narastający chłód. Park w jesiennej mgle potęguje jeszcze bardziej smutek i odosobnienie. W domu wracamy do przerwanej dyskusji. Nie da się jej uniknąć w żaden sposób. Mąż, będący z natury niepoprawnym optymistą, zaczyna wykład: – *Sztuka cieszenia się życiem polega na tym, aby cieszyć się tym, co się ma*. Obłudnik! Jeszcze wczoraj sam powiedział, że dość już ma tych prowincjonalnych rozgrywek typu: „niech palą słomą, jeśli nie mają węgla (sic!) lub „a co my mamy wspólnego z kulturą?” Na takie bezduszne uwagi można było jedynie odpowiedzieć: – Istotnie, niewiele. Bo kultura to dusza narodu i jeśli się jej nie czuje, naród ginie. Lekceważący stosunek wynikał pewno stąd, że nie byliśmy instytucją dochodową. Zaistnieliśmy, ale w oczach miejscowych polityków byliśmy niejako „darmozjadami” korzystającymi z ciężkiego „urobku” społeczeństwa. Słowa



Fot. 36. Opinogóra, domek z kolumnami po I wojnie światowej.

Źródło: Muzeum Romantyzmu.



Fot. 37. Opinogóra, domek z kolumnami obecnie.

Źródło: Muzeum Romantyzmu.

męża, jak mantra często powtarzane, na długo zapadły w mej pamięci: – Nie martw się. Jutro będzie lepiej. Będą towarzyszyły mi przez całe lata naszego małżeństwa i ratowały przed czarną rozpaczą, w którą wpadałam zbyt często. Jakże mi dziś ich brakuje.

Rano, następnego dnia, pogoda istotnie zmieniła się, wyjrzało słońce. Wrodzona przekora typu „golono-strzyżono” nie pozwala mi ustąpić i przy śniadaniowym talerzyku męża zostawiam karteczkę. Takie bileciki były zawsze bardziej skuteczne od uszczuplania pewnych elementów zastawy.

...Posłuchaj mnie uważnie

Już się dni ciepłe skończyły,

I trzeba, żebyś poważnie

Mysłał o domu mój miły

(z cyklu „Kalendarz miłości” autor n.n.)

I tak w naszym życiu jak w kalejdoskopie
następują szybkie zmiany.



Fot. 38. Autorka wspomnień
(z lewej) z Elżbietą Łątkowską.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.

Za kilka dni czeka nas eksplozja wrażeń. Poznaję prawdziwego kolekcjonera. To jeden z takich, którzy obejdą się bez chleba, ale gdyby zabrakło im pieniędzy na eksponaty, umarliby z głodu. To pan Marian Haber z Poznania. Postać niezwykle ciekawa i oryginalna. Mocno już podstarzały kawaler, który całe swoje życie poświęcił pasji kolekcjonerstwa. Pochodził z rodziny ziemiańskiej, ale temperament i ciekawość życia nie pozwoliły skoncentrować mu się na wybranym przez ojca kierunku studiów. Trochę wiedzy na Uniwersytecie Poznańskim – a dalej, jak sam mówił, życie było mu najlepszym nauczycielem. Wszedł w to życie dość szybko. Dekadencka młodzież (lata międzywojenne) kawiarnie, kabarety, artyści. W swoim czasie był nawet sekretarzem Kiepury. Mąż poznał go na jednym ze spotkań u pani Elżbiety Krasieńskiej, która w swoim salonie skupiała całą palestrę artystyczną Poznania. Pan Marian był człowiekiem niezwykle sympatycznym, dowcipnym, błyskotliwym i... troszeczkę kłopotliwym. Przerastał nas wiekiem i stylem bycia przedwojennego paniska. Świece, przebieranki, etc. etc. Świece? W porządku. I tak bez przerwy wysiadało nam światło. Ale cała ta reszta? Skończyła się nasza PRL-owska swoboda. Dość efektownie przyrządzane kanapeczki maskowały gasnące kolory mojego wyprawowego fajansu, z trudem zaspokajając niekompetencje kulinarne porządkującej gospodyni.

Pan Marian, tak jak mój mąż, lekceważył moje napoje bezalkoholowe. Wyrzucałam ich wówczas do restauracji. Czynili to bardzo chętnie, choć ich powroty były mocno spóźnione i dość głośne. Budziły się nawet uśpione kury naszych sąsiadów państwa Młodzianowskich. – Dlaczego one jeszcze nie śpią? Dziwił się nasz gość.

Tymczasem płynęły opowieści, których słuchaliśmy jak baśni z „Tysiąca i jednej nocy”. A oto jedna z nich: – Cierpliwość ojca dobiegała kresu. Jednak musi się wreszcie ustatkować i zostać gospodarzem. Wysła więc marnotrawnego syna do Warszawy z dość znaczną sumą pieniędzy na zakup maszyny rolniczej, dodając sutą prowizję na osobiste wydatki. Były to lata 20. okresu międzywojennego.

Pan Marian ochoczo wyruszył do stolicy. I od czego zaczął? Oczywiście od prowizji. Zaliczył wszystkie lokale rozrywkowe, ekskluzywne restauracje. Gotówka w szybkim tempie zaczęła topnieć. Pod koniec jakiegoś bankietu w podejrzanym lokalu, przy pomocy nieczystych sił diabelskich (jak wspomniał) znalazł się w niezbyt ciekawym miejscu przypominającym straszną melinę. Rano przerażony dostrzegł, że zawartość jego portfela wędruje pod pelargonie w doniczce. A za oknem przechadzający się „mięśniak” czekający z pewnością na łup. Gorączkowe myśli i strach przyspieszyły decyzję. Wykorzystując talent aktorski wysła przygodnie poznaną partnerkę biesiady po jakieś owoce na śniadanie, skarżąc się na ogromny ból głowy i niepamięć wydarzeń. Kiedy zostaje sam, wyciąga spod pelargonii złodziejski dobytek i wykorzystując chwilową nieuwagę obstawy, szybko wskakuje do pierwszego tramwaju opuszczając niebezpieczny teren. W hotelu sprawdza ilość pieniędzy i odkrywa, że suma znacznie przekroczyła jego prowizję. Był to prawdopodobnie złodziejski utarg z niejednego przestępstwa. Aby nie kusić losu, zabiera z banku pieniądze na zakup maszyny i dokonując transakcji opuszcza stolicę. Oddaje ojcu maszynę i znaczną część prowizji. I co słyszy?: „Niedołęga, nawet zabawić się nie potrafi”.

W każdej bajce zazwyczaj jest jakiś morał. Myślę, że w mojej, zasłyszanej od samego bohatera, będzie ich kilka, ale na wszelki wypadek nie należy chować pieniędzy pod pelargonie lub inne zielsko. Historia zbliża się ku końcowi.

Po latach pan Marian odszukał osobę, którą udało mu się tak przechytryć. Był to już okres okupacji niemieckiej. Ujrzał ją w jakiejś kawiarence, w której pracowała jako kelnerka. Przedstawiała sobą obraz zupełnie innej kobiety. Otrzymała suty napiwek, który częściowo zrekompensował „winę” młodego birbanta. Czy ona także go rozpoznała? Czas nie sprzyjał konfrontacjom. Ile było w tym opowiadaniu prawdy a ile konfabulacji, tego nie wiem. Wiem, że mój bohater był prawdziwy i niepowtarzalny. Prezentował styl życia epoki i klasy, w której przyszedł na świat z pewnością nie zawsze zgodnej z wymogami

rodziny. Zmarł nagle w latach 70 w Poznaniu w otoczeniu swoich pamiątek i eksponatów.

Część jego zbiorów znalazło się w muzeum w Poznaniu, część uległa rozproszaniu. Był typowym kolekcjonerem. Zbierał wszystko co uznawał za ciekawe. Z Opinogóry wywiózł nawet kawałki sztukaterii odpadającej z wieży, kolce z ciekawego drzewa znajdującego się u podnóża zameczku, zasuszone listki. Muzeum od pan Habera nabyło dwa portrety St. Kostki Narzymskiego i jego żony Rozalii właścicieli Bogatego k. Krasnego oraz portret cara Aleksandra I. Pozostały także po nim piękne autografy w księdze pamiątkowej i listy które wzbogaciły naszą prywatną korespondencję. A oto fragment jednego z listów: – Byłem przez okres tygodnia jak w bajce. Cudna okazała się Opinogóra w złotej szacie jesiennej. Marian Haber z Poznania 19.X.69 r.

Kartka z pamiętnika 18

Głód niezaspokojony...

Dlekoć spaceruję po pięknym i zadbanym parku, z zalem spoglądam na niszczejący za ogrodzeniem budynek, który niegdyś pełnił ważną edukacyjną rolę. To dawna szkoła. Dziś umiera. Odchodzi jak relik... do lamusa wspomnień. Świeci pustymi oczodołami okien, porasta mchem. Jej puste wnętrza są schronieniem dla nietoperzy, zabłąkanych zwierząt i gryzoni. Obok – konkurujące z nią – nowo wyrosłe, wspaniałe obiekty zdają się szydzić i uragać takiemu sąsiedztwu brzydoty i starości. Ona tego nie dostrzega. Zatopiona we własnych myślach i wspomnieniach, ożywa. Kiedy nocą zamrugają do niej kolorowe światła zameczku, przenosi się w przeszłość. Znow słyzy ten wszechobecny i ponadczasowy gwar swoich uczniów, z trudem przebijające się głosy nauczycieli, przywołujące do ładu i porządku. I znow uczy się z nimi tabliczki mnożenia. A kiedy odwiedzają ją dawni uczniowie przybywający z różnych zakątków kraju i świata, chłonie ich opowieści, nierzadko tragiczne, lecz zawsze pełne miłości do swego regionu, do swojej „krajny lat szczęśliwych” okresu dzieciństwa i młodości. Jak matka – dumna, że z jej murów wyszło tyle wspaniałych ludzi, tyle wspaniałych rodzin dających przykład, że można wyjść z małej, wiejskiej szkółki, ale być wielkim całym swoim życiem i czynami.

Do takich rodzin z całą pewnością należała rodzina mojego bohatera. To rodzina Łukasiewiczów. Pisarz – Stanisław Łukasiewicz urodził się w 1907 r. na Podlasiu, skąd z rodzicami (mając niespełna trzy lata) przybył do Opinogóry, gdzie jego ojciec Antoni otrzymał pracę w majątku Krasieńskich jako rządca. Przepracował na tym stanowisku trzydzieści lat, do wybuchu II wojny światowej. Ponieważ rodzina była liczna (jedenaścioro dzieci) wygospodarowano dla nich osobny dom z ogrodem w pobliżu starej gminy, na dawnym folwarku. Tu przyszły pisarz spędził okres dzieciństwa i tu także uczył się w szkole prowadzonej dla chłopców przez nauczyciela pana Ślubowskiego. Dziewczęta uczyły się pisać i czytać w ochronce pod kierunkiem wychowawczyny pani M. Waśniewskiej. Młody człowiek, obdarzony niezwykłą wrażliwością na otaczający go świat, przyrodę, obyczaje jeszcze XIX wieczne, chłonał go całymi zmysłami

i umiejętnością postrzegania. Niewątpliwie, wykazywał się większą dojrzałością wśród swoich rówieśników. Obdarzony wybujałą ambicją, usiłował zdobyć podziw otoczenia, co doprowadzało do wielu konfliktów z kolegami i do wielu problemów, z którymi i w przyszłości przyjdzie mu się zmierzyć.

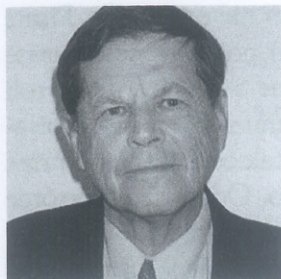
Gimnazjum ukończył w Ciechanowie, po czym odbył studia na Uniwersytecie Warszawskim, otrzymując w 1932 r. tytuł magistra filologii polskiej. Przez kilka lat pracował jako nauczyciel gimnazjów w Lublinie i Warszawie, dorabiając korepetycjami i publikacjami zamieszczonymi w różnych czasopismach. Zadebiutował w 1936 r. powieścią *Nauczyciele*, gdzie ze swoistą pasją zaatakował obyczajowość małomiasteczkowego środowiska.

Wojna w 1939 r. niweczy wiele planów. Urywają się kontakty z Opinogórą, milkną rozmowy z hr. Edwardem Krasińskim. Pozostaje jedynie ciekawa korespondencja, której odbicie znajdziemy w broszurce zatytułowanej *Hrabia Edward*. Jego rodzina wysiedlona, on sam musi ratować się ucieczką. Okupację hitlerowską spędził w powiecie garwolińskim, pracując jako urzędnik gminny. Swoje wspomnienia z tego okresu opublikował w powieści *Okupacja*.

Po wojnie otrzymuje propozycję pracy sekretarza w Belwederze. Przyczyniła się do tego wydana przed wojną powieść *Nauczyciele*, którą przeczytał Bierut i sam zaproponował młodemu literatowi to stanowisko. Funkcję tę pełnił dość krótko, od 1945 do 1947 r. Później odbywa liczne podróże po kraju, Europie a także świecie. Poznaje Amerykę i Japonię. Nie rozstaje się z piórem, pozostając w ciągłym twórczym napięciu.

Pisarza poznajemy na przełomie lat 60.–70. Rodzi się nić sympatii i szacunku dla osobowości człowieka o tak wielkiej pasji i niebywałego dorobku literackiego. Proponujemy spotkanie autorskie w Opinogórze. Godzi się chętnie, choć dodaje, że do tej pory żadne z nich nie przyniosło mu oczekiwanych sukcesów a często krytykę i zawiść otoczenia. O spotkaniu w Ciechanowie, gdzie prezentował *Rodowód*, opowiadał rozgoryczony: – Mało mnie w końcu nie pobito... w tym Ciechanowie! Podobne „ciągi” dostał w Lublinie za *Nauczycieli* i za *Okupację* w Garwolinie. Nie nam rozsądzać te spory.

Powieść poświęcona Opinogórze doczekała się dwóch wydań. Czytając ją odnosi się wrażenie, że jesteśmy bezpośrednimi świadkami bardzo ciekawych wydarzeń, wtapiając się w atmosferę i klimat tamtych lat, tak przecież odległych nam w czasie. Przeżywamy każdą porę roku, podobnie jak u Rejmona w *Chłopach*. Brodzimy po rowach porośniętych gąszczem głogów, dzikich róż i czarnego bzu. Skradamy się do sadu – po hrabiowskie jabłka. Odwiedzamy przydomowe ogródki, gdzie smukłe lilie wypierają floksy, a złote postrzępione kwiaty o charakterystycznym zapachu walczą z nasturcjami o swoje miejsce z rosnącymi obok warzywami. Przemieszane zapachy kwiatów i warzyw, wszystko to bez ładu i planu, ma swoisty urok. Takie ogródki pamiętam i tęsknię za



Fot. 39. Stanisław Łukasiewicz
(1907–1996).

Źródło: Wikipedia.

nimi. W każdym obowiązkowo musiała być maciejka i niebiańsko pachnący groszek. To wszystko dzisiaj zobaczyć można w książce poświęconej Opinogórze. Ponadto – pranie bielizny, suszenie jej na słońcu, kiszenie kapusty, krwawe świniobicie, swary zwaśnionych sąsiadów i inne obyczajowe obrazki z życia wzięte.

Urządzam spotkanie w świetlicy PGR. Cała prawie Opinogóra (jej mieszkańcy) – ciekawa pisarza. Nieco później... katastrofa. Nazwiska bohaterów wprowadzie zmienione, ale rozpoznawalne. „Dudziec” – to przecież nasz Dziezdic, „siubry” – to dawne folwarczne dzieci i jeszcze coś, co nie ulega tak szybko zmianie w czasie jednego zaledwie pokolenia. Rozpętało się piekło, którego temperatura wrzenia osiągnęła pułap. Jakaś kobieta w swarliwej sąsiadce widzi siebie, inna protestuje w obronie ojca, który był „rzeźnikiem” a nie rzezimieszkiem. Robił to profesjonalnie – bo taki miał zawód. Ktoś krzyczy: – *Łukasiewiczze to siubry!* Padają groźby podania do sądu. Próbuje bronić pisarza, tym bardziej, że nic nie łączyło mnie ze skandalizującą w powieści organiściną, czy z którąś z dziewcząt kochającą się w łańchach zboża. No, ale gdyby to była moja rodzona babka, też pewno bym wrzeszczała.

Po spotkaniu autorskim, nastąpiło wyraźne ochłodzenie towarzyskich kontaktów między pisarzem a nami. I kiedy wydawało się, że nasze życie powoli zaczyna się zmieniać i przeobrażać w stabilny „życie człowieka pocziwego” – wkroczył w nie jak burza z piorunami sam pisarz. Zarzutów i skarg było tak wiele, że nie starczyłoby miejsca, aby spisać je na „króliczej skórce”. Najgorsze z nich to brak popularyzacji a nawet bojkot w rozpowszechnianiu *Krainy*, i pomijanie w ekspozycji muzealnej wiodącej roli rodziny Łukasiewiczów. I pewno doszłoby do „pojedynku”, gdyby pisarz się nie opamiętał, a kustosz nie udzielił rzeczowej odpowiedzi: – *Losy rodziny Łukasiewiczów wielokrotnie przedstawiane były na wystawach okolicznościowych (Amor patriae nostra lex) wraz z losami innych rodów opinogórskich, nie mniej zasłużonych... Na rynek wydawniczy – nie mamy wpływu (J.K).*

Inne żądania pisarza wydawały się zbyt wygórowane i stawiały muzeum w dość kłopotliwej sytuacji. Materiały i dokumenty rodzinne mogłyby zna-

leżć się jedynie w zbiorach specjalnych. Takich muzeum nie otrzymało. Pisarz przekazał je do Ciechanowa. Gdzie więc (myślę sobie) podziały się te nasze piękne wieczorno-nocne rozmowy, na tematy związane z literaturą. Jej roli w kształtowaniu postaw i charakterów? Co stało się temu znakomitemu pisarzowi? Człowiekowi właściwie twórczo spełnionemu, a tak odrzucanemu przez środowiska, w których przebywał i... kontrowersyjnego. Odpowiedź wkrótce nadeszła w liście, który napisał do kustosa:

W życiu zdarzało mi się kilka takich eksplozji. Padłem ofiarą mojej furii czyżby to świadczyło o jakimś załamywaniu mojej równowagi psychicznej? Niech puści Pan cały incydent w niepamięć. Między ludźmi z Opinogóry nie może być żadnych konfliktów. Tym bardziej, że nasza znajomość zaczęła się od wielkiej wzajemnej życzliwości. Bardzo pana dyrektora przepraszam. Stanisław Łukasiewicz, 2 grudnia 1991 r.

PS

Pisarz zmarł w 1996 r. w Warszawie. Tam został pochowany. Znając podłoże wielu konfliktów, nieraz zastanawiałam się, czy wygórowana ambicja może doprowadzić do autodestrukcji, po drodze niszcząc i raniąc innych. Musi przecież być jakaś jej granica. Nigdy nie śmiałam zadać pisarzowi pytania. Dlaczego? Życie daje nam tak wiele. Chcemy jeszcze więcej? Tytuł wspomnienia zaczerpnięty został z noweli pisarza.

Kartka z pamiętnika 19

Z Opinogóry do Wilna

Wyruszamy punktualnie o godzinie 7.45 z parkingu w Opinogórze. Ranne jest dość chłodny, ale słoneczny. Witają nas znajome twarze. Jest wśród nich także pan wójt — urzędowa osoba, kilku przedstawicieli Rady Gminy i członkowie Towarzystwa Miłośników Opinogóry. Nastrój jak to zwykle przed wycieczką. Każdy na swój sposób odreagowuje napięcie przed podróżą. Jedni nerwowo zaczynają przeglądać torby z dokumentami, inni już jedzą, inni moszczą sobie miejsca drzemki. Mijamy Gołymin, po drodze uzupełniamy komplet turystów i kierujemy się na Łomżę. Z Łomży przez Sejny, Grajewo, Augustów do Rajgrodu. W czasie podróży spać nie pozwala prezes Towarzystwa Irena Borowy, czytając głośno informacje o Wilnie z „Gazety Wyborczej”. To tak, jakby ktoś specjalnie dla nas napisał ten artykuł. Irena jest także organizatorem wycieczki. W międzyczasie kustosz Janusz Królik uzupełnia informacje i pomału wchodzimy w atmosferę Wilna i jego zabytków. Zatrzymujemy się na krótko w Sejnach i Rajgrodzie, aby nieco rozprostować kości, coś zjeść, coś jeszcze ..., bo już wkrótce przekroczymy granicę. Robi się potwornie zimno i wieje dość silny wiatr. Ochoczo więc wsiadamy do ciepłego autokaru, bacznie wypatrując granicy w Ogrodnikach.

Godz. 13.20 i ... pierwsze słupy graniczne. Jak długo będziemy czekać? Tego nie wiemy. Mamy mieszane uczucia. Kiedyś rodzice nasi przekraczali to miejsce bez paszportów, bez żadnych ograniczeń celnych. Z Warszawy przyjeżdżano do Wilna po to tylko, aby zjeść znakomity pasztet, jak czynił to znany aktor Zelwerowicz, zapraszany przez panią J. Wańkowicz. Ludzie ci dawno już nie żyją, Czy zobaczymy Wilno ich oczami?

W międzyczasie o Wilnie zaczyna opowiadać pan Jerzy Olszewski, znany wszystkim farmaceuta, społecznik i wielki patriota ciechanowski. Jako student był na obozie szkoleniowym w Wilnie w sierpniu 1939 r. — Wszyscy uczestnicy obozu spotkali się pod Ostrą Bramą, rozpoczyna swoją opowieść. Było tam ponad 1000 osób. Później przy grobie Marszałka Piłsudskiego, gdzie cały czas stała warta honorowa. Nikt wówczas nie przypuszczał, że 17 września wkroczą

na te tereny Rosjanie. Wartownicy, którzy nie chcieli opuścić grobu, zostali zabici. Podobno na płycie są ślady kul.

Irena prosi o moment ciszy i szykowanie paszportów. Wchodzi polski celnik. Wrywkowo sprawdza dokumenty, tu i ówdzie wnikliwie wpatruje się w twarze Bogu ducha winnych delikwentów. Czujemy się trochę dziwnie. Życzenia miłej podróży i... celnik litewski. Młody, przystojny, jakby nie nasz. Ktoś mówi, że ma polskie nazwisko. Pieczętuje stempelki w dowodach i... już jesteśmy na Litwie.

Przez szyby autokaru szukamy inności. Przed nami po lewej stronie otwiera się widok na malownicze jezioro, po prawej las. Zatrzymujemy się na moment. Wiatr od wody, zimno jak późną jesienią. Nad jeziorem duża drewniana rzeźba węża w koronie... i to właśnie Litwa. Z jej wierzeniami, legendami. To pewno ten książę zamieniony w węża, którego źli bracia pięknej siostry zabili z zawiści. Ktoś robi fotografię i jedziemy dalej. Lasy, pola, łąki i gdzieś tam wodne oczka, jakieś uroczyska. Szukamy gryki i dzięcielniny. Nigdzie tego nie widzisz. Podobno nie ta pora. Po krótkich informacjach Ireny i kustosa wypatrujemy Niemna. Żeby tak choć zamoczyć nogi mimo zimna. Nie udaje się, Jesteśmy już spóźnieni, a w Wilnie czeka na nas przewodniczka. Przejeżdżamy więc Niemen na sucho, mijamy Druskienniki — znany przedwojenny i dzisiaj także uzdrowiskowy kurort. Wokół lasy. Ciągłe szukamy inności. Tylko napisy litewskie na drogowskazach mówią nam, że jesteśmy na Litwie. Piętno literatury, historii i tego co namieszał nam także Mickiewicz sprawia, że tak bardzo chcemy wejść w klimat Pana Tadeusza. I wreszcie, na horyzoncie widzimy jakieś chałupki, drewniane przysiółki utopione w kępach przekwitłych już bzów i akacji. Okolica raczej biedna. Nie ma zwartej zabudowy. Przy drodze przycupnięte drewniane kapliczki, które tak bardzo chciałoby się sfotografować. Nie możemy jednak wykorzystywać niezwykle życzliwego turystom pana Sławka, naszego kierowcy i organizatorów wycieczki. Czas nagli.

Wjeżdżamy w rejon Sołeczники, gdzie jest największe skupisko Polaków. Do Wilna 26 kilometrów. Na drogowskazie Troki, a na horyzoncie wieża telewizyjna, o którą tak niedawno toczyły się walki. Na szosie coraz więcej mijających nas samochodów. Widać jakieś zakłady przemysłowe i już pierwsze dwupiętrowe bloki. I wreszcie ogromny napis VILNIUS.

Wjeżdżamy w aleję kwitnących tu jeszcze kasztanów, kluczymy ulicami, zaułkami i dojeżdżamy do Ostrej Bramy, miejsca spotkania z naszą przewodniczką. Jesteśmy spóźnieni dwie godziny. Irena szuka przewodniczki, my wysiadamy z autokaru. Zakładamy na siebie wszystko co ciepłe, choć przydałyby się jeszcze czapki — uszanki. Tak zimno. Jest Irena z odnalezioną jakimś cudem przewodniczką, która — jak się okazało — też godzinę „siedziawszy” i „zmarzwszy”, czekała na nas w hotelu. To pani Ania Adarnowicz nasza opiekunka

w Wilnie. Piękną polszczyzną dokonuje prezentacji i zapoznaje nas z planem zwiedzania miasta. Ale to dopiero jutro.

Jedziemy do hotelu pani Stasi Rutkiewicz. Byle szybko dotrzeć, umyć się, rozpakować i rozgrzać. Hotel robi dość dobre wrażenie. Niektórzy mają „dwójki” z własnymi łazienkami i wygodkami. Szczęśliwcy. Inni za to są młodszy i mogą gimnastykować się przy umywalkach. Na korytarzu, na każdym piętrze prysznic i toaleta. Nie jest źle. Obiadokolacja mocno już spóźniona smakuje wszystkim. Zagryzamy więc zimny rosół (nasza to wina) pysznym chlebem litewskim. Jemy coś tam jeszcze i już syci i zadowoleni nie szykujemy się do spania, ale – na własną rękę – do zwiedzania najbliższych okolic.

Zaułkami docieramy do Ostrej Bramy. Za szybą, nad bramą cudowny obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Tej, co świeci w Ostrej Bramie i błogosławi wszystkim, którzy do Niej przychodzą. Wchodzimy do kościoła św. Terezy (1635), gdzie znajduje się dobudowana w 1711 r. kaplica. Już zamknięta. Dzisiaj nie zobaczymy więc obrazu, jutro tu wrócimy. W Moskwie spadł podobno śnieg. Zimno i wietrznie w dalszym ciągu. Rozgrzani nieco Sutkinisem (to takie litewskie lekarstwo) wracamy do hotelu i pakujemy się w piernaty. Zasypiamy jak niemowlęta. Jutro ciekawy, ale bardzo ciężki dzień zważając na tempo zwiedzania. Kościoły, Rossa, Ostra Brama, Muzeum Mickiewicza i Bóg jeden wie co jeszcze. Może jutro będzie cieplej.

Sobota 13 maja – drugi dzień wycieczki. Wstajemy wcześnie. Nikt się nie ociaga. Szybko jemy śniadanie, pijemy kawę i grzecznie, poganiani przez panią Anię, jedziemy zdobywać Wilno! Najpierw Rossa – cmentarz. Zaopatrzeni w znicze, z nieukrywanym wzruszeniem udajemy się do znanej nekropolii. Tyle tu polskości. Tymczasem przewodniczka opowiada o historii Wilna. Autokarem kierujemy się na wschód, gdzie leży Rossa. Po drodze mijamy fragmenty starego muru niegdyś okalającego miasto, jakieś stare pozostałości po zamku, niewiele widać przez zaparowane szyby. I wreszcie jesteśmy już na Rossie!

Cmentarz malowniczo położony na wzgórzach, należy do najpiękniejszych i najstarszych w Wilnie. Założony został w maju 1801 r. przez proboszcza parafii wniebowzięcia NMP (Misjonarzy), Tymoteusza Raczyńskiego. Pierwsze kroki kierujemy oczywiście do Piłsudskiego, gdzie w grobie jego matki Marii z Billewiczów spoczywa serce Marszałka (12 maja 1936 r.). Mnóstwo kwiatów, lamp, lampeczek zakrywa czarny marmur. Zapalamy swoje znicze. Fragmenty wierszy umieszczone na płycie pochodzą z poezji uwielbianego przez marszałka poety J. Słowackiego. To jego prochy sprowadził Piłsudski na Wawel z Francji. Wypatrujemy pilnie śladów kul, wtedy kiedy wartownicy stojący przy grobie 18 września 1939 r. nie chcieli opuścić warty. Zdążyli usłyszeć tylko ... *Polski użę niet!* Zginęli wierni Marszałkowi i Polsce. Ku ich czci ustawiono kamienne nagrobki. Obok na niewielkim polskim cmentarzysku wojskowym, leżą żoł-



Fot. 40. Przy grobie matki J. Piłsudskiego.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.

nierze polegli w walkach o Wilno w 1919 i 1920 r. Znajdują się tu także groby żołnierzy AK z 1944 r. podczas operacji wileńskiej „Ostra Brama”. Tak trudno odejść od grobu matki J. Piłsudskiego. Jakaś babuleńka recytuje wiersze własne, czy cudze poświęcone Marszałkowi.

Nie ma czasu pytać. Biegniemy za przewodniczką, opowiadającą o historii cmentarza, który bezsprzecznie należy do jednych z najstarszych w Europie. Został znacznie poszerzony w czasie ostatniej wojny. Szukamy polskich nazwisk, dużo jest także litewskich. Nie są tu już ważne narodowości, czy przekonania polityczne. Dzisiaj odbywają się i polskie i litewskie uroczystości. Nikt nikomu nie przeszkadza. Cmentarze milczą, ale jakże w tym milczeniu są wymowne.

I oto grób K. Wilczyńskiego, lekarza, wydawcy *Albumu Wileńskiego*, który zmarł w 1885 r. Był bardzo biedny pod koniec życia. Wszystkie zarobione pieniądze przeznaczał na wydawnictwa. Nieopodał okazały grobowiec śp. Weroniki z Laniewskich Wollkow hr. Korwin Milewskiej (1823–1891) i Fr. Lanckorońskiej. W centralnej części cmentarza znajduje się kaplica z pocz. XIX w. Nieco w głębi po prawej stronie pomnik z dwójką tulących się dzieci. To grób Jana Montwiłła zasłużonego dla Wilna filantropa, nazywanego „ojcem Wilna”. Piastował urząd dyrektora banku, był założycielem wielu towarzystw regionalnych i instytucji naukowych.

A oto grób Sztrala – znanego w całym Wilnie, u którego na kawie spotykały się ówczesne sławy. Idziemy do Lelewela. Po drodze oglądamy okazały nagrobek litewskiego bohatera Bosanaviciusa. To przy nim odbywają się rocznice uroczystości litewskie. A oto i Lelewel (1786–1861). Pomnik z popiersiem znanego wszystkim wybitnego historyka i polityka a także profesora historii Uniwersytetu Wileńskiego (1821–1824).

Uwagę naszą zwraca piękny pomnik z czarnego marmuru lży Salomonowi-czówny – „Anioł Śmierci” unoszący się w górę. Ktoś chce się przy nim fotografować, ktoś krzyczy, żeby nie! Legenda głosi, że w noc zaduszną Anioł Śmierci ulatuje szukając swojej duszyczki, którą ma w opiece. Zwiedzamy także „Górkę Literacką” gdzie pochowani są ludzie pióra, malarze, rzeźbiarze, muzycy. (A. Jocher 1791–1860 – bibliograf, M. Malinowski – redaktor „Kuriera Wileńskiego”, Antoni Gliński – autor „Bazarza Polskiego”, K. Czurlionis – litewski kompozytor, malarz, który kształcił się w Warszawie, Cz. Jankowski – poeta, pisarz i działacz społeczny). Nie sposób wymienić wszystkich. Znacznie niżej, pod nami jest druga Rossa. Nie schodzimy w dół. Jest bardzo wysoko. Pod nami bieleją nagrobki. Biegnie jakaś lokalna szosa. To ta część cmentarza miała być zlikwidowana dla drogi ruchu. Opatrzność i ludzie nie pozwolili. Dużo dobrego dla Rossy zrobili prof. Lorenz i Waldorff. To oni zapoczątkowali pierwsze kwesty na konserwację. Jeszcze nie opuszczamy „Górki literackiej”. Idziemy do Syrokomli. To przecież znany poeta Ludwik Kondratowicz (1823–1862). Na jego pomniku są słowa z „Lirnika wioskowego” – „Skonał grając na lirze”.

Pani przewodnik, daleko już od nas. Gonimy ją po niezbyt równych ścieżkach, ścieżynkach i zasapani odnajdujemy ją przy grobie ojca Juliusza Słowackiego. Jest tu także grób ojczyma Juliusza, pana Becu. Nim nie interesujemy się zbyt, choć też przeszedł do historii, acz niechlubnie. Ktoś woła do grobu Juliusza Kłosa (1881–1933) architekta, autora pierwszego przewodnika po Wilnie. Tracimy głowy i nogi. Wszystko za prędko. Trudno powiedzieć w którą już stronę, ale cofamy się do wyjścia. Oglądamy nagrobek Marii Piłsudskiej z Koplewskich pierwszej żony Marszałka. Pochowana tu jest także ciotka Piłsudskiego i jego najmłodsze rodzeństwo. Obok spoczywa Antoni Wiwulski – znany rzeźbiarz (1877–1919) i architekt. Tuż przy ogrodzeniu oddzielającym cmentarzyk wojskowy od głównego jest grób brata Marszałka Adama Piłsudskiego (1895–1935) – senatora RP. I jak tu nie dostać zawrotu głowy. Wszystko się miesza. Ostatnie więc spojrzenie na cmentarz, do autokaru i w miasto. Później przyjdzie czas na refleksje i wspomnienia.

Z okien, zaparowanych już mocno, oglądamy w dole widniejące miasto. Gdzieś tam wije się Wilejka po wileńsku Neris (od nurkowania). Przewodniczka opowiada jak było tam niegdyś. Oczywiście za czasów króla Zygmunta II Augusta i jego ojca, którzy często przyjeżdżali do Wilna. Widać ta wszystko

dokładnie na obrazach Smuglewicza. Na ogromnym wzgórzu z basztą Giedymina królują trzy białe krzyże. Były tam od zawsze, mówią miejscowi. Najpierw drewniane, później metalowe. Zginęli tu w zamierzchłych czasach trzech misjonarzy i stąd ta pamiątka. Wjeżdżamy w ulicę Kościuszki. Po prawej stronie Departament Mniejszości Narodowych, jakiś duży kompleks Nuncjatu kościelnego, mijamy Muzeum Sztuki Stosowanej (ze znanym skarbem z Katedry). Później Pałac Sportu mieszczący 6000 widzów, Bibliotekę Wróblewskich a po drugiej stronie pozostałości po zamku królewskim. I mijamy monumentalną fasadę katedry wileńskiej. Wjeżdżamy w ul. B. Radziwiłłówny, przewodniczka pokazuje dom, w którym zmarł W. Syrokomla. Za bramą był kiedyś tzw. Cielętnik – park Uff!!! Wsiadamy z autokaru i idziemy w stronę kościoła św. Anny. W międzyczasie pani Ania opowiada o Wilnie. Dowiadujemy się, że mieszka tu ponad 100 narodowości.

Jest kościół. Nie wchodzimy do środka a podziwiamy go z zewnątrz. Istne caczuszko! Jako świątynia drewniana kościół p.w. św. Anny zbudowany był staraniem księżnej Anny (żony Witolda) w 1395 r. Przechodził różne koleje losu a budowę dzisiejszego kościoła w obecnej formie rozpoczęto w 1501 r. Fundatorem miał być Aleksander Jagiellończyk. Kościół pełni rolę kaplicy dworskiej i podobno Zygmunt August chciał tu być pochowany z obydwoma małżonkami. Autorem tego arcydzieła architektury europejskiej jest gdańszczanin Michał Carpentarius. To ten kościół tak bardzo podobał się Napoleonowi. Legenda mówi, że cesarz chciał go na dłoni przenieść do Paryża. Msze św. odprawiane są tu wyłącznie po litewsku.

W głębi, prawie przylepiony do kościoła św. Anny, drugi obiekt sakralny – to kościół Bernardynów. Podobnie jak inne wileńskie kościoły świątynia rozpoczynała swój żywot jako budowla drewniana (1480 – fund. Kazimierza Jagiellończyka). Nowe prace budowlane datują się na 1506 r. – ukończone w roku 1520. Spalony przez kozaków w 1655 r., odbudowany pod protektorem K. Paca dwadzieścia lat później. Zachowały się nagrobki (z 1599 r.), ambona (z 1690 r.), częściowo chór zakonny ze stallami za ołtarzem głównym. Msze św. odprawiane w jęz. litewskim. Obok kościoła znajdują się zabudowania klasztorne, dziś własność Uniwersytetu. Jest tu także piękna dzwonnica. Na tle fasady kościoła Bernardynów znajduje się pomnik A. Mickiewicza dłuta G. Jokubonisa, który odsłonięto 8 kwietnia 1984 r. Wszyscy zbiorowo, lub indywidualnie biegniemy fotografować się z wieszczem.

Następny etap – to Muzeum Mickiewicza. Oprowadza nas sam p. dyrektor. Mickiewicz mieszkał tu zaledwie 3,4 miesiące, ale tu pisał *Grażynę*, przy tym właśnie biurku, które oglądamy. Dużo kopii rękopisów poety, fotel z paryskiego mieszkania, portret pisarza malowany przez Andriollego, fotografie, jest także popiersie Lelewela z XIX w. a także litografie Smuglewicza. Są oczywiście kopie



Fot. 41. Bożena i Janusz Królikowie przy pomniku A. Mickiewicza.

Źródło: Ze zbioru autorki.

listów Zana i nawet zaświadczenie o stanie zdrowia Mickiewicza. Jest i Maryla. Kardynał Glemp, który zwiedzał muzeum pytał czemu nie ma żony pisarza. Już jest. To, że muzeum zaczyna zmieniać swoje oblicze zawdzięcza w dużej mierze W. Ochmanowi i innym zagranicznym sponsorom, mówi dyrektor. Zaglądamy do pokoju filomatów. Oglądamy jeszcze wyłożone w gablotach dokumenty. Wśród kopii, jeden prawdziwy dokument. To brudnopis prośby A. Mickiewicza pisany 28.02.1823 r. do władz uniwersyteckich. Trudno odczytać, nie ma wiele czasu. Schodzimy już od strony dziedzińca bardzo stromymi schodami piwnicy. Ceglane sklepienia, duży współczesny stół z ławami. Dyrektor opowiada, że tu właśnie odbywają się spotkania literackie. Bywali tu niegdyś filomaci. Bywał Mickiewicz i Odyniec i wielu, wielu innych. Inaczej to kiedyś wyglądało, ale nastrój jest.

Wychodzimy z piwnicy prosto w objęcia naszej przewodniczki, która wspomina o plejadzie znanych nam z literatury ludzi, którzy często przebywali w Wilnie. Bywał tu także nasz poeta Gałczyński ze swoją żoną Natalią. To tu pisał jedne z piękniejszych swoich liryk jak choćby *Dzbanek z konwaliami*. Jest także Puszkiniówka – dworek syna Puszkina, wysepka architektoniczna

kultury rosyjskiej. Przed kolejnym zwiedzaniem obiektów zabytkowych pani przewodnik opowiada o Wilnie współczesnym i dawnym. Depczemy po polskim jeszcze bruku.

Współczesne Wilno zalane dosłownie zostało zachodnimi samochodami. Zniknęły moskwicze, których było tu bardzo dużo. W ciągu ostatnich trzech lat, liczba samochodów zwiększyła się pięciokrotnie. Oglądamy z zewnątrz ambasady: duńską, angielską. Kiedyś były tu okazałe dwory i pałace. To dzielnica zwana Antokolem. Rzut oka na piękny barokowy kościół św. Piotra i Pawła. Później tu wrócimy. Tymczasem pani przewodnik proponuje małą półgodzinną przerwę. Sama załatwia wejście do katedry św. Stanisława ufundowanej przez Wł. Jagiełłę w latach 1387–1388. Burzliwe dzieje ciągle zmuszały do jej przebudowywania, wzmacniania fundamentów, uzupełniania i ozdabiania wnętrza. Niektórzy z wycieczkowiczów pragnęli nieco odetchnąć. Znaleźli dość sympatyczną piwniczkę z serwowanymi potrawami litewskimi. Zamawiają więc cepeliny (to takie nasze pyzy z farszem mięsnym, ale ogromne), kołduny litewskie, gorącą herbatę z rumem. Zimno w dalszym ciągu. Kelnerzy guzdrzą się. Naszym śpieszno.

Biegniemy za panią Anią do katedry. Wnętrze robi ogromne wrażenie. Trafiamy na ślub wileński. W tym kościele ślub brała Barbara Radziwiłłówna z Zygmuntem Augustem. W świątyni znajduje się 11 kaplic. Najpiękniejsza z nich to kaplica św. Kazimierza (brata Al. Jagiellończyka). W niszach powstawiane drewniane posrebrzane figury królów: Wł. Jagiełły, Wł. Warneńczyka, K. Jagiellończyka, J. Olbrachta, Al. Jagiellończyka, Z. Starego, Z. Augusta i królewicza św. Kazimierza. Srebrzy się to i złoci niesamowicie!

Na głównym ołtarzu obraz przedstawiający św. Kazimierza z ... trzema rękami namalowany ok. 1520 r. Legenda głosi, że malarz kilkakrotnie poprawiając rękę, próbował ją zamalować lecz nie udało mu się tego dokonać, co uznano za cud i tak już zostało. Schodzimy w dół, do podziemi. Oprowadza nas przewodnik litewski pan Vigyntas. Pani Ania tłumaczy. Zaczyna od Mendoga a właśnie od archeologii od XIII w. Pierwszy król litewski Mendog koronowany został w katedrze w 1253 r. Przyjął chrześcijaństwo z zachodu, lecz po 10 latach panowania został w czasie buntu pogańskiego zamordowany. Katedra stanęła prawdopodobnie na miejscu dawnej świątyni pogańskiej. Podczas powodzi w 1931 r. katedra mocno ucierpiała. Wody Willi i Wilejki zalały wszystkie podziemia. Zapadły się nawet marmurowe płyty w kaplicy św. Kazimierza. W latach 1932–1939 rozpoczęto prace konserwacyjne i odkryto wiele krypt zawalonych gruzem, między innymi Al. Jagiellończyka, Elżbiety Rakuszanki drugiej żony Zygmunta Augusta i Barbary Radziwiłłówny. W murze pod ołtarzem kaplicy św. Kazimierza znaleziono urnę z sercem króla Władysława IV. Prace były bardzo ciężkie. Wszystko zalane było błotem i mułem.

W 1985 r. odkryto w podziemiach skarb i dzisiaj można go oglądać w Muzeum Litewskim. Być może wiele jeszcze tajemnic kryją podziemia katedry. Najdłużej zatrzymujemy się przy trumnie Barbary Radziwiłłówny. Na wierzchu ktoś położył białe róże, jest replika korony. Na pozostałych trumnach kopie mieczy, korony. Nad nami główny ołtarz. Ciemno tu i zimno i jakoś straszno. Przemieszczamy się pod ciasnymi sklepieniami, jeszcze rzut okiem na trumny biskupów, tiary umieszczone w podświetlanych gablotach, herby Sapiehów.

Wychodzimy z podziemi katedry przytłoczeni historią, ale radzi, że już na wierzchu, w słońcu, wśród żywych. Podchodzimy do pałacu prezydenckiego (od 1995 r.). Niegdyś był to pałac biskupi (gubernatorski). Oglądamy go z zewnątrz. Ogromny. Bywali tu i car Aleksander i król Stanisław August, Napoleon i Piłsudski. Znajduje się tuż przed wejściem do Uniwersytetu założonego w 1570 r. jako kolegium jezuickie (sprowadzeni do walki z reformacją), od 1587 – Komisja Edukacji Narodowej, później Szkoła Główna. Po trzecim rozbiore funkcjonował jako uniwersytet carski. W czasie powstania listopadowego wywieziono na zesłanie ponad 400 studentów. Od 1918 r. Uniwersytet Stefana Batorego. Działał do 1940 r. (tajne komplety). Dzisiaj Państwowy Uniwersytet Litewski, mający 11 wydziałów i ok. 11 tys. studentów. Z ciekawostek dowiadujemy się, że studiowali tu między innymi Mickiewicz, Słowacki, litewscy krzewiciele oświaty jak Szymon Dowkont, Taras Szewczenko (ukraiński poeta) i nasz noblista Czesław Miłosz. Oglądamy ogromne dziedzińce, nazwane przez Ruszczyca dziedzińcami Sarbiewskiego i Piotra Skargi, Obserwatorium Poczobutta-Odlanickiego. Piotr Skarga był pierwszym rektorem Uniwersytetu.

Udajemy się następnie do kościoła św. Jana. Urzeka nas barokowa fasada tego kościoła. Powstał w okresie gotyku, przebudowany w XVIII w. Najpiękniejszy w nim jest główny ołtarz składający się z zespołu dziesięciu ołtarzy. Całe wnętrze skromne, jakby ogołocone. Podczas rekonstrukcji zburzone przez Pelikana i pewne elementy zostały po prostu wywiezione. Zamalowano także dwa olbrzymie freski. W okresie stalinizmu było to Muzeum Myśli Postępowej. W tym to kościele w latach 1840–1858, organistą był Stanisław Moniuszko. Zachowały się organy, na których grał. Znajdują się tu także ciekawe epitafia z popiersiami Mickiewicza. Odyńca, Syrokomli oraz Moniuszki. Oglądamy piękną kaplicę Ogińskich z relikwiami świętych, portret Poczobutta (uczonego astronoma) i trafiamy na koncert muzyki klasycznej w wykonaniu zespołu dziecięcego. Siadamy na chwilę w ławkach, ale nie dla nas wypoczynek. Jeszcze tyle do zobaczenia.

Udało nam się także zobaczyć kościół św. Piotra i Pawła (to już na Antokolu). Pierwsza drewniana świątynia stanęła tu jeszcze za czasów Jagiełły. Dewastowana, palona i odbudowywana zmieniała swój kształt i wygląd. Fundatorem kościoła murowanego był wojewoda wileński. M.K. Pac, który kazał się

pochować w progu świątyni. Uwagę naszą w głównym ołtarzu zwrócił obraz Fr. Smuglewicza przedstawiający scenę pożegnania św. Piotra z Pawłem. Stara ambona w kształcie łodzi Piotrowej, ogromny kryształowy żyrandol przypominał nam łódź Wikingów. Według legendy miał być darem miasta Wenecji na konsekrację kościoła w 1701 r. Historycy datują ten obiekt na znacznie późniejszy okres. Prawdopodobnie to replika wykonana w XX w. Ktoś pokazuje dużą figurę Chrystusa madryckiego z „prawdziwymi włosami” (włosy podobno odrastają). Figurę tę miał przysłać z Rzymu sam papież (Innocenty XII?) w 1700 r.

Opuszczamy z żalem tę perłę baroku i udajemy się do Ostrej Bramy z cudownym obrazem Matki Boskiej. Idziemy tam z nieukrywanym wzruszeniem. Miejsce pielgrzymek Polaków, Litwinów i wyznawców prawosławia. Obraz w 1671 r., osłonięty drewnianą kaplicą, później murowaną (1711–1712) – gruntownie remontowaną w 1828 r. aż do okresu międzywojennego w 1932 r. – robi niezwykle wrażenie. Wokół ołtarza i całej niewielkiej kaplicy ogromna ilość wot. Jest ich podobno około 14 000, najstarsze pochodzi z 1802 r. Jest także votum. ... „dziękuję Ci Matko za Wilno” – J. Piłsudski. My także dziękujemy za wszystko, każdy skupiony, każdy na swój sposób wyraża wdzięczność, prosi o opiekę. W ciszy, skupieniu opuszczamy kaplicę, marząc by tu jeszcze wrócić. Mocno już zmęczeni, z mętlikiem w głowach, wracamy do hotelu. Panie kucharki raczą nas cepelinami, szybko pakujemy bagaże, aby rano pójść na polską mszę i przez Troki – do domu.

Nazajutrz tj. w niedzielę wstajemy dość wcześnie. Pogoda słoneczna, znacznie cieplej. Jedziemy autokarem na mszę do kościoła św. Ducha, jednego z najwartościowszych rokokowych dzieł na Litwie. Wnętrze kościoła zdobią liczne barokowe ołtarze. W jednym z nich, umieszczony jest obraz Chrystusa malowany wg sugestii św. Faustyny – „Jezu ufam Tobie”. Zachowały się także XVI wieczne portrety Aleksandra Jagiellończyka oraz ks. M. Korczaka – spowiednika monarchy i pierwszego proboszcza kościoła. Jest to jedyny kościół w Wilnie, w którym msze święte odprawiane są po polsku. Włączamy się do wspólnej modlitwy i choć piękno nie powinno rozpraszać, tak trudno się skupić. Tyle tu do oglądania i podziwiania.

Wracamy do hotelu na szybkie śniadanie, ostatnie uściski z naszą uroczą przewodniczką panią Anią Adamowicz i do ... Trok. Żegnaj Wilno? Tak, to te znane Troki Witoldowe. Tam przecież zmarł wielki książę litewski w ramionach swego brata Jagiełły, z którym całe życie rywalizował. Troki oddalone są od Wilna około 28 kilometrów. Mijamy Pohulankę, jakieś zaułki, po prawej stronie skręty Wilii na tle porośłych lasem wzgórz. Przejeżdżamy obok dawnego majątku hr. Tyszkiewiczów z pałacem wzniesionym w drugiej połowie XIX w. w Wace.

Dojeżdżamy do Trok położonych między dwoma jeziorami. Osada sięga XVI w. Dowiadujemy się, że w 1403 r. książę Witold osadził tu Karaimów sprowadzonych z Gruzji, którzy stanowili jego straż. Dzisiaj jest ich w Trokach około 100 osób. Oglądamy ciekawe, drewniane karaimskie domy stojące szczytem do ulicy z trzema oknami. Na wzgórzu kinessa – prosty czworoboczny budynek ze spolszczonym dachem mansardowym (jak piszą w przewodniku) pochodzi prawdopodobnie z XVIII w. To karaimska świątynia. Karaimi – pochodzenia żydowskiego swoją religię opierają wyłącznie na Starym Testamencie, nie uznają Talmudu. Odznaczają się niezwykłą wręcz uczciwością i solidnością. Zaslłynęli z upraw warzyw, głównie ogórków. Kupujemy bilety i udajemy się na zamek leżący na wyspie. Idziemy przez most, choć można tu także dopłynąć stateczkiem.

Przed nami zamek, przypominający nieco Malbork. Wdrapujemy się drewnianymi schodami i zwiedzamy wnętrza. Ogromna przestrzeń wypełniona eksponatami, naturalnie kopiami, tak jak w większości tego typu muzeach. Nieco dłużej, na zewnętrznym dziedzińcu, oglądamy w poszczególnych salach pięknie wyeksponowane w gablotach drobiazgi pochodzące z całej Litwy, z poszczególnych majątków. Meble, obrazy, bibeloty, porcelanę etc. etc. Ostatnie spojrzenie na monumentalną całość, ostatnie zdjęcia i w drogę powrotną. Zwiedzamy jeszcze w Trokach kościół farny pod wezwaniem Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny, fundowany jeszcze przez księcia Witolda w 1409 r. Kościół wielokrotnie niszczony i przebudowywany z wprowadzonymi (w 1718 r.) elementami barokowymi, z dobudowanymi wieżami, kaplicą Romerów (grób art. malarza A. Romera) podoba się wszystkim. W wielkim ołtarzu znajduje się słynący cudami obraz Matki Boskiej Trockiej – malowany na miedzianej blasze. Nabożeństwa odbywają się w języku litewskim i polskim. Przed kościołem piękna, stara figura. Biegiem do autokaru i jeszcze szybciej po bursztyny, których jest tu niezliczona ilość. Każdy chce kupić jakieś pamiątki. Wszak nie tylko samym „duchem” człowiek żyje. A duchowych przeżyć było bardzo dużo. Dziękujemy Ci Wilno!

Kartka z pamiętnika 20

Requiem dla Ireny

Kościół pełen kwiatów i żałobników. Z chóru dobiegają dźwięki muzyki i pięknych pieśni w wykonaniu zespołu „Melodia”. Czy to requiem dla Ireny? Krótka nieubłagana choroba, w końcu jej śmierć zaskoczyła nas wszystkich i pogrążyła w żałobie. Choć ogarnia nas ogromny żal i smutek, towarzyszymy zmarłej w modlitwie różańcowej prowadzonej przez panią Jadwigę Klonowską, bierzemy udział w cudzie eucharystii mszy św. celebrowanej przez proboszcza parafii ks. Jarosława Arbata. Kazanie, krótkie okolicznościowe wspomnienia poświęcone zmarłej, wzruszający list do Mamy – od synów Michała i Marcina, uświadamia nam, że to się stało, że nie ma już odwrotu i nadziei. Pozostają refleksje, łzy, które zwykle towarzyszą nam w takich chwilach. Kim była osoba, która w ten styczniowy słoneczny, (choć mroźny) dzień zgromadziła tak nieprzebrany tłum żałobników, którzy przybyli do świątyni opinogórskiej, aby złożyć jej ostatni hołd? Kim była dla mnie?

Irenę Kotowicz-Borową znalazłam... od zawsze. Konkretnie od końca lat 70., kiedy z Jackiem (lekarzem weterynarii) swoim mężem i maleńkim synem Marcinem zamieszkali w Kołaczkowie. Irena pracowała wówczas w Kółkach Rolniczych na terenie powiatu, współpracując także z redakcją „Trybuny Mazowieckiej” w Warszawie. Absolwentka SGGW ze specjalizacją socjologa wsi, od pokoleń rodowita warszawianka, z trudem adaptowała się do warunków wiejskich. Już wówczas dała się poznać jako osoba niezwykle ambitna i poszukująca nowych wyzwań.

Po wielu rozmowach z moim mężem – i być może pod jego wpływem – zdecydowała się na pracę w muzealnictwie, w dziale etnograficznym. I tak pozostała w rodzinie „Korników” (to takie muzealne robaczki) do końca swego życia.

Podnosiła nieustannie swoje zawodowe kwalifikacje, (doktorat, plany habilitacji) wydając liczne publikacje, prowadząc wykłady dla studentów w swojej ukochanej uczelni, a także badania naukowe w kraju i za granicą. Tak więc, życie jej toczyło się między wsią a wielkim i ciekawym światem. Toczyło się – to



Fot. 42. Irena Kotowicz-Borowy w czasie prelekcji w Muzeum Romantyzmu.

Źródło: TMO.

brzmi zbyt wolno. Ono pędziło w zawrotnym tempie ekspresu. – Zatrzymaj się! – wielokrotnie ją przestrzegałam. – Zwolnij! Ciesz się tym co osiągnęłaś. – Ależ ja się cieszę! (śmiech).

W mojej pamięci pozostała osobą silną, niepokorną, pełną temperamentu, czasem nieco arbitralną. W pozornym, czy pozorowanym chaosie niektórych jej działań, była jednak żelazna konsekwencja i upór, a w końcowym efekcie skuteczność realizacji wielu zamierzeń. Spełniła się także jako kobieta, żona, matka, babcia ukochanego wnuka Kacperka, któremu z miłością poświęcała część swoich urlopów. Urodziła dwóch synów Marcina i Michała, którym zaszczerpiła dobro i razem z Jackiem miłość do otaczającej przyrody. Miała także tę niezwykłą cechę jak zdolność współodczuwania, ilekroć coś złego działo się w jej kręgu przyjaciół, czy znajomych. Znam to z autopsji. Miała też i swoje wady. Niekiedy bywała apodyktyczna, czasem uparta – lecz nigdy nudna. To przywilej ludzi twórczych. Żywe „utarczki” z nią zawsze kończyły się kompromisem. W przyjaźni – tak jak w małżeństwie – obowiązują pewne zasady i póki ich przestrzegamy, to uczucie nadal trwa.

Wszyscy, którzy znaliśmy Irenę, wiedzieliśmy, że dla niej doba była zbyt krótka. Potrafiła umawiać się z wieloma osobami w różnych miejscach, w tym samym czasie godzinowym. Dziś myślę, że poza roztargnieniem i natłokiem obowiązków, już w ostatniej chwili decydowała o ważności hierarchii spotkań. Do swoich „Zapustników”, jeśli była z nimi umówiona, potrafiła kilkanaście



Fot. 43. Irena Kotowicz-Borowy z mężem i przyjaciółmi. Autorka wspomnień, pierwsza z prawej, ogląda album fotograficzny Towarzystwa Miłośników Opinogóry (wykonany przez Bożenę Siemionko).

Źródło: Towarzystwo Miłośników Opinogóry.

kilometrów jechać czasem po oblodzonej szosie wiedząc, że tam gdzieś w wiejskiej świetlicy czekają na nią ludzie. Żyła, była, kochała. Jakże do jej temperamentu i żywotności nie pasuje słowo śmierć. – Ot tak, w wymiarze ludzkim.

Odwiedzmy ją więc jeszcze w ukochanym domu, który stworzyli razem z Jackiem. Swoje „gniazdo” budowali, lepili prawie dwadzieścia lat. Niewiele osób, włącznie z samymi pomysłodawcami, wierzyło w to przedsięwzięcie. I udało się! To piękny dom. Zbudowała go miłość Jacka do Ireny i jej upór. W swoim zabieganym życiu chciała zatrzymać czas, chronić tu chwile bycia razem z bliskimi, otoczyć ich pięknem i dać im siebie. Stąd pewnie kamienny mur, który był tylko symbolem – bo drzwi były zawsze szeroko otwarte dla bliskich. Wokół domu mnóstwo różnorodnych kwiatów, krzewów, drzew owocowych i ziół, których tajemnicę posiadała tylko ona sama i przez nią serwowane potrawy.

Pamiętam, z jaką radością i dumą urządziła to swoje „gniazdo”. Ogromna kuchnia, w której królował piec z fajerkami, zajmując większą część ściany (obłożony zielonymi kafelkami), duży kredens pełen tajemniczych niespodzianek i na parapecie okiennym doniczki z kwiatami. Stół, na którym zawsze coś dobrego kusiło do zjedzenia. Mich pełnych warzyw, kolorowej fasoli, sezono-

wych owoców i złocistych dyń. U pułapu zwisające pęki zasuszonych kwiatów, ziół, wieńców cebuli, papryki i czosnku. Trudno było to wprost ogarnąć wzrokiem. Udało się czasem łasuchowi wyjąć prosto ze słoja umykający marynowany grzybek, czy cebulkę, a także wyłowić z miseczki pyszną konfiturę. Cóż to były za wspaniałości! Robiliśmy to ukradkiem, aby nie dostać po „łapach” od gospodyni, która zajęta była parzeniem herbaty. Potrafiła robić to po mistrzowsku – wzbogacając jej smak i aromat, tylko sobie znanymi komponentami. Kiedyś odkryłam tę tajemnicę, choć nigdy jej sama nie zastosowałam. Do parzącego się wrzątku wrzucała jakieś listki, które „uszczeńła” z ziół zawieszonych u pułapu lub zerwanych wprost z ogródka. Pewno dodała jeszcze jakiś rodzaj swojej herbacianej mieszanki, a efekt był znakomity. Herbatę Irena podawała w salonie w porcelanowym czajniku opatulonym kolorowym ubrankiem (strzegącym przed utratą ciepła) w pięknych filiżankach na wielobarwnej serwecie wyhaftowanej przez mamę Jacka. To był specjalny rytuał. Zapach drzewa w rozpalonym przez Jacka kominku, ciche pochrapywanie ulubionego psa Ireny – i niekończące się nasze rozmowy tworzyły intymny klimat przyjaźni i więzi. Niekiedy wpadałyśmy na te herbatki, doceniając uroki tego miejsca i gościnność gospodarzy. Irena była duszą tego domu.

Potrafiła wyczarować nastrój tak, jak wyczarowała dla mnie sarenki. Było to wkrótce po śmierci mego męża. Mroźna i śnieżna zima. Samochodem przepokopujemy się przez głęboki śnieg. Mijamy jakieś górki, dołki, laski i zatrzymujemy się na wzniesieniu, a pod nami duża polana. Cisza, jaka może być tylko w lesie. Nic się nie dzieje. Od bieli śniegu odbijają się tylko zielone wierzchołki drzew. I nagle... jedna za drugą, jedna za drugą – są nasze sarenki – woła Irena. Całe stadko! – A widzisz? Wczoraj tu byłam o tej samej porze i chciałam, żebyś je zobaczyła. – Ty czarownico! – mówię do niej – wyczarowałaś je dla mnie. Trzeba było wówczas zobaczyć jej triumfującą minę i radość. Nie chcę infantylizować wydarzenia, ale kiedy przypominałam Jackowi tę przygodę, zlokalizował miejsce, które sam dobrze znał. To Kownaty Borowe. I dodał: – Sarenki ją także pożegnały, kiedy wiozłem ją z Wieliszewa do Ciechanowa – tuż przed śmiercią. Wyskoczyły z lasu i... zatrzymały się na poboczu jezdni. Kierowca zatrzymał karetkę, pozwalając stadku bezpiecznie predefilować przed samochodem. Uczyniły to i... umknęły do lasu. Czy była świadoma tego wydarzenia? Nieprzytomna, odurzona lekami, wkrótce zmarła.

W życiu zdarzają się takie sytuacje, które trudno jest podporządkować rozumowi czy rozsądkowi. Irena pozostanie w moim sercu i pamięci. Była jak ten egzotyczny, kolorowy ptak, który ciągle szukał miejsca bezpiecznego dla siebie. Na chwilę usiadł na gałązce jarzębiny w swoim ogródku, rozejrzał się wokół i powiedział: – Jak cudnie... I odfrunął, szukając ciekawszych, lepszych miejsc...

Kartka z pamiętnika 21

Złota szabla porucznika

Jak już wcześniej wspominałam, nasze ścieżki opinogórskie nieustannie wiodły nas ku domowi małżonków Piotra i Michaliny Dziedziców. Mieszkali samotnie nieopodal Czernic w domu, który za wierną służbę swojemu „łowczemu” ufundował hr. Edward Krasiński. Łączyło ich wiele, choć obydwoj prezentowali różne klasy społeczne i dojrzewali w różnych gniazdach w „sferze” czy poza nią. Zbliżyły ich zapewne przygody myśliwskie, gawędy przy ognisku, przy skwierczącej jajecznicy, pełnym jeszcze płonących węgielków, zmaganie się w Tatrach z niedźwiedziem, a później relacjonowanie, kto pierwszy go ubił.

Swoje wspomnienia hr. Edward zamieścił w swoich *Gawędach myśliwskich*, a łowczy przedstawiał je we własnej wersji, czyniąc z siebie bohatera. – I jak tu wierzyć myśliwym? I któremu z nich? Tak czy owak relacje między hrabią a sługą były poprawne i oparte na wzajemnym szacunku. Stąd zapewne troska ordynata o rodzinę, którą zatrudnił w swoim majątku.

Dom to nie tylko jego struktura zewnętrzna, gabaryty czy sprzęty. To przede wszystkim ludzie, którzy tworzą jego duchową atmosferę i nastrój. Byliśmy zaszczytzeni, mogąc gościć u państwa Dziedziców. Prezentowali cechy, które w zastraszającym tempie zaczęły ginąć, czyniąc je zbyt staroświeckimi lub sprzecznymi z obowiązującą modą, która w końcu jest zmienna. Nie odrzucali „nowego”, ale wiernie przestrzegali swoich tradycji wyniesionych z własnych domów. To u nich zobaczyłam, znaną mi z dzieciństwa, maleńką metalową – chyba mosiężną „Kropelniczkę”, zawieszoną na bocznej ścianie wejściowego pokoiku. Dziś nie ma jej także u mnie i mniemam, że także w wielu innych rodzinach. – Wstydzimy się ich? A tak często zarzekamy się: „Od zła wszelkiego...”. Dom, który odwiedzaliśmy, był miejscem, w którym dominowała wiara oparta nie tylko na słownych deklaracjach. Dzielili się z nami swoim życiem – tak radościami, jak i troskami. Wychowali czworo dzieci, którym zapewnili odpowiednie wykształcenie, co wcale nie było łatwe i wymagało od rodziców wielu wyrzeczeń.



Fot. 44. Opinogóra, kwiecień 1930 r.
Grupa pracowników ordynacji przed
wejściem do zamczku. Pierwszy
z prawej stoi łowczy Piotr Dziedzic.

Źródło: Kopia CTN.

Niewątpliwie, dużą pomocą służył im hr. E. Krasieński, który materialnie wspierał młodych ludzi pragnących zdobywać wiedzę. Ich najstarszy syn Janek, po uzyskaniu matury ukończył szkołę pilotażu w Dęblinie i – na skutek wydarzeń wojennych – znalazł się w Anglii. Nie wrócił do kraju i tam założył swoją rodzinę. Po wojnie odwiedzał rodziców w Opinogórze, a także gościł ich u siebie. Sabinka (lekarz stomatolog) zamieszkała z rodziną w Przasnyszu, gdzie wkrótce pokonała ją choroba serca. Osierociła dwie nieletnie córki Małgosię i Joannę.

Syn Zygmunt (inżynier, ekspert od wypadków lotniczych) zamieszkał w Łodzi, ożenił się, został ojcem, zbudował piękny dom, w którym rodzice jego spędzili ostatnie lata swego życia. Pochowani w Opinogórze. Niestety, nie w swoich trumnach, ale to już inna legenda. Może kiedyś...

Tymczasem, najmłodszy z rodziny Jerzy – chluba i ulubieniec wszystkich, skończył Podchorążówkę, a za wyniki w nauce otrzymał „Złotą Szablę” od prezydenta I. Mościckiego. Wkrótce rodziców czekała jeszcze jedna niespodzianka, kiedy młody porucznik przedstawił im swoją przyszłą żonę. Zanim doszło do ślubu, pan młody, choć uzyskał zgodę narzeczonej, aprobatę jej rodziców i swojej rodziny, musiał jeszcze otrzymać pozwolenie od władz wojskowych. Panna młoda poddana została surowemu osądowi. Poza urodą, a także pokaźnym posagiem, powinna mieć odpowiednie wykształcenie i świadectwo moralności, wówczas dopiero może zostać żoną oficera. Po załatwieniu tych wszystkich formalności, rozpoczęto przygotowywania do



Fot. 45. Piotr Dziedzic z żoną, synem Janem i jego rodziną.

Źródło: Kopia ze zbioru B. Królik.

ślubu. Wojskowe śluby, podobnie jak inne uroczystości wojskowe czy prywatne, były ważnym wydarzeniem w życiu danego środowiska oficerskiego. Nie wszystkie były huczne i bogate. Wojsko miało skromne fundusze. Status uroczystości zależał od strony materialnej rodziny. Wybierzmy się zatem do Sejn, (rodzinnego gniazda panny młodej), gdzie odbywały się uroczystości zaślubin „Opinogórczyka”.

W uroczystości udział wzięli wszyscy wolni w tym dniu od służby oficerowie. To w końcu ślub porucznika 3 Pułku Szwoleżerów! A więc pluton rębaczy, a także szwadron w szyku konnym. Przed katedrą czekał, ozdobiony kwiatami, powóz pułkowy dla młodej pary. Przed powozem pluton por. Migurskiego a za powozem pluton Dziedzicowy. Przed godz. 17.00 załśniły proporczyki zatknięte na lancach, w dłoniach dobyte szable. Zahuczał marsz weselny. Na stopniach świątyni oficerowie stworzyli szpaler z sześcioma drużbami z szaserami na czele. Osiemnaście szabel utworzyło dach nad głowami kroczących ku ołtarzowi nowożeńców. Trębacze odegrali marsz pułkowy. Po ślubie, w pełnym szyku za powozem młodych ruszyła kawalkada – do domu weselnego.

Na progu, staropolskim obyczajem czekała rodzina panny młodej witająca chlebem i solą. Padła komenda: – Prezentuj broń! Ruszono do suto zastawionych stołów. W przyjęciu weselnym wzięło udział około pięćdziesięciu osób, w tym osiemnaście nosiło mundury wojskowe. W amfiladzie pokoi i pokoików ustawione stoły, nakryte śnieżnobiałymi obrusami. A na stołach wszelakie bo-

gactwo różnorodnych przystawek i potraw. Na ogromnych półmiskach pieczone na rumiano prosięta z chrzanem i jabłkami, w misach czerwieniejące raki, galarety rybne i mięsne. Piegowate gomółki sera przyprawione ziołami, pęta kielbas, szynki jeszcze pachnących wonnym dymem. Nie obyło się też bez „pieczystego” (drobiu) pani Michaliny – indyków, kaczek, kapłonów i perliczek ze specjalnymi farszami, których była mistrzynią. W przezroczystych butlach i karafkach lśniły nalewki przywiezione także z odległej Opinogóry. Na osobnym – tak jakby honorowym – stoliku, pyszniły się w karnym ordynku jak szwoleżerowie rosłe sękacze. Każdy obowiązkowo z kopy jaj. Taki sękacz otrzymaliśmy kiedyś od pani Michaliny, zamówiony w Przasnyszu, który mogliśmy jeść od Wielkanocy do Bożego Narodzenia (nie starzał się), gdyby nie nasze łakomstwo i apetyty naszych przyjaciół.

Za domem w ogrodzie na ustawionym podium do tańca, przy pełnych także stołach i takich samych daniach, zasiedli trębacze i akordeonista. Toastom nie było końca. Zwyczajowo, pierwszy toast wzniosł pułkownik, który w sposób uroczysty, choć żartobliwy ubolewał: – Jak to się mogło stać, że tu taka krucha, wiotka osoba, jednym krótkim słowem „tak”, wypowiedzianym przy ołtarzu, odebrała ulubieńca sztabu. Wojsko traci zdolnego oficera i wspaniałego kolegę... Ależ nie traci, panie pułkowniku! – A zyskuje! – odzywa się jakiś uczestnik biesiady. No, bo gdzie pójdzie biedak, gdy mu żona zaleje sadła za skórę? – Do koszar! Gdzie znajdzie spokój i uciszenie wzburzonych nerwów? – W szwadronie. Na ujeżdżalni, w stajni, wśród kolegów. Toasty szły wokół, kielichy także. Wety i tańce. Były także i nadzieje młodych na świetlaną przyszłość. Jakże w tym wypadku złudną.

Pan młody zginął w pierwszych dniach wojny (1939 r.) pod Olszewem koło Białegostoku. Brat jego, Janek znalazł się po drugiej stronie frontu w Anglii. Brał udział w wielu bojowych lotach, w rzutach broni, a także w akcjach sabotażu na okupowanych terenach Europy. Tego dnia kiedy zginął jego brat, był za sterami samolotu wykonując swoje bojowe zadanie. Dowództwo i załoga samolotu wiedziała już o tym. On sam dowiedział się po udanym locie, tuż po wyjściu z samolotu. Nie zrezygnował z walki. Sam zestrzelony gdzieś nad Węgrami, uratowany przez miejscowych ludzi, po wojnie w tej miejscowości ufundował kapliczkę w ofierze za... cud życia. Ufundował także pomnik pod Olszewem, gdzie zginął jego brat. Dzieciom z miejscowej szkoły, które opiekowały się pomnikiem organizował na swój koszt wakacje w Anglii.

A także w ukochanej Opinogórze pozostawił pamiątkę. Na jednej z bocznych ścian świątyni postawił ołtarzyk pod obraz Matki Bożej. Z wkomponowanym na podeście emblematem swojej formacji, na którym widnieją tak bliskie i podniosłe pojęcia: – Bóg – Honor – Ojczyzna. Po prawej stronie ołtarzyka stoi ławka, która była stałym miejscem modlitewnym jego rodziców, opatrzona

mosiężną tabliczką: – M. P. Dziedzicowie. Zupełnie przypadkowy wybór miejsca, choć tak wieloznaczący.

A złota szabla naszego bohatera? Znajduje się obecnie w Anglii, będąc cenną pamiątką rodzinną, którą wdowa po oficerze wywozła za granicę. Śni zapewne złotą legendę o bohaterze, który swoje życie oddał w obronie ukochanej Ojczyzny.

Wspomnienie z wykorzystaniem relacji rodziny
i kolegi pułkowego por. R. Migurskiego.

Kartka z pamiętnika 22

Hekatomba Warszawy

 pinogóra 1 sierpnia 2017 r., siedemdziesiąta trzecia rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego. W telewizji filmy, reportaże, wywiady z nielicznymi już uczestnikami tego bohaterskiego czynu. I jak zwykle „gdybania” historyków nad sensem czy bezsensem walki, zważając na poniesione straty, tak w ludziach jak i dorobku wielowiekowej kultury. Przez lata skutecznie zabijano pamięć heroizmu ludzi, którzy – po pięciu latach zniewolenia – odważyli się przeciwstawić okupantowi. Hamletowskie „być albo nie być” stało się ich nadrzędnym celem.

Co ja sama zapamiętałam z tamtych lat? Bardzo niewiele. Kilkuletnie dziecko wśród otaczającej i kochającej rodziny, bezpieczny (pozornie) dom oddalony od Warszawy o czterdzieści kilka kilometrów, azyl podwórkowy i zabawy z rówieśnikami, także nieświadomymi wydarzeń. Na ulicy jacyś obcy ludzie ubrani w dziwne mundury, mówiący innym, niezrozumiałym językiem i których z daleka należało omijać. Wydawało mi się, że tak było zawsze i nie zwracaliśmy na nich szczególnej uwagi.

Jest wojna, mówili rodzice. My też na naszych podwórkach bawiliśmy się w „patykową wojnę”. Jedynie troska rodziców, jakieś tajemnicze ich rozmowy, uświadamiały nam czasem, że dzieje się coś niedobrego, coś przed czym chcieliby nas chronić.

O powstaniu usłyszałam pod koniec października „44” roku, kiedy to wydano ostateczny wyrok na niepokorne miasto, aby je całkowicie zniszczyć i wymazać z mapy Europy. W domu ogromne zamieszanie i niepokój. Zatraskana, choć jak zwykle pragmatyczna, babcia każe ratować „dobytek”. – Bo nas też mogą spalić – dodaje. – A jak nie zrobią tego Niemcy, to drudzy rozkradną. A Zygmunt... w powstaniu! Zygmunt to mój ukochany stryjeczny brat. Dla mnie już bardzo dorosły, choć ma zaledwie kilkanaście lat.

Posłuszna babci pakuję swój kuferek, zabierając wszystkie moje „skarby”. Ukochaną szmacianą lalkę Malwinę, zeszyt z literkami i jakąś książeczkę, ołówki i... kryształową buteleczkę po perfumach (kominiarczyka), którą do-



Fot. 46. Autorka wspomnień z rodzicami.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.

stałam od Zygmunta. Jestem gotowa. – A Ty dokąd, gdzie? – woła babcia. – Za Zygmuntem, do powstania! Trzeba go ratować – odpowiadam. Wówczas tata wyprowadza mnie na podwórko. Jest już ciemno i dość chłodno. Wokół rodzina, jakiś płacz, głośnie rozmowy, modlitwy. To uciekinierki z powstania, które zatrzymały się bliżej Warszawy, aby do niej kiedyś wrócić, choćby w gruzy. – A powstanie? – pytam Taty? – Za późno córeczko! Zobacz! Niemcy palą Warszawę – stolicę Polski! Zapamiętaj! Pamiętam, tato! Ogromna, czerwona luna na horyzoncie i jakiś nieokreślony lęk, strach, że coś złego się dzieje.

Później, już znacznie później, literatura („Rapsodia Żoliborska”, „Przemarsz przez piekło”) uzupełniła moją wiedzę o dramacie. Nie wiedziałam wówczas, że kiedyś poznam niektórych bohaterów moich lektur.

Minęły lata. Znalazłam się w Opinogórze. I tu także wojna i powstanie znalazły swój tragiczny finał. Z chwilą wybuchu II wojny światowej w 1939 r. rozpoczęło się nieustanne przemieszczanie zbiorów, ich rabowanie i wywożenie w głąb Rzeszy. W 1940 r. zginął w obozie koncentracyjnym (Dachau) hr. Edward Krasieński. Zbiorami w czasie okupacji opiekowali się Andrzej Krasieński i Karol Belina Brzozowski – uczestnik powstania warszawskiego, ps. „Tryb” – kolejno dowódca baonu w batalionie „Kiliński”, 3 kompanii Szarych Szeregów i batalionu „Junior”.



Fot. 47. Stanisław Krasiński.
Londyn, lata powojenne.

Źródło: Kopia ze zbioru B. Królik.

W październiku 1944, już po powstaniu, Niemcy podpalili zbiory złożone w podziemiach biblioteki na Okólniku. Spłonęło wówczas archiwum rodzinne i bezcenne starodruki. Oficjalny wykaz strat jakie poniosła w czasie okupacji biblioteka i muzeum Krasińskich podaje: 155 000 książek, 7 700 rękopisów, 1 700 starodruków, 4 350 jednostek kartograficznych. Część muzealiów wywieziona przez Niemców w czasie wojny, po jej zakończeniu znalazła się w Instytucie Historycznym im. gen. W. Sikorskiego w Londynie. Prawnym opiekunem zbiorów został Stanisław Krasiński jako nominalny ordynat po śmierci Edwarda Krasińskiego.

Tak więc skutki wojny i powstania odbiły się także na zbiorach muzealnych w Opinogórze. Niektóre z nich wróciły, o czym już wspominałam. To wyjątkowe miejsce wymagające ogromnego szacunku, naznaczone jakąś irracjonalną mocą i – z pewnością – ręką Opatrzności.

W pamięci utkwiła mi dość ciekawa przygoda związana z jednym eksponatem, który pokazywał swoisty dramat dzieła i jego bestialskiego niszczenia. To portret Marii z Radziwiłłów Krasińskiej pędzla Kazimierza Wojniakowskiego (1772–1812) ucznia M. Bacciarellego. Na obrazie widoczne są znaczne ubytki malatury, które w pracowni konserwatorskiej zostały jedynie zagruntowane. Dyrektor Muzeum Literatury w Warszawie Adam Mauersberger, wiedząc, że były to zniszczenia wojenne, zatrzymał proces konserwacji, aby na tym przy-

kładzie pokazywać dramat skutków wojny i niszczenia dzieł sztuki. Obraz częściowo przesłoniłmy czarną koronką, co pozwoliło nieco zamaskować ślady „poparzenia”. Tak, jakby sportretowana kobieta chciała ukryć swój osobisty dramat. Portret ten prezentowany w cyklu: „Historia jednego obrazu” wywoływał duże zainteresowanie turystów, szczególnie w kolejne rocznice powstania. Był depozytem z Muzeum Literatury i po jakimś czasie wrócił do Warszawy. Kiedy w czasie dyżuru, oprowadzając po muzeum grupę warszawskich bibliotekarzy (emerytów), nieco dłużej zatrzymałam się przy wymienionym ekspozycie, dostrzegłam w pewnej chwili jakieś zamieszanie, okrzyk i jakby tłumiony płacz. – Co się okazało? W grupie zwiedzających znalazła się była pracownica biblioteki Krasińskich z Okólnika. Rozpoznała „swój” obraz. Ratując go z płonącego gmachu, razem z nim przysypana zastała gruzem. Lekko ranna i opatrzona w punkcie sanitarnym, straciła kontakt z chronionym przez siebie dziełem na wiele, wiele lat. I to tu – w Opinogórze – nastąpiło tak zaskakujące i powtórne spotkanie. Autograf bohaterki wydarzenia znajduje się w księdze pamiątkowej muzeum. Podobnie do muzeum wróciło popiersie gen. Krasińskiego, które – uratowane z powstania – trafiło na stragan z warzywami i – drogą wymiany przez jakąś prywatną osobę – znalazło miejsce na jednym z warszawskich strychów. Dzięki informacji turysty i zlokalizowaniu miejsca, dokonano zakupu tak cennego dla zbiorów ekspozycji. Rzeźba ta zawsze zajmowała ważne miejsce w zbiorach gromadzonych przez ojca poety. Kiedy w latach 80. XIX stulecia przebudowano zamek, stanęła na cokole nad wejściem głównym. Dopiero po I wojnie światowej została z tego miejsca zdjęta, o czym powiedzieli nam pracownicy ordynacji i przewieziona na Okólnik w Warszawie. Oby nadal trwały powroty cudem ocalałych pamiątek w miejsce, które nadal żyje, tworzy swoisty klimat i legendę.

Czy mogłam wyobrazić sobie, że to tu, właśnie w Opinogórze poznam bohaterów książek czytanych w wieku kilkunastu lat? W pamięci zachowałam wspaniałe małżeństwo państwa Węglewiczów („Rapsodia Żoliborska”) – lekarzy pracujących w ciechanowskim szpitalu, czy cudem uratowanego z rzezi na Woli prof. Stefana Wesołowskiego, czy hr. Karola Belinę-Brzozowskiego siostrzeńca Edwarda Krasińskiego i wielu bohaterów tamtych lat. Kiedy zwiedzałam wyremontowane piwnice Zamku Królewskiego w Warszawie, z radością odkryłam pierwsze pamiątki powstańcze... a wśród nich kolekcję doktora Świtała, który dużo opowiadał mi o powstaniu, kiedy byłam na stażu w Aninie. A profesor Skwara? Występował często na naszych sierpniowych koncertach, śpiewając pieśni powstańcze. Ten „żywy” powstaniec z opaską, w furazerce potrafił wzruszać do...łez. Nic więc nie dzieje się przez przypadek. Zawsze musi być jakiś sens i cel. Potrzeba dużo czasu i dojrzałości, by to dostrzec i docenić. Warto czekać i mieć nadzieję.



Fot. 48. Zygmunt, brat autorki wspomnień, pierwszy z prawej.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.

A mój brat Zygmunt? Wrócił po wielu latach do rodziny, dzisiaj święci triumfy i jak sam mówi: – zamierza dożyć setnego roku życia.

Dwa lata temu za pomocą telewizji węgierskiej odnalazł swojego przyjaciela Węgra, od którego zaopatrywał się w broń, dostarczając ją z puszczy kampińskiej dla powstańców w Warszawie.

Węgier po wielu przygodach osiadł w Polsce, ożenił się i mieszka na Wybrzeżu. Tak więc przyjaciele zobaczyli się po latach. Telewizja węgierska nakręciła film o swoim rodaku, wykorzystując spotkanie dwóch „bratanków” i dalsze ich losy już w innej rzeczywistości.

Kartka z pamiętnika 23

Wiem, dokąd pójdzie moja dusza

P przed jasno oświetlonym ołtarzem, na podeście ozdobionym białą koronką, mała, zadziwiająca mała, urna z prochami ś. p. Stanisława Michała Pawła Krasińskiego – ostatniego ordynata opinogórskiego. Czy tylko tyle zostaje z człowieka? Te i inne refleksje towarzyszyły wszystkim zgromadzonym w kościele. Był to moment głębokiej zadumy nad nicością życia wobec konsekwencji śmierci. Było także w tej uroczystości mnóstwo symboli. Kim był Stanisław Krasiński, który z jakąś niepojętą zupełnie mocą zwołał w ten Dzień Zaduszny swoich bliskich, rozbitych i rozproszonych po świecie, by towarzyszyli mu w ostatniej drodze?

Urodził się w Warszawie 31 sierpnia 1914 r. jako najstarszy z ośmiorga rodzeństwa. Wychowywał się w posiadłości rodzinnej – Bojarach koło Grodna. Pierwsze nauki pobierał w Zakopanem, następnie w Szkole Oficerskiej w Grudziądzu. Interesowały go także studia prawnicze, ale wojna zniweczyła plany. Będąc zmuszony opuścić Polskę udał się przez Litwę i Szwecję do Szkocji. Pierwsze miesiące wojny spędził we Francji i w północnej Afryce. Dwukrotnie udało mu się zbiec. Po powrocie do Szkocji razem ze swoimi polskimi przyjaciółmi wstąpił w szeregi 1 Dywizji Polskich Sił Zbrojnych pod dowództwem brytyjskim. Brał udział w inwazji na Normandię, walczył pod dowództwem gen. Maczka pod Falaise i w Niemczech.

Po wojnie osiadł w Szkocji, później w Kornwalii. Nie na wiele w czasach pokojowych przydawały mu się umiejętności wojskowe, skończył więc w Szkocji kursy ogrodnicze, które pozwalały mu jakoś egzystować. W latach 50. poznał swoją drugą żonę Marię z Hilchenów. Ją także skomplikowane sprawy rodzinne i osobiste pozbawiły korzeni. Na powrót do kraju nie było szansy. Ziemia, która była ich własnością od wielu pokoleń, zmieniła właścicieli. Miłość i nadzieja na wspólne życie w gościnnej dla nich Anglii, dawała im nadzieję na przetrwanie.

Pobrali się w 1960 r., założyli nowe gniazdo, wychowali dzieci, Weronikę (z pierwszego małżeństwa pana Stanisława) i syna Piotra, w duchu patrio-

tyzmu, uczciwości i umiłowaniu dwóch ojczyzn – Anglii i Polski. Nie obyło się bez tragicznych wydarzeń. Jedyna córka pani Marii z jej pierwszego małżeństwa, zmarła w bardzo młodym wieku w Anglii. W Sussex założyli własne przedsiębiorstwo ogrodnicze „Garden Help”. W latach 70. wyjechali do Ameryki, gdzie Stanisław Krasiński pracował przy projektowaniu ogrodów u Barbary Johnson. W 1988 r. powrócili do swojego domu w Sussex. (To stamtąd, z ich ukochanego ogrodu pani Maria przywiozła do Opinogóry pęk bladoliliowych kwiatów wyhodowanych przez męża. Spoczęły wśród świec w kryptach kościoła obok niszy z jego prochami). Tam też pozostał do śmierci. Doczekał ślubu syna Piotra z Anną Molesworth — St. Aubyn, który odbył się w Anglii. Zmarł 2 listopada 1997 r. w wieku osiemdziesięciu trzech lat.

To fakty. Mówiące dużo o długim życiu bohatera walczącego na wielu frontach w obronie ojczyzny, zbyt mało o człowieku, jego zaletach czy wadach. Był niewątpliwie wielką osobowością. O tym dowiadujemy się z relacji syna Piotra, wspomnień jego żony Marii, siostry Wandy i przyjaciół. Wszyscy mówią o Nim ciepło, przyjaciele po prostu... Staś.

Kiedy w 1940 r. stał się głową rodu, było to dla niego powodem wielkiej dumy i odpowiedzialności. Radości zniewolonej tak bardzo śmiercią wielkiego poprzednika Edwarda Krasińskiego, zamordowanego w Dachau. To na nim teraz spoczął obowiązek ciągłości tradycji rodu w tak trudnym okresie. Bez ojczyzny, bez majątku, bez najbliższej rodziny. Ojciec już nie żył, rozstrzelany przez bolszewików w 1939 r., matka wraz z trzema córkami deportowana do Kazachstanu. Dwie z siostr zmarły tam właśnie. Okólnik w Warszawie rozbity, pamiątki częściowo rozproszone na skutek działań wojennych, inne wywiezione do Niemiec. Trudna spuścizna, część zbiorów odnalezionych już po wojnie w Niemczech, wywieziono do Anglii i zgodnie z życzeniem Stanisława Krasińskiego, zdeponowano w Instytucie Sikorskiego w Londynie. Pozostał więc Strażnikiem ocalałych pamiątek po przodkach. Nie zaprzepaścił spuścizny choć sam bez pieniędzy, bez majątków, których został pozbawiony, pamiętał o świętym prawie Ordynacji.

Kawaler maltański, przyjaciel bliskim, kochający ojciec, dobry mąż. Imiał się wielu zawodów, które pozwalały mu żyć i dawać gwarancje na codzienny byt. Nie tracił wrodzonego mu poczucia humoru, nawiązywał nowe przyjaźnie. Ten polski hrabia, nie raz zadziwiał konwencjonalnych Anglików, którzy widzieli go niejednokrotnie ze szpadlem w dłoniach, dogladającego osobiście plonów swojej pracy.

– Czy marzył o powrocie do Opinogóry, choćby prochem – pytam żonę zmarłego panią Marię. – Nie. nigdy. Mąż był człowiekiem bardzo skromnym. Nie przywiązywał wagi do tytułów, majątków. Pytany czasem o te złożone,

trudne do rozmowy sprawy odpowiadał – „Wiem tylko dokąd pójdzie moja dusza”. Był człowiekiem ogromnie wierzącym. Myślał zapewne o Bogu.

– Czy dobrze więc stało się, że pochowany jest w Panteonie rodzinnym tu w Opinogórze? – Myślę, że tak, gdyby wiedział, byłby bardzo szczęśliwy. My rodzina tak to czujemy i jesteśmy z tego powodu wzruszeni. Mąż bardzo kochał swoją pierwszą ojczyznę. Był niezwykle dumny, że jego syn Piotr związał się z Polską. Choć bardzo za nim tęsknił, już schorowany, szczęśliwy był z wyboru jedynaka. Taki był ten polski hrabia na obczyźnie. Pracowitością, zmaganiem się z niełatwym losem, w różnych okolicznościach dowodził swoją postawą o silnym charakterze i wielkim, złotym sercu Polaka.

„W pełni zasłużył na splendor, jaki my żywi dziś w tych podziemiach mu oddajemy” – zakończył uroczystości żałobne ks. proboszcz.

Pomału gasną świece w podziemiach kościoła. W ciszy, zadumie, wszyscy wychodzą z Panteonu rodowego, odchodzą do żywych, rozplywają się niemalże w wieczornej mgle, tak jak wspomnienia utraconego czasu, wielkości historii. Póki w sercach zostanie po nich pamięć, póty żyć będą.

Pogrzeb ś.p. Stanisława Krasińskiego odbył się w Opinogórze w dniu 2 listopada 1998 r. w miejscowym kościele parafialnym. Uroczystość zgromadziła niemalże całą rodzinę zmarłego, zamieszkałą w Polsce bądź za granicą. Najliczniejszą grupę kuzynów prezentowali Krasińscy, Czartoryscy, Potoccy, Brzozowscy, Radziwiłłowie i Sobańscy. Prochy ś. p. Stanisława Krasińskiego do Polski przywiózł jego syn Piotr. Urna spoczęła w kryptach kościoła obok prochów przodków z linii radziejowskiej.

Kartka z pamiętnika 24

Ostatni lot

W sierpniu minęła druga rocznica śmierci pana Jana Dziedzica. Urodził się 20 czerwca 1918 r. w Opinogórze. Tu też ukończył Szkołę Podstawową. W 1938 r. po maturze wyjechał do Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie. Nieco później odbył kurs rekrucki piechoty w Grodnie. Wybuchła wojna. W styczniu 1939 r. skierowany został na jeszcze jeden kurs do Dęblina, który odbył w przyspieszonym tempie. Wcielony do wojska, już 21 września, po przekroczeniu granicy polsko-węgierskiej, zostaje internowany. Ucieka przez Jugosławię i Grecję do Francji a stamtąd przedostaje się do Anglii, gdzie kończy angielską Szkołę Pilotów i zostaje awansowany do stopnia podporucznika. W Anglii poznaje swoją przyszłą żonę, Helenę z Paszkowskich, którą losy wojenne związały z polskim wojskiem. W 1943 r. skierowany zostaje do 305 Dywizjonu Bombowego im. J. Piłsudskiego. Po wykonaniu 14 lotów bojowych przeniesiony został do 138 Dywizjonu do tzw. zadań specjalnych. Lata do Polski i innych krajów Europy zrzucając broń i ludzi dla armii podziemia.

Odbył 41 lotów bojowych na 20. typach samolotów. Latał do Polski, Francji, Albanii, Czechosłowacji, Włoch i Jugosławii (zaliczył 2096 wylatanych godzin). Został także instruktorem, szkoląc pilotów ciężkich samolotów bojowych. Po wojnie wstąpił do RAF, służąc w nim do 1969 r. Wraz z żoną zamieszkał w hr. Essex. W 1988 r. przeszedł na emeryturę i rozpoczął działalność społeczną.

Był opiekunem grobów i pomników pamięci narodowej. Za własne pieniądze ufundował pod Olszewem (woj. białostockie) pomnik bohaterom września. Tam w 1939 r. zginął jego brat Jerzy. Dzieciom z Olszewa, które opiekowały się pomnikiem, finansował wakacje w Anglii. W innej już, węgierskiej wsi postawił kapliczkę z wdzięczności za ocalenie w czasie jednego z niefortunnych lotów

Nie pozostał także obojętny dla rodzinnej miejscowości. Był fundatorem bocznego ołtarzyka w kościele opinogórskim. Miał także swoje prywatne hobby: pszczelarstwo i ogrodnictwo. Odznaczenia: Virtuti Militari, Krzyż Armii Krajowej, Potrójny Krzyż Walecznych, Medal Lotniczy, Medal „Za udział



Fot. 49. Jan Dziedzic.

Źródło: Ze zbioru autorki.

w wojnie obronnej 1939”, Złoty Krzyż Zasługi, angielskie medale za wojnę 1939–1945.

Pana Janka poznaliśmy z mężem w latach 60., w opinogórskim domu jego rodziców Piotra i Michaliny Dziedziców. Ona – absolwentka Chyliczek, rodem z Piaseczna. Jej mąż Piotr, łowczy ostatniego ordynata Edwarda Krasińskiego. Obydwoje mieszkali w uroczym domku (postawionym dla nich przez hrabiego) nieopodal Czernic. Kolorowe szybki na werandzie, ganek obrośnięty bluszczem, przed domem ławeczka zapraszająca do odpoczynku.. Mnóstwo różnorodnych kwiatów, drzew owocowych, leszczyny w sezonie pełnej orzechów. Pomiędzy drzewami stały kolorowe ule. Nasze utrapienie w sezonie rojenia. Domek usytuowany nieco na górcie, składał się z dwóch pokoi, dużej kuchni, sieni i przestronnej werandy, w której to znajdowały się „skarby” p. Michaliny. Słoje, słoiki, garnki pełne konfitur i innych smakołyków.

Palono w piecach kaflowych, nie było tam jeszcze światła. Używano naftowych lamp. Szczególnie wieczorem, latem przy otwartych oknach, płonącej lampie, chętnie słuchaliśmy myśliwskich opowieści pana Piotra i nie mniej ciekawych i barwnych wspomnień jego żony Michaliny. Wspomnienia nabierały szczególnej mocy, kiedy do rodziców przyjeżdżał pan Janek ze swoją żoną Heleną i dziećmi.

Opowiadał jak to było na wojnie i później w jego nowej ojczyźnie. A nie było to łatwe. Nie mieli gdzie mieszkać. Długo przyszło im szukać jakiegoś schronienia. Pieszko z małą Zosią przeszli całą dzielnicę Londynu (wielkości Ciechanowa) i wszędzie otrzymywali tę samą odpowiedź. – Jeżeli z psem tak, z dzieckiem, nie? No cóż, trzeba było inaczej sobie radzić. Na kawałku ziemi, przy lotnisku w Stansted zbudowali szałas. Zaczęli hodować świnię. Wkrótce rozpoczęli też budowę domu. Nie było wielkiej życzliwości dla polskich

Robinsonów. Sami musieli troszczyć się o wszystko. Mieli tylko siebie, swoją miłość i marną nadzieję na powrót do kraju. Polska wyrzekła się swoich bohaterów, walczących wprawdzie z tym samym wrogiem, ale po drugiej stronie kanału. Z samej pracy nie starczało pieniędzy.

Rodzina zaczęła się powiększać i trzeba było szukać dodatkowych źródeł zarobku. Zaczęli hodować pieczarki. Nocami żmudne zbieranie, skoro świt sortowanie, na te najmniejsze, średnie i większe. Rano trzeba było je porozwozić do różnych miejsc (restauracji) w Londynie. Powrót do domu i zasypianie prawie nad kierownicą. I tak w kółko.

Później praca w Gibraltarze, Arabia Saudyjska, coraz dalej od najbliższych. Zarobki większe. To nie tylko dla swoich w Anglii. Trzeba także pomóc rodzinie w Polsce. Zaczęły przychodzić sukcesy i wreszcie tak długo oczekiwane przyjazdy do Polski. Już bez lęku i obaw.

W swoim angielskim domu przyjmowali wszystkich. Nie tylko z rodziny, ale także przyjaciół i znajomych. To był prawdziwie polski dom z całą, tak dla obcych niezrozumiałą, tradycją świętej gościnności. I taki pozostał.

Kiedy zmarli rodzice, pan Janek nie zaprzestał swoich przyjazdów do Opinogóry. To miejsce szczególnie było mu bliskie. Nigdy jednak nie mógł pozwolić sobie na dłuższy pobyt w rodzinnej wsi, bowiem inne obowiązki rodzinne i towarzyskie zmuszały go do wędrówek po całej Polsce. Wszędzie witany radośnie, zatrzymywany, zawsze uśmiechnięty, przyjacielski. Nie okazywał zniechęcenia, czy zmęczenia. A zdrowie pomału wysiadało. Tak było i tym ostatnim razem, kiedy przyjechał na trzy dni do Opinogóry, aby wziąć udział w uroczystościach związanych z otwarciem nowej szkoły, jako honorowy członek Komitetu Budowy. Wbrew zaleceniom żony, która jedna może miała słuszne prawo do złych przeczuć. Taki to już był pan Janek. Nigdy nikomu nie odmówił swojej obecności, przyjaźni czy pomocy.

Tej pięknej niedzieli 29 sierpnia czuł się znakomicie i nic nie zapowiadało rychłej tragedii. Cały prawie dzień spędzony na świeżym powietrzu, rozmowy przeplatane wspomnieniami z okresu wojny, dowcipy, nieukrywana czułość i troska o najbliższych. Był szczęśliwy, choć nie zawsze było mu łatwo. Osiągnął sukces. Zbudował dom, wychował trójkę dzieci i doczekał wnuków. Razem ze swoją żoną Heleną, rozpoczynali wszystko od zera. Swoją posiadłość nazwali „Ostrą Bramą”, ze względu na rodzinne sentymenty pani Heleny związanej z Wileńszczyzną.

Trudno dziś odtworzyć wszystkie słowa, urywane myśli, nikt z nas wówczas nie przypuszczał, że będzie to ostatnia rozmowa. Zmarł tego samego dnia, w nocy. W domu swojej ukochanej siostrzenicy Joasi. Zgodnie z wolą żony pochowany został w Anglii. Pożegnany przez księdza i najbliższych przyjaciół, odleciał 1 września specjalnym samolotem do rodziny, do swojej drugiej Ojczyzny. To był jego ostatni lot.

Kartka z pamiętnika 25

O dwóch niedźwiadkach

Listopad 2017. Żółkną liście, przekwitają kwiaty w ogródkach. Robi się coraz chłodniej. Narastająca nostalgia uświadamia nam, jak bardzo związani jesteśmy z naturą i porami roku. Padające deszcze i brak słońca powodują jesienną depresję i pogłębiające poczucie osamotnienia. Zaduszkowe procesje różańcowe, zamyślenia nad grobami bliskich, uświadamiają nam – a właściwie potwierdzają tezę – o odwiecznym procesie przemijania i kruchości naszego życia. Jesteśmy częstką natury i – tak, czy owak – reagujemy zgodnie z jej cyklem.

Aby nieco zmienić nastrój, pragnę dzisiaj opowiedzieć dwie historyjki, które wydarzyły się wiele, wiele lat temu. Trochę zabawne (to dla dzieci), trochę smutne, ot, jak to bywa w życiu. Moimi bohaterami będą dwaj przedstawiciele... niedźwiedziego rodu. Czy będą miały jakiś związek z Opinogórą? Tak, bo właśnie tu opowiedziano mi te dwie legendy.

Otóż – na cmentarzu opinogórskim znajduje się grób Jana Kazimierza Trockiego (1820–1902), masztalerza związanego przez ponad pięćdziesiąt lat pracą w majątku Krasińskich. On to, jak głosi napis na nagrobku: „na rok przed śmiercią jeszcze sam pragnął konia w lejcach trzymać”. I tak, w latach 70. poznaliśmy krewnych masztalerza, którzy przybyli do Opinogóry, aby odwiedzić grób swojego przodka. Spędziliśmy z nimi cały dzień, pilnie słuchając ich ciekawych opowieści, wspieranych fragmentami z pamiętnika pani Ireny Trockiej. Były tam wspomnienia rodzinne poświęcone ówczesnym wydarzeniom, historyjki obyczajowe, takie jak: przyrządzanie konfitur, metody leczenia, plotki ploteczki i zabawne perypetie, chociażby ta związana z... niedźwiadkiem.

Działo to się w XIX w. na Wileńszczyźnie. Dziadek autorki pamiętnika był rządcą w jednym z majątków księcia Witgensteina i od niego, po którymś z polowań, otrzymał ten dość kłopotliwy „prezent”. Zabito samicę a ocalałe dwa niedźwiadki oddano osobom, które postanowiły się nimi zająć. Miś bardzo szybko zaakceptował swego opiekuna, szczególnie dwóch jego synów. Pił mleko przez

smoczek, spał w koszyku w pokoju swoich opiekunów, a właściwie częściej w ich łózkach. Doskonale się rozwijał, był tak pocieszny i miły, że choć czynił niejednokrotnie jakieś „niedźwiedzie” szkody, nikt się na niego nie gniewał.

Pewnego dnia „gruchnęło” w majątku, że w przydrożnej lipie straszy! Potwierdził to nawet stary furman Jakub – miejscowy autorytet. Działo się to w okresie sianokosów, kiedy załadowany sianem wóz zbliżał się do lipy. Konie zatrzymywały się, strzygły uszami, zapierały się nogami w ziemię i trzeba było uzdami przeprowadzać je przez niebezpieczny teren. Rządca postanowił zbadać sprawę i zlecił jej wykonanie synom. Chłopcy, sami wystraszeni, ukryli się parę kroków od lipy, obserwując drogę. Konie z wozem idą spokojnie i równo, ale tuż pod lipą zaczynają się niepokoić. Uspokajają się, kiedy chłopcy dosiadają ich i prowadzą do stodoły. Bracia pobaraszkowali w sianie, trochę się zdrzemnęli, bo upał był ogromny i nagle jeden z nich poczuł, że go coś obłapia za nogę. Przeraził się, siada i widzi, że z siana wyłaniają się łapki misia i obejmują nogi swojego opiekuna. Misio był w doskonałym humorze i cały zanieczyszczony sianem.

Nazajutrz postanowili go śledzić. Miś, gdy tylko zobaczył pusty wóz jadący po siano, szedł w dużej odległości za nim, wlaził na rozłożystą lipę i cicho tam czekał. Kiedy wysoko naładowany sianem wóz zbliżył się do lipy, spadał w siano zagrzebując się w nim głęboko. Powtarzał tę zabawę aż do zdemaskowania. Zaczęto więc zamykać go w sadzie i starano się go czymś zająć, aby nie czynił szkody, co zdarzało się dość często. Dawano mu butelkę z patykiem obsmarowanym miodem. Misio polubił bardzo przysmak i gorliwie się nim zajmował. Do czasu. Później zaczął uciekać i robił się coraz bardziej niebezpieczny, nieświadom swojej siły. Wzięto go więc na łańcuch i przywiązano do studni, gdzie nauczono go kręcić korbą przy studziennym wale. Nie zaakceptował tej zabawy. Był bardzo nieszczęśliwy, płakał sromotnie. I choć zawsze otrzymywał w nagrodę coś słodkiego, nie czuł się wolny. Nauczono go też nosić wiadra z wodą. Pomagał nawet kobietom przy praniu. Kiedyś boleśnie się poparzył i nie kwapił się już z pomocą. Wreszcie dorósł, poczuł zew krwi i odszedł do swoich, do lasu. Podobno wracał, ale po jakimś czasie słuch o nim zaginął. I tak zakończyły się przygody czarującego łobuziaka.

A drugi mój bohater? To legendarny szeregowiec Wojtek – „wesoly niedźwiadek”. Kupili go w 1942 r. od perskiego chłopca polscy żołnierze 22 kompanii zaopatrzenia artylerii z armii Andersa. Dali za niego: konserwę wołową, tabliczkę czekolady, garść monet i szwajcarski nóż. Karmili go owocami, skondensowanym mlekiem z butelki (po wódce) ze smoczkiem. I tak pomału z maskotki stawał się ich towarzyszem wojennej wędrówki. Przemierzyli z nim kawał drogi, przez Iran, Irak, Syrię, Palestynę, Egipt, – aż do Włoch. Wojtek znakomicie czuł się wśród żołnierzy. Bawił się z nimi, boksował, a za każdy

przysmak pięknie dziękował skinieniem głowy, szczególnie poczęstowany piwem lub papierosem. Wśród wojskowej braci zdobył sobie tytuł najpopularniejszego żołnierza.

W 1944 dotarli pod Monte Cassino, gdzie toczyły się walki o zdobycie klasztoru okupowanego przez Niemców. („Czy widzisz te gruzy na szczycie?”). Twierdza zdaje się nie do zdobycia. Bardzo silny ostrzał z niemieckich pozycji utrudniał aliantom zdobycie wzgórza i otwarcia drogi na Rzym. Trzy podejścia kończą się klęską i ogromnymi stratami w ludziach. Do ostatecznego szturmu w tej najtrudniejszej akcji wybrano Polaków (Czy to druga Somosierra?). „I poszli szaleni, zażarci. – I poszli zabijać i mścić!”. A wśród nich uwijał się nasz czworonożny brunatny przyjaciel, dźwigając ciężkie skrzynie z amunicją z samochodów, szczerząc w uśmiechu zęby do swoich towarzyszy. W pełni zasłużył na ich uznanie. Był jednym z nich. Otrzymał stopień kaprała i swój numer ewidencyjny żołnierza 22 kampanii zaopatrzeniowej Armii Andersa. Na wszystkich samochodach formacji widniały symbole (logo) z wizerunkiem niedźwiedzia z pociskiem w łapach, także na proporczykach i odznakach żołnierzy. Wczesnym rankiem 18 maja 1944 r. Polacy zdobywają twierdzę, niszcząc niemieckie pozycje.

Po wojnie przeniesiono korpus do Szkocji, a razem z nim kaprała Wojtkę. I tu zaczęły się trudne czasy dla naszego bohatera. Żołnierze polscy rozjeżdżają się w różne strony świata, zakładają rodziny. Aż w końcu 15 listopada 1947 r. nastąpiło rozstanie z ulubieńcem i towarzyszem broni. Wojtkę umieszczono w ogrodzie zoologicznym w Edynburgu. Nie mógł się tam zaadaptować. Tęsknił za swoimi żołnierzami. Odrzucony przez swoich współplemieńców, czuł się coraz bardziej samotny. Postanowiono go więc odizolować i umieszczono w klatce o powierzchni 10 m². Na nic zdały się pertraktacje (1959 r.) strony polskiej o odesłanie „kombatanta” do kraju. Władze angielskie wyraziły sprzeciw, nie kierując się w tym wypadku odrobiną empatii i całkowitym niezrozumieniem przywiązania Polaków do pewnych symboli, być może i pewnego sentymentalizmu. Szkoda. W Oliwie szykowano mu już duży, piękny teren w miejscowym ogrodzie zoologicznym, który miał stać się dla emigranta spokojnym domem. Kto wie, czy w sprawę Wojtkę nie była zaangażowana pani Elżbieta Krasieńska-Rudnicka, która była honorowym prezesem w Towarzystwie Opieki nad Zwierzętami? Wszystkie sygnały szły do Anglii z Poznania, gdzie wówczas mieszkała. Wojtek odszedł w 1963 r. Żył 22 lata, w tym 12 lat przebywał w klatce.

A na cmentarzu pod Monte Cassino bieleją krzyże nad grobami poległych i czerwienią maki pokrywające wzgórza – „bo z polskiej wzrosły krwi”.

Na podstawie różnych źródeł, w tym wywiadu żołnierza armii W. Andersa pana Antoniego Długoleckiego z Opinogóry.

Kartka z pamiętnika 26

Świetliki nad Pajewem

Nie tak dawno, w pierwszych dniach marca tego (2018) roku, obejrzałam całkiem zgrabny reportaż poświęcony Opinogórze. O programie zawiadomiła mnie moja koleżanka z Olsztyna (dawna mieszkanka Ciechanowa) Zosia Wernerowa. Z rodziną jej łączyła mnie ogromna przyjaźń od bardzo wielu lat – i tak to już zostało. Włączam więc telewizor i oto ona – Opinogóra! Malownicza i piękna w jesiennej aurze, bogatej w mieszaninę kolorów i różnobarwnych liści spadających z drzew. Kusi i mami: ławeczką Zygmuntową, kamiennymi mebelkami, lustrem wody w stawach, alejkami prowadzącymi do kościoła i – zamczku. *Zakochać się w Opinogórze* – tak brzmi tytuł reportażu. Przecież ja również stałam się ofiarą tego uczucia – na dobre i złe. Ilekroć ogarnia mnie smutek, nostalgia, przenoszę się w przeszłość i wspomnienia. Są one częścią człowieka i trudno je wyrzucić z serca, czyjekolwiek by nie były. Pora więc na nie.

Pracując w bibliotece, często spotykałam bardzo wielu ciekawych ludzi. Wówczas to postanowiłam spisywać interesujące wydarzenia z ich życia – coś w rodzaju wywiadów. Weszło to niejako w zakres moich obowiązków. Fascynowały mnie historie przekazywane „z pierwszej ręki”, może nieco fabularyzowane – ale jakże ciekawe, tajemnicze, nierzadko tragiczne. Losy wielu z tych ludzi spletały się nieustannie z dramatem wojny, tułaczki, szukaniem bezpieczeństwa w chwilach zagrożenia. Oto jedna z takich historii.

Mój rozmówca, pan Tadeusz Kuczyński urodził się w 1921 r. w Łękach nieopodal Pałuk. Jego rodzice – Antoni i Antonina Kuczyńscy, od pokoleń związani byli z tą wsią. Ich także nie ominęły zawieruchy wojenne. Ucieczka przed frontem w czasie I wojny światowej zagoniła ich aż pod Smoleńsk. Przejechali przez dziewięć guberni. Tułaczka trwała osiem tygodni i... powrót w zrujnowane progi domu, który w pośpiechu opuścili. Po powrocie, ojciec pana Tadeusza podejmował się różnych zajęć, aby wyżywić rodzinę. A czasy nie były łatwe. Wszędzie bieda i zarobki marne. Kiedy znalazł zatrudnienie

przy budowie dworu w Łękach, mogli już jakoś egzystować. A rodzina była liczna. Pracowali wszyscy.

Po parcelacji, która nastąpiła w latach 1927–1928, ziemię kupił Niemiec Libert, który z zawodu był inżynierem chemikiem, mającym w Rosji fabrykę porcelany. On też, zmuszony do ucieczki, szukał azylu w innym miejscu. Dwór, jak na owe czasy był nowoczesny, miał już centralne ogrzewanie i wszelakie udogodnienia. Przypominał bardziej pałacyk. Dzisiaj już całkowicie zrujnowany. W majątku właściciel zatrudniał ośmiu fernali, dwóch dzierżawców i służbę domową. W sumie pracę otrzymało 14 rodzin.

Łęki były wydzielone z majątku Krasińskich. Według informacji pana Tadeusza, gospodarstwo liczyło około 200 hektarów ziemi, w tym około 50 hektarów lasu. Kiedy Liberta okradziono, sprzedał za grosze majątek handlarzowi Rybarkiewiczowi, ten następnie Niemcowi Matowi. Po śmierci Mata, z wdową po nim ożenił się Węgliński, następny właściciel Łęk. Padały jeszcze takie nazwiska jak: Petryc, Pilutowski i Kalinowski. Pan Tadeusz niewiele o nich wiedział. II wojnę światową przeżył w Łękach i Pajewie, gdzie jego dziadkowie mieli sześć hektarowe gospodarstwo. W roku 1939 w Modlinie zginął jego brat, pozostawiając jedyne go syna i żonę. Po wojnie ożenił się z wdową po nim i to stało się powodem, aby zamieszkać z dziadkami w Pajewie. Często bywał w Opinogórze, widywał hrabiego Edwarda Krasińskiego, ale nie miał z nim żadnego kontaktu. – Co mu było do takiego młodzika, jak ja? – dodawał. – To był hrabia i z wyglądu i stylu bycia. Nie kumał się z Niemcami i zginął w jakimś niemieckim obozie.

– Wojna, to domena mężczyzn – mówię. Porozmawiajmy o innych sprawach. I wreszcie zadaję pytanie, które nurtowało mnie od samego początku naszej rozmowy. – Czy to prawda, że w Pajewie straszło, że nad polami, nocą pokazywały się jakieś tajemnicze ogniki? – Czy słysząc było jakieś głosy? – Co o tym mówili dziadkowie? – A jakże, wspominali. Sam tego doświadczyłem – opowiadał pan Tadeusz. Nasze gospodarstwo położone było na miejscu prehistorycznego cmentarzyska. Potwierdziły to badania archeologiczne. Taką informację sam uzyskałem od Niemców w czasie okupacji, kiedy przyjechali z mapami rozpatrując, czyja to ziemia i jak dawno rodzina jest w jej posiadaniu. Łamaną polszczyzną powiedzieli: – po waszemu to cmentarz, a po naszymu żal (żalnik) – tyle z tego zrozumiałem, ale o mojej przygodzie nie wspomniałem.

Kiedyś, orząc w polu natrafił na gliniane naczynie z resztkami kości, ukryte pod kamienną płytą. Płytę zabrał do domu, wykorzystując ją jako próg a urnę zakopał w ziemi. W związku z tym (jak wspomniał) spotkała go dziwna przygoda, a może i kara. Którejś nocy przebywając w sąsiedku⁵ usłyszał dość wyraźny

⁵ Sąsiek – część stodoły, gdzie składa się zboże, siano, słomę...

placz i jakieś odgłosy. Wyszedł na zewnątrz, zobaczyć co się dzieje. Płacz oddalał się coraz bardziej, doszedł aż do granicy sąsiada. Nie miał odwagi iść dalej, wrócił do domu. Identyczną przygodę przeżył jego brat i rodzina. Powtarzało się to wielokrotnie, aż zawiadomiono o tym miejscowego księdza. W wiadomej intencji odprawiona została msza, kapłan poświęcił dom i... nic już więcej nie zakłócało spokoju. Za to na polach i okolicznych łąkach torfowych ukazywały się jakieś tajemnicze światelka. Starzy ludzie przywykli już od lat do tego zjawiska, powiadali, że to pokutujące dusze nieuczciwych geometrów. – Czy zdarzały się jeszcze jakieś dziwne historie? Pytam. – Tak. Trudno mi to nawet dzisiaj zrozumieć – mówi pan Tadeusz i rozpoczyna kolejną opowieść.

Na skraju wsi mieszkał z żoną owczarz – Tałajczyk mu było. Dziwny to był człowiek. Ludzie od niego stronili i on sam od nich. Pomagał przy leczeniu zwierząt, czasem w potrzebie i ludziom. Bano się go, aby nie rzucił jakiegoś uroku i najczęściej schodzono mu z drogi. Pewnego razu, młody chłopak Józek Walczewski, być może z żartów, czy głupoty – ukradł Tałajczykowi pług. Rodzina nie wstyd było się do tego przyznać, choć owczarz często nawiedzał gospodarstwo młodocianego przestępcy. Mimo próśb i gróźb – nie przyznał się do popełnionego czynu. Rozgniewany Tałajczyk rzucił na niego kłutwę! – To, coś mi uczynił, oby ci ręka uschła! Po tygodniu sprawca wydarzenia zauważył, że ręka zaczęła go boleć i puchnąć. Obawiając się sąsiadów i ich opinii Walczewski w tajemnicy udał się po poradę do Makowa, do miejscowego wróża mieszkającego na górcie przy kościele. Wrócił zbolący i skruszony, gdyż pustelnik kazał mu naprawić wyrządzoną krzywdę i poprosić o wybaczenie. Tak też uczynił. Oddał właścicielowi pług, otrzymał od niego jakąś maść i wkrótce ręka zaczęła się goić. W czasie II wojny światowej Walczewski zginął, zamordowany przez Niemców.

Pan Tadeusz, zaintrygowany całą tą dziwną i tajemniczą sprawą, prosił Tałajczyka, aby zdradził mu sekret, lecz ten odrzekł: – Tyś Tadeusz za bystry, mógłbyś jeszcze ludziom jakąś krzywdę uczynić. To jest dar, który ciąży człowiekowi – i trzeba się nim umiejętnie posługiwać! Tałajczyk pochodził z Częstochowy. Zmarł po wojnie.

Wyzwolenie zastało pana Tadeusza w Pajewie. Zginął tu w 1945 r. rosyjski tankista. Znalezione przy nim list do matki. Z rozkazu sierżanta pan Tadeusz pochował go pod figurką w Obiedzinie. Brał także udział w ekshumacji, kiedy po ciału jedynaka przyjechała z Rosji jego matka. Od 1968 r. zamieszkał w Zyguntowie, doczekał ukochanych wnuków, którym zapewne opowiadał dzieje swojej rodziny. Zmarł w Opinogórze w 1996 r. pochowany na miejscowym cmentarzu.

Kartka z pamiętnika 27

Patrzeć sercem...

Ociemność – to tylko brak światła. Gdzieś to zasłyszałam. Być może w dzieciństwie, kiedy bałam się przekroczyć próg nieoświetlonego wnętrza, być może później. Bardzo trudno wyobrazić sobie życie w ciągłym mroku. A jednak wśród nas są tacy ludzie. Widujemy ich czasem na ulicy z białymi laseczkami, niekiedy towarzyszą im prowadzone na smyczy specjalnie wyszkolone psy – ich przewodnicy. Schronieniem są także miejsca, które stają się nie tylko azylem bezpieczeństwa i spokoju, ale szkołą życia. To Laski – miejscowość nieopodal Warszawy, na skraju Puszczy Kampinoskiej. Teren piaszczysty, wydmy, położony w dawnym korycie Wisły. Tu Róża Czacka (1876–1961) – matka Elżbieta, założycielka Zgromadzenia Zakonnego Franciszkanek (służebnic Krzyża) założyła „Zakład dla Niewidomych”. Sama straciła wzrok w wieku 22 lat.

W 1921 r. rozpoczęto budowę placówki szkolno-wychowawczej. Posypały się dotacje z całej Polski i zagranicy. Pomagały nie tylko władze kościelne, ale i osoby cywilne. Do pomocy matce Elżbiecie zgłosił się młody człowiek – Antoni Marylski, który przez dziesiątki lat stał się fundamentem Lasek, okiem i prawą ręką założycielki, a także ks. Władysław Korniłowicz (beatyfikowany w 1978 r.) i wielu ludzi dobrej woli. Róża Czacka była także założycielką (w 1911 r.) Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi, które stało się prawnym właścicielem Zakładu w okresie kilkunastu pierwszych lat. Już w 1936 r. sprecyzowała ideał wychowania: „Włączamy niewidomego w całokształt spraw ludzkich – chcemy wychować go na człowieka pracującego i odpowiedzialnego”. I tak się stało! Nie sposób w krótkim tekście wymienić całego dorobku tej instytucji.

Lata II wojny światowej w 70 proc. zniszczyły Zakład. Pomimo tego prowadzono tu działalność konspiracyjną, ratując życie ludzi, dając im schronienie i szansę na przeżycie. Ze szkoły w Laskach wyszli znakomici dziennikarze, nauczyciele, lekarze, terapeuci, technicy – ludzie wielorakich zawodów, starannie przygotowani do pełnienia obowiązków i życia poza Laskami. Dzisiaj rozkwita jej działalność i jak dawniej szuka się tu ratunku nie tylko dla ciała,



Fot. 50. Róża Czacka –
matka Elżbieta.

Źródło: Wikipedia.

ale i duszy. Nie towarzyszą jej wrzaskliwe reklamy. Czynienie dobra samo w sobie jest wielkim darem, a efekty konsekwentnej pracy – często anonimowej i bezinteresownej – wydają o sobie świadectwo. Miłym gościem w Laskach był śp. kardynał Stefan Wyszyński, który swoim autorytetem niewątpliwie przyczynił się do rozkwitu i trwania Zakładu.

Laski sama poznałam... w Opinogórze. Było to 14 czerwca 1979 r., kiedy rozpoczynałam pracę w muzeum i miałam dyżur w zameczku. Towarzyszyła mi pani Gienia Bonisławska (dziś już nieżyjąca) – pracownik pomocniczy, która dzielnie mi pomagała. Tego dnia było dość ciężko. Trochę hałaśliwych grup, także indywidualnych turystów, którym trzeba było poświęcić więcej uwagi. Sama jeszcze uczyłam się Krasińskiego i ogromnie bałam się... turystów.

– Może na dzisiaj już dosyć! – chrypię do pani Gieni. – Zbliża się godzina zamknięcia muzeum. – Ale, ale, ktoś tu jeszcze biegnie, to jakiś ksiądz – mówi pani Gienia. – Sam? – Tak! Ksiądz, uśmiechnięty, nieco zdyszany pyta o kustosza. Mina wyraźnie mu rzędzie, kiedy dowiaduje się, że gospodarza nie ma. Mnie także, gdy chwilę później zapowiada grupę ociemniałych dzieci z Lasek. Nigdy takiej jeszcze nie oprowadzałam – nie dam rady. – A może tak ksiądz... sam oprowadzi? – Poradzi sobie pani, one mają ogromne wycucie perspektywy, wysokości, szerokości, itd., itp. – Ale, ja nie mam... Grupa już w progu zameczku. Zapomniałam, ile powierzchni ma cały obiekt, ile każde pomieszczenie – nie mówiąc o wysokości. Staram się zachować zimną krew. W duchu wymyślam wszystkim Krasińskim i mężowi, który wrobił mnie w ten interes. Strach paraliżuje mi nie tylko język, ale i ... nogi. Wyjście właściwie mam, przecież jest już po czasie. Ale ulec strachowi? – niehonorowo.

Wprowadzam grupę do pierwszego salonu, gdzie znajdują się portrety Krasieńskich. Wzrok można zatrzymać jedynie na obrazach. Jak oddać ich koloryt, piękno. Sztukaterie wysoko, żyrandole także. Zaczynam więc od historii rodziny z jej bohaterem – poetą. Staram się unikać stereotypowych słów, w rodzaju: – Obejrzyjcie, zobaczcie, porównajcie. Opowiadam o dzieciństwie poety przerwany śmiercią matki, o despotyzmie ojca, o żonie, o Delfinie. W grupie trochę starszej młodzieży – wspominam o ławeczce. To zawsze wdzięczny i chwytliwy temat. Mówiąc o meblach, drobiazgach, pozwalam dotykać wszystkiego, co znajduje się w ich zasięgu. Zatrzymuję się w czerwonym salonie przy gobelinie. Tu jak zwykle w podobnych chwilach pomaga mi moja ukochana Opinogóra z jej ciekawą przeszłością. Już się nie boję, pozwalam go głaskać, dotykać. Zawsze interesowały mnie historie toczące się „wokół” eksponatów, coś, czego nie ma w przewodnikach. Nagle przedmiot ożywa, przez co staje się ciekawszy i bliższy nie tylko dla osób ociemniałych. To tak, jakby on sam tworzył własną historię czy legendę rodziny, w której przebywał. Prezentowany w muzeum gobelin pochodzi z XIX w. Był własnością hrabiów Korwin-Milewskich pieczętujących się tym samym herbem, co Krasieńscy. Takich gobelinów wyprodukowano w Aubusson (1888 r.) dwanaście. Przodek rodziny hr. Ignacy Korwin-Milewski był znanym kolekcjonerem, a przy tym wielkim oryginałem. Od arcyksięcia Karola Habsburga z Żywca zakupił wyspę Santa Catarina na Adriatyku i luksusowym jachtem „Litwa” pływał po morzach i oceanach.

Młodzież interesuje się wszystkim. Nie jest to już sztywny monolog, lecz ożywiona wymiana zdań i myśli. Oglądają po swojemu, porównują rzeźbę gen. Wincentego Krasieńskiego (ojca poety) i Ludwika Krasieńskiego (drugiego męża Elizy). Gdy pytam, który z panów bardziej im się podoba? – odpowiedź brzmi: – Generał Wincenty! Młody z lokami a Ludwik stary i łysy. Śmiechu, co nie-miara. Nie spada nawet wskazówka z neogotyckiego zegara, która przysparzała nam wielu kłopotów przy odkurzaniu. Jestem odprężona i szczęśliwa, że to ja pokonałam lęk przed ciemnością. Płaczę, kiedy młodzież mnie ogląda i śpiewa „Czarną Madonnę” – mało jeszcze znaną pielgrzymkową pieśń.

Za dwa lata spotkam się z nimi na dwutygodniowym kursie w Laskach. Poznam tam dokładnie cały warsztat zorganizowanej pracy. Laski wywarły na mnie ogromne i niezapomniane wrażenie. To też dzięki Opinogórze. Z pewnością oduczyły mnie lęku w kontaktach z ludźmi pozbawionymi tego, co nazywamy widzeniem, a nauczyły ogromnego szacunku i podziwu dla ich specyficznej głębi właściwego dostrzegania.

Kartka z pamiętnika 28

Przy kawiarnianych stolikach...

... *R*ozkwieca serca, budzi koncepta, zapala wyobraźnię. Tak o kawie mówili nasi przodkowie, kiedy pojawiła się na polskich stołach w połowie XIX stulecia. Podawano ją ze śmietanką, zapiekaną w kamionkowym garnuszku – koniecznie z kożuszkiem. W dni postne zastępowano ją mlekiem migdałowym. Samo przygotowanie jej do picia wymagało specjalnego ceremoniału. Do naparu dodawano różne zamorskie korzenie, które wzbogacały smak, czyniąc napój bardziej szlachetnym. Kawa była luksusem. Dzisiaj stała się nieodłącznym elementem naszego życia, stając się niemalże narodowym napojem.

A przywędrowała aż z Afryki. Uprawiano ją również w Ameryce Pd. A także na Ceylonie i Sumatrze. Najwcześniej uprawiali ją Arabowie, którzy robili z niej napar już w XIV w. Pamiętajmy, że kawa to nie tylko dobry trunek, wypijany pospiesznie i obowiązkowo. Wymaga szczególnej atmosfery, dobrego towarzystwa, ciekawych rozmów, magii miejsca. I do tego właśnie służyły i służą kawiarnie.

W Europie pierwsze kawiarnie powstały w Paryżu w 1671 r. i nieco później (w 1683) w Wiedniu. Tę wiedeńską założył nasz rodak Jerzy Kulczycki – towarzysz broni króla Jana Sobieskiego. W Polsce pojawiły się dopiero w XVIII w. Obowiązkiem każdego prawie większego miasta było, aby móc szczycić się takim miejscem, które jak magnes przyciągało do siebie znakomitych ludzi. I tak Lwów miał swoją „Romeę”, gdzie w zarezerwowanym pokoiku K. Makuszyński z „Kasprem” (poeta J. Kasprowiczem) grywał w brydża. W Krakowie u „Saue-ra” niemalże codziennie spotykali się Lucjan Rydel i Jacek Malczewski. Pierwszy był zapalonym miłośnikiem bilardu, drugi całe popołudnia spędzał przy ogromnym stole – pogryzając ulubione suchary. Poznań miał swojego „Dobskiego”, Wilno „Stralą”, przyciągającego grono aktorów, malarzy, adwokatów, urzędników – nawet lichwiarzy. A co było w stolicy?

Niektóre źródła podają, że pierwsze kawiarnie założyła w Warszawie w 1792 r. żona Andrzeja Brzezińskiego przy Krakowskim Przedmieściu i przy Koziej. Tu spotykali się głównie akademicy i literaci (m.in. Seweryn Goszczyński). Kawiarnie

nie czynne były już od godziny siódmej rano. Kawa u Brzezińskiej była niezwykle popularna. Właścicielka znana była ze swej dobroczynności. Z mężem i córką opiekowała się powracającymi z licznych kampanii żołnierzami, emigrantami, karmiąc ich a także wspierając materialnie zapomogami. W kawiarni nie wolno było palić fajki. Brzezińska pomagała także młodym akademikom. Nazwisko jej znane było powszechnie i wymawiane z ogromnym szacunkiem.

Znaczny rozwój kawiarni nastąpił w okresie stanisławowskim. Do bardziej znanych w stolicy należały: „Wiejska kawa” założona przez wdowę Neuberto-wą przy rogu Wiejskiej i Górnośląskiej. Znana była także kawiarnia u „Dziarkowskiego” przy ulicy Mostowej (miejsce spotkań H. Kołłątaja i J. Niemce-wicza). Na swoją białą i czarną kawę do jednej z nich wpadał J. Słowacki, ilekroć przybywał do Warszawy, spotykając się tam z politykami i literatami. W roku 1844 w stolicy było 181 kawiarni. Czy tylko pito tam kawę? Otóż, nie! Organizowano wieczory muzyczne, spotkania literackie, bawiono się i... spiskowano. Były to miejsca pełne patriotyzmu i nadziei na odzyskanie niepodległości. Najbardziej znaną w okresie Królestwa Polskiego, o zdecydowanie patriotycznym charakterze, była – „Honoratka” przy ul. Miodowej, w dawnym pałacu Chodkiewicza. Należała do Honoraty Cymermanowej. Za wstęp do niej, a właściwie do drugiej sali z galerią, gdzie przygrywała kapela, płacono 1 zł. Za to otrzymywało się jedną filiżankę kawy, lub innego napoju. Była to ulubiona kawiarnia młodzieży akademickiej, szczególnie członków Towarzystwa Patriotycznego, z Maurycym Mochnackim na czele. To właśnie tu, w „Honoratce” zaaresztowano 29 oficerów rosyjskich w pamiętnym dniu 29 listopada 1830 r. Tu także zawiązano spisek pod hasłem: – Precz z Chłopickim, niech żyje dyktator Lelewel! To stąd w czasie powstania dostarczano rannym szarpii⁶ i żywności. Po upadku powstania władze carskie zamknęły kawiarnię, uznając ją za zarzewie spisków i niesubordynacji. Z „Honoratką” rywalizowała inna niewielka kawiarenka „Dziurka”, znajdująca się w dawnym pałacu Tepperowskim przy ulicy Miodowej. Spotykali się tu młodzi spiskowcy, literaci i dziennikarze, bacznie obserwowani przez carskich agentów. Szczególnie przez groźnego i znanego szpiega H. Mackrotta. Śpiewano w niej od rana do nocy patriotyczne utwory nawołujące do buntu i walki o niepodległość.

*...Śpiewajmy jeszcze mazurka
póki trąbka nie zadzwoni
że już bracia czas do broni...*

Zakładano także cukiernie-kawiarnie. Najwcześniej firmę cukierniczą założył na warszawskim Nowym Świecie A. Blikle w 1869 r. – istnieje do dzisiaj.

⁶ Szarpie – paski białej tkaniny, rodzaj prostego opatrunku.

W małej kawiarence u „Mikiego” bywali J. Matejko, bracia Gierymscy i St. Witkiewicz, ilekroć zawitali do stolicy. U Bliklego poza pączkami można było także obejrzeć liczne pamiątki rodzinne, fotografie znanych bywalców, również tych z koronowanymi głowami.

Mijały lata, odchodzili ludzie, odchodziły kawiarnie owiane już legendą. Ich miejsca zajmowały nowe. Po I wojnie światowej (w 1918 r.) i odzyskaniu niepodległości, wdowy po poległych założyły w stolicy znaną kawiarnię – „Ziemiańską”. Odwiedzali ją często członkowie grupy *Skamander* z Boyem-Żeleńskim, Fiszerem i innymi znanymi literatami, poetami. Tuwim, Słonimski i Lechoń założyli kawiarnię „Pod Pikadorem” przy Nowym Świecie. W latach 20. XX w. powstała kawiarnia-restauracja „Kresowa”, na rogu ulic Nowy Świat i Wareckiej. Prowadzona była przez ziemianki z kresów wschodnich. Cieszyła się ogromnym powodzeniem wśród dziennikarzy i aktorów. Szczególne przywileje miał w niej znany aktor Stefan Jaracz, kiedy to hrabina Czosnowska pędziła do kuchni, wołając swoim niemiecko-szwajcarskim akcentem: – „Biała Kafa dla Stefan – prędko!” Warszawiacy poznać tam mogli oryginalny smak potraw wschodnich: – kulebiaków, kołdunów, kartaczy, pasztetów wileńskich i innych smakołyków.

Kiedyś, w latach 70., sama dostąpiłam zaszczytu popróbowania znakomitego pasztetu, który serwowała w swojej kuchni (nieżyjąca już dziś) pani Jadwisia Wańkowicz. Na ten to pasztet – jak z dumą wspominała – przyjeżdżał do niej z Warszawy do Wilna sam Żabczyński, znany wówczas przedwojenny aktor. Niepokornie przyznam, że wielokrotnie zadawałam „szpanu” podając pasztet jej przepisu na mój stół. Dziś to już wspomnienie.

Później po pączki biegano w dalszym ciągu do Bliklego i Lursa. Po te naderwane jabłkami do Waltera, panny Marianny Ptaszyńskiej z Piwnej, lub Haberkanta przy ogrodzie Krasińskich. Wpadano też pod filary do „Sema-deniego”. Z tych miejsc szły liczne anegdoty, żarty, nierzadko o zabarwieniu politycznym. Chętnie przychodził tu Słonimski znany z ogromnego poczucia humoru, tryskający nieustannym dowcipem.

W czasie II wojny światowej w okupowanej stolicy powstawały małe, skromne kawiarenki, prowadzone najczęściej przez wdowy lub aktorki pozbawione środków do życia. Na każdej ulicy czaiła się śmierć. Warszawa pragnęła choćby namiastki normalnego życia, zwykłej więzi międzyludzkiej, uczucia, choćby nawet odrobiny humoru nazywanego często „czarnym”. Stąd szły grypsy na Pawiak, tu słuchano zakazanej muzyki i poezji. Tu także spotykali się młodzi spiskowcy. To stąd warszawscy młodociani gawrosze przemycali „zakazane piosenki” – śpiewając je na ulicach, w tramwajach. Za to także groziła śmierć. Warszawiacy spotykali się tu ze swoimi ulubionymi aktorami, pijąc z trudem zdobywaną choćby namiastkę kawy tzw. „Lury”. Popularna była kawiarnia

„U aktorek” – przy Mazowieckiej, po okupacyjne wypieki biegano do cukierni „U Jarząbków” przy Mazowieckiej i Szpitalnej. Praca w kawiarniach dawała młodym ludziom szansę na przeżycie, chroniąc ich niejednokrotnie przed wywózkami do Rzeszy na przymusowe roboty. Wśród plejady aktorów występujących w czasie okupacji, ogromną popularnością cieszył się znany, przedwojenny piosenkarz Mieczysław Fogg – żołnierz AK. Swoim śpiewem podtrzymywał ducha nawet na barykadach powstańczych i w szpitalach. A wszystko to dla tej jedynej, niepokornej i niepokonanej stolicy – Warszawy. I tak „mała czarna” weszła do naszej rodzimej tradycji, poprzez miejsca owiane legendą oraz ludzi, którzy tę legendę tworzyli.

Kawę serwowano również w Opinogórze. Przed wojną u hrabiów Krasińskich zajmowały się tym panie pełniące funkcje tzw. kawiarek. Po wojnie, nawet w zgrzebnych czasach tzw. realnego socjalizmu, zorganizowano w Opinogórze niewielki lokalik o nazwie klubo-kawiarnia, który mieścił się w dawnej agronomówce.

Dziś picie kawy stało się codziennością niemal w każdym domu. Czasem okolicznościowo, w czasie spotkań towarzyskich lub służbowych, najczęściej jednak pospiesznie rano przed pójściem do pracy. No cóż, obyczaje się zmieniają.

Kartka z pamiętnika 29

Pamięci ojców naszych

*P*rzyszłość jest nieodłączną częścią naszego życia. Nie oznacza to, że musimy tkwić w niej oderwani od rzeczywistości i otoczenia, w którym przebywamy. W pewnym wieku trudno zaakceptować nam pewne zmiany, z którymi godzimy się lub – nie, choć wszystko co dzieje się wokół, dotyczy wszystkich. Coraz bardziej goni nas czas. Wręcz galopuje. Gdy jesteśmy dziećmi, wydaje się nam, że mamy go tak dużo, później zaczyna się kurczyć i znikać. Coraz mniej kontaktów z ludźmi, rodzinnych dyskusji. Coś się „rwie”, coś ważnego umyka. Elektroniczne „zabawki” nie zastąpią nam żywego człowieka. Odchodzą bliscy, o których tak niewiele wiemy i nie sposób po jakimś okresie uzupełnić już tej luki. Jest takie piękne przesłanie ewangeliczne: „Pytaj się bowiem starego wieku i dowiaduj się pamięci ojców”.

Dzisiaj chcę wspomnieć o rodzinie dość znanej w Opinogórze, niewyróżniającej się szczególnymi zasługami, a jednak znanej i szanowanej. Nie mają nawet opinogórskich korzeni. To małżonkowie: Czesława i Aleksander Czerwińscy. Obydwoje urodzili się koło Karniewa w powiecie makowskim na Mazowszu. Historia ich życia – stara jak świat. Połączyło ich uczucie, pobrali się, żyli długo, ale czy szczęśliwie? Trudno powiedzieć.

Wojna, tak jak u wielu ich rówieśników, brutalnie wdarła się w ich życie. Burząc plany i marzenia. Dzieciństwo i młodość także nie były beztroskie. Rodzice obydwójka nie mieli ziemi. Zatrudnili się jako pracownicy najemni, przechodząc z majątku do majątku, aby zaspokoić głód i wychować dzieci. W okresie międzywojennym o pracę było trudno. Ojciec pana Aleksandra miał więcej szczęścia. Jakiś czas pracował w cukrowni w Karniewie. Kiedy właściciel zbankrutował, zaproponował pracownikom pieniądze lub ziemię. Rodzina zgodziła się na ekwiwalent pieniężny (100 rubli) i przeniosła się do Kosin (k. Łukowej) majątku Strumiłłów. Tam przepracowali 25 lat, otrzymując emeryturę w naturze (1 krowę, pół morgi ziemi, 7 m. zboża na rok) i 15 zł miesięcznie. Młody Aleksander wraz z bratem pomagał rodzicom, a kiedy skończył 17 lat, stał się już pełnoprawnym pracownikiem. Rwał się do koni,

do których jak mówiono miał dobrą rękę. Interesowała go również polityka. Nie było tak źle – wspominał. Miał tylko jednego brata, bowiem reszta rodzeństwa zmarła w wieku niemowlęcym lub wczesnodziecięcym. Rodzicom trudno było się z tym pogodzić. Nie było wówczas skutecznych leków, nie było także pieniędzy na leczenie. Taki był los wielu rodzin.

Żonę swoją poznał w 1926 r., pracowała w tym samym majątku u Strumiłłów. Panna Onuszkiewicz zwracała na siebie szczególną uwagę. Była dorodna, pracowita, wesoła, – taka „co to do tańca i do różańca” – z dumą podkreślał jej mąż. Stąd pewno młoda, 18-letnia dziewczyna, została starościna corocznych dożynek i jej to przypadał zaszczyt wręczania dziedzicowi wieńca i własnoręcznie upieczonego chleba. Nie obyło się to oczywiście bez okolicznościowych wierszyków czy przyśpiewek, układanych niejednokrotnie przez nią samą lub powszechnie stosowanych przy takich uroczystościach.

– Czy pamięta pani treść życzeń – pytam. – A jakże, znam wszystkie na pamięć... *Plon niesiemy plon, w gospodarza dom, lub: – Niechaj Bóg wam wszystkim błogosławi. Was, rodzinę waszą, wszystkich domowników, służbę, bydło wasze i plony na wszystkich polach. Obyście żyli w zdrowiu i oby szczęście nigdy was nie opuszczało.* – Przysługiwał mi także zaszczyt zasiadania przy dziedzicowym stole w czasie biesiady dożynkowej. – Co z tego, jak pan Oleś nie zwracał na mnie żadnej uwagi. Jego oczy rwały się do wszystkich dziewczyn w majątku, prócz mnie.

– Jak to? Przecież się pobraliście. – No, tak. Ale ile musiałam chusteczek namarnować! – I co, nie pomogły? Może potrzebne były jakieś ziółka, czary? – Jakie tam czary? Okazało się, że... grabie, zwykłe grabie. – Co? – Tak, kiedyś siedziałam w polu z uszkodzonymi grabiami i zaczęłam płakać, że nie nadążę za brygadą, a byłam przecież przodownicą pracy. – Co panna tak lamentuje? – usłyszałam głos pana Olesia. – Co się stało? – Grabki panie Olesiu mi się zepsuły. Może by pan je naprawił? Od tej pory psuły mi się jakoś dziwnie często, a pan Oleś cierpliwie je naprawiał. I od tego się zaczęło.

Do ołtarza przystąpili w 1934 r. Błyszcząca kościelna posadzka, umyta skoro świt, na ołtarzu liczne świece, a sam ołtarz przybrany świeżymi i pachnącymi kwiatami. Wesele skromne, choć bawił się na nim cały folwark. Czasy były trudne. Zarobki marne, bezrobocie, strajki. Na świat zaczęły przychodzić dzieci. Pan Aleksander zapisał się do PPS i po którymś strajku, w którym brał udział, został zwolniony z pracy. Bieda zaczęła wkradać się do ich domu.

Za namową starszego brata Stanisława, zaczął pracę w majątku hrabiego E. Krasińskiego i z rodziną przeniósł się do Opinogóry. Zamieszkali w czworakach wybudowanych dla pracowników w majątku w Opinogórze Dolnej. Mieli ogródek warzywny, zapobiegliwa gospodyni chowała drób i inny inwentarz. Pomagała także przy żniwach i udoju krów. Zarobki, choć niewielkie, pozwalały jakoś żyć. W ogromnej kuchni z piecem chlebowym wypiekała chleb, robiła

sery, ubijała masło. Każde święta były dostatnie. Odznaczała się głęboką postawą religijną. Była zawsze blisko kościoła i ludzi. I tę głęboką wiarę zaszczepliła swoim dzieciom. Nigdy też nie była obojętna na potrzeby sąsiadów. Odbierała porody, stawiała bańki, wspomagała chorych znanymi sobie ziołami, wzywana do umierających, modliła się wspólnie z rodziną, spędzając z nimi puste noce. Pogodna i życzliwa, zyskiwała sobie szacunek otoczenia. Wydawało się, że będzie coraz lepiej. Niestety. Życie nie liczy się z planami i niweczy nadzieję.

Przyszła wojna i wszystko uległo zmianie. Najbardziej bolesne było rozstanie z mężem. Gdyby nie dzieci, chyba by za nim poszła. Cóż było robić? Mężowie odchodzą na wojnę, a kobiety stają się odpowiedzialne za dom. Muszą same radzić sobie, aby przetrwać i uchronić rodzinę. Takie ciche bohaterki. Jak inni, chroniąc się przed zbliżającym frontem, uciekła z dziećmi do Kucik/Modlina, skąd już po tygodniu wróciła do domu, aby zmierzyć się z tragiczną rzeczywistością. Była świadkiem pochówku młodych żołnierzyków, którzy zginęli koło Dzbonia. Pochowani byli pierwotnie pod krzyżem nieopodal Opinogóry, skąd w 1945 r. przeniesiono ich na miejscowy cmentarz. Opiekowała się ich grobem.

W czasie okupacji pracowała w majątku zarządzanym przez Niemców. Praca była ciężka. – Nie starczało doby – żaliła się. Dla siebie i trójki dzieci pracowała nocami. Ileż to razy nieproszeni goście zaglądali do garnka, brudnymi paluchami wybierając jakieś kęski, mówiąc: – Co tam matka, szperków nie macie? Ukrywała czasem jakiś marny przydział, z trudem zdobytą słoninę, mąkę, kawałek mięsa przed wszechwidzącymi oczami żandarmów. Straszliwie się bała. Niepokoiły ją również skąpe wiadomości o mężu. Wiedziała, że przeżył i jest w niewoli hen, gdzieś daleko w Niemczech. Wiedziała o egzekucjach na zamku ciechanowskim. Wiedziała, że giną tam także kobiety – matki. Wiedziała o bohaterskim czynie młodego Konwerskiego, który przeciwstawił się okupantowi i sam zginął. Znała go osobiście.

Modliła się o powrót męża. Długo się nasz bohater nie nawojował. Kartę powołania dostał już na początku wojny do Stołpców, blisko wschodniej granicy. Po 17 września, po agresji wojsk radzieckich, dostał się do niewoli. Wywieziono go do Kajdanowa, a później do Kozielska, gdzie przebywał dzień tygodni. Tam oddzielono ich od oficerów (ofiary Katynia) i wywieziono do Brześcia Litewskiego, gdzie nastąpiła wymiana jeńców polskich z niemieckimi. Polskich żołnierzy załadowano do wagonów, które pod Warszawą zaplombowano, aby uniemożliwić ucieczkę. Skąpe ilości płynów, chleba i dalej w drogę, w nieznane. Dowieziono ich do granicy czeskiej. Przebywali tam trzy dni. Otrzymali swoje numery i podzieleni zostali na komanda.

Jego komando skierowano do Nadrenii, gdzie pracował u gospodarzy, których synowie byli na froncie. Praca była ciężka, do jakiej przywykł już od dzie-

cka, ale nie był głodny. Ciężko było tylko bez rodziny i braku od nich wieści. Wkrótce przeniesiono go do miasta (nazwy nie pamiętał) do fabryki amunicji i broni. Zaczęły się naloty aliantów. Budziły nadzieję na rychły koniec wojny, ale i lęk o własne życie. Przebywał tam do 1945 r. Przeżył 106 nalotów, został ranny (stracił palec). W marcu (1945 r.) nastąpiła ewakuacja i dostał się do górnej Bawarii. Wkrótce grupę jeńców odbiła armia amerykańska. Choć niektórzy byli niepewni co do powrotu, jemu śpieszno było do żony i dzieci – do Opinogóry.

Po wojnie z nadzieją otrzymał ziemię. Nie zapisał się do nowo tworzących się kółek spółdzielczych, pragnąc gospodarować u siebie. Rodzina się powiększyła. Było już pięcioro dzieci. Żona po wojnie pracowała jako gospodyni u ks. Kolwicza, później u ks. T. Drozda. Pan Aleksander pełnił funkcję kościelnego. Jakiś czas mieszkali w organistówce (dziś nieistniejącej), dzieląc dom z rodziną organisty pana Henryka Wilamowskiego, jego żoną oraz córką Grażyną.

Po utworzeniu w Opinogórze PGR – pan Aleksander rozpoczął pracę w majątku – oczywiście przy koniach. Będąc już emerytem pracował kilka lat w Muzeum Romantyzmu przy różnych remontach, a także pracach porządkowych. Obydwoje małżonków poznałam pod koniec lat 60. Byli niezwykle gościnni i serdeczni. Szliśmy do nich „ławą” – my młodzi. Kusiły nas nie tylko wspaniałe rosółki (ulubione danie ks. Drozda – z ziemniakami) z prawdziwymi kluseczkami robionymi przez gospodynię czy pączkami, które trzeba było „przestraszyć”, aby się udały. Przede wszystkim interesowały nas opowieści o obyczajach, życiu, przetrwaniu i szacunku dla drugiego człowieka. Pod koniec życia małżonkowie przenieśli się do najmłodszej córki Jagody i jej męża Janka Klonowskiego, do bloków wybudowanych dla pracowników majątku w 1975 r. Mieli godziwe warunki życia i dobrą, zasłużoną starość.

Wierni sobie za życia odeszli prawie jednocześnie. Pan Aleksander zmarł w wieku 87 lat 11 września 1992 r., a żona podążyła za swoim Olesiem na niebieską pielgrzymkę, niespełna miesiąc po jego śmierci (10 października 1992 r.). Pochowani zostali w Opinogórze. Grób zadbany. Zawsze kwiaty, świece, intencje – zgodnie z zasadą – pamięci „Ojców naszych”.

Na podstawie wywiadu z 1972 r.

Kartka z pamiętnika 30

Mówić głośno

Półowa maja 2019 r. Zimno, wietrznie, nieciekawie. Sama przyroda zda się buntować. Zacichły nawet słowiki, zdominowane przez krzykliwe stada gawronów, które opanowały opinogórski park. Co się stało z moją piękną wiosną?

Ostanie wydarzenie dotyczące niektórych księży, pokazywane w mediach, głęboko mną wstrząsnęły. Zaatakowano mój kościół i moją wiarę. Tak to odbieram. Kościół to nie tylko instytucja, to także ludzie – kapłani i wierni – wspólnota. W każdym środowisku istnieje margines zła i należy go potępiać, ale od tego jest prawo. Nie zapominajmy, że istnieje także dobro, które w ostatnich miesiącach przemieszano ze złem i wrzucono do jednego kosza. Zraniono przy okazji wielu wspaniałych kapłanów, którzy z udręką dźwigać muszą ciężar nie swoich win. Nasz kościół przeżywał różne kryzysy, więc i z tym sobie poradzi. Istnieje już przecież dwa tysiące lat.

Dziwna wydaje mi się ta „okolicznościowa” troska niektórych środowisk o dobro naszych dzieci, zagrożonych przez pedofilów. To oczywiste, że należy je z troską chronić a wszystkich (!) sprawców tych ohydnych przestępstw bezwzględnie karać. Ale dostrzegać trzeba również i piętnować zdziczenie obyczajów, agresję, zagrożenia płynące z internetu, brak szacunku dla bliźniego swego. Widzieć upadek kultury słowa w debatach publicznych i w życiu codziennym. Tradycyjne wychowanie dzieci stało się niemożliwe, dla niektórych współczesnych celebrytów wręcz zaściankowe. Jestem babką czworga niepełnoletnich wnuków i nie jest mi obcy ich los, duchowy rozwój i bezpieczeństwo. O to modłę się do mojego Boga.

W modlitwie „wspierają” mnie często obrazy. Oglądając różne debaty pokazywane przez media z niesmakiem przyjęłam uwagi dość znanej pani profesor prawa, że czcząc obrazy sakralne jestem jakoby bałwochwalcą. – Pani Profesor, niewątpliwie zna się pani na prawie, ale w tej sprawie nie ma pani prawa mnie pouczać. Gwoli wyjaśnienia. Ja modłę się do Boga, a obrazy wspierają mnie w mojej modlitwie i w tym znaczeniu są dla mnie święte.

Przez wiele lat pracując w muzeum obcowalam z dziełami sztuki, także sakralnymi. Ile w tych obrazach jest zaklętych naszych prośb, łez, nadziei, ile

dobra i mocy. Tego szczególnego patrzenia na nie nauczyłam się w moim domu i w kościele. Małeńki przykład historii związanej z obrazem pani Elżbiety Krasieńskiej-Rudnickiej. W jej rodzinnych zbiorach znajdował się obraz malowany na zamówienie we Włoszech, będący prezentem ślubnym dla któregoś z jej przodków. Przedstawiał Matkę Bożą z aniołem trzymającym wieniec hymenu. Obraz ten był w rodzinie Krasieńskich ozdobą wielu salonów, wędrując z nimi po wielu stolicach Europy. Kiedy w 1939 r. pani Elżbieta przebywała w Poznaniu, wybuchła wojna. W czasie bombardowania ta krucha, niemłoda już kobieta zniosła ten obraz bez niczyjej pomocy z drugiego piętra do piwnicy. Po latach mówiła, że ratowała to, co dla niej było święte.

Wracając do ogólnopolskiej dyskusji o kapłanach, chciałabym przywołać tu kilka przykładów z mojego dzieciństwa. Tak się złożyło, że po wojnie moja rodzina wynajmowała mieszkanie kapłanom. Przychodzili do nas biedni, niektórzy prosto z powstania lub wojennej zawieruchy. Zatrzymywali się tam, gdzie było to możliwe, czyniąc swoje posługi duszpasterskie. Niektórzy mieli dziurawe buty, ale serca gorące i prawe. My dzieci Ignęliśmy do nich i nic złego z ich strony nas nie spotkało. Często się zmieniali. Jeden z nich, który był moim prefektem, po latach udzielił mi ślubu. Przechowuję jego listy. Czasem w życiu, gdy wydawało mi się, że źle postępuję, martwiłam się, że go zawiodłam.

W mojej – a także męża – rodzinie były osoby duchowne o których po wojnie nie można było głośno mówić. Byłam dumna, kiedy trzech moich licealnych kolegów otrzymało święcenia kapłańskie. Jeden z nich, ksiądz F. Szyszkiewicz, był nawet sąsiadem księdza T. Drozda – proboszcza Opinogóry, sąsiadując z nim nieopodal Krzynowłogi. Już nie żyje. Wyprzedził księdza Drozda o niecałe dwa tygodnie, umierając także na zawał.

W 1970 r., kiedy wydarzył się pod Opinogorą tragiczny wypadek drogowy, w którym zginęły trzy osoby i kruche były nadzieje na życie uczestniczącego w tym wypadku mojego męża, spotkałam przy jego szpitalnym łóżku dwie osoby. Pierwsza, to kapłan pełniący dyżur szpitalny – obecnie ks. biskup senior Roman Marcinkowski i druga, pan prokurator, którego nazwiska nie pamiętam. Kapłan z olejami świętymi widząc moje przerażenie i brak nadziei, powiedział mi wtedy: – oleje św. nie tylko odprowadzają, ale mają także tę cudowną moc przywracającą zdrowie. Zawierzyłam jego słowom. Ten drugi, prokurator, dodał: – Jestem ateistą, ale jeśli pani jest wierząca, radzę udać się do Częstochowy. Bo według mojego doświadczenia i wiedzy, nikt w tym rozbitym samochodzie nie miał szans na przeżycie. Wtedy też była modlitwa mojego trzyletniego wówczas syna, który w śnie modlił się o zdrowie swego ojca, kiedy... nie dotarła jeszcze wiadomość o wypadku. Mój mąż przeżył. Zginął w tym wypadku m.in. pracownik muzeum pan E. Kuciński, osierocając żonę z dwojgiem małoletnich dzieci. Byłabym ostatnią osobą, która mogłaby

zwątpić i nie bronić swojej wiary. Stąd moje świadectwa, wsparte przykładami. Wszystkich dobrych kapłanów, których poznałam i znam także w Opinogórze, zasługują na mój szacunek i wdzięczność.

Dzisiaj pragnę zaprezentować sylwetkę kapłana, który urodził się na Podlasiu. Pełnił swoją posługę duszpasterską w Ciechanowcu a także w Warszawie. Będzie też o jego związku z Opinogorą, zaznaczonym w ekspozycji muzealnej. Mowa o księdzu Wincentym Marcuku (1916–2001), żołnierzu, kapitanie 26 duszpasterstwa Wojska Polskiego, powstańcu, poecie. Poznałam go w latach 70. ubiegłego wieku, kiedy z mężem bywaliśmy w Muzeum Rolnictwa w Ciechanowcu.

Dyrektorem tej placówki był pan K. Uszyński, kolega mojego męża ze studiów. Dzięki jego uprzejmości mieliśmy w Ciechanowcu swój pokój, spędzając tam niejednokrotnie urlopy. Piękne miejsce, ale też okazje do niezwykle interesujących rozmów, również z księdzem Marcukiem, który był niezwykle gawędziarzem. Mimo swoich licznych obowiązków, poświęcał nam wolny czas, zawsze gościnny i cierpliwy. Dzielił się z nami historią swojego życia, a było czego słuchać. Dla naszego syna były to lekcje żywej historii, które w pewien sposób ukształtowały jego osobowość a dla nas wspaniałe przeżycia duchowe.

Ksiądz Marcuk w roku 1931, w wieku 15 lat, wstąpił do Seminarium Malego w Drohiczynie a później studiował w Wyższym Seminarium Duchownym w Pińsku. Naukę przerwała wojna 1939 r. W konspiracyjnych warunkach kontynuował przerwane studia teologiczne u księży Pallotynów w Ołtarzewie pod Warszawą. Ukończył je w 1942 r. przyjmując święcenia kapłańskie w Kaplicy Sióstr Misjonek w Warszawie z rąk, przybyłego ze Lwowa księdza biskupa K. Bukraby. Podjął również studia polonistyczne na tajnym Uniwersytecie Warszawskim pod kierunkiem profesorów W. Doroszewskiego i J. Krzyżanowskiego.

W czasie 63 dni Powstania Warszawskiego ksiądz Marcuk walczył w okolicach klasztoru Sióstr Zmartwychwstanek, nazywanego – z powodu twardego oporu – twierdzą. Razem z księżmi St. Sydry i L. Szelągim chodził wśród powstańców, podtrzymywał ich na duchu, pocieszał, ewakuował rannych, udzielał ślubów, spowiadał, odprowadzał pogrzeby a nawet grzebał poległych. Kiedy pytałam, co tak najbardziej utkwiło mu w pamięci z tych 63 dni powstańczych, odpowiadał: – cierpienie ludzi, ich determinacja. Po chwili dodał: – ofiara Eucharystii w gruzach, piwnicach. I ten jeden dzień – 29 września 1944 r., kiedy myślałem, że będzie to moja ostatnia ofiara eucharystyczna – już po masakrze popełnionej przez Ukraińców na Mokotowie i Czerniakowie. Wkrótce eksterminacja dotrze do Żoliborza. Wokół pożary, zgłiszczka. W piwnicy stłoczeni, przerażeni ludzie. Płacz dzieci. Modlitwy. Młody kapłan ze łzami w oczach odprawia mszę św. Wszystkie oczy wpatrzone w Sakrament.

Dzisiaj uliczna profanacja Eucharystii. Nikt z młodych ludzi, czyniących to zło lub je oglądających, nie zdaje sobie sprawy, że Eucharystia to „Ktoś” a nie „coś”.

Ksiądz Marczuk przeżył. Po upadku powstania dostał się do niewoli niemieckiej. Jeniec Stalagu XB Sandbosten, numer jeniecki – 46449. Po wyzwoleniu i uzyskaniu odpowiednich dokumentów wrócił do Polski. Ukończył studia polonistyczne. Wykładał u OO Marianów na Bielanach w Warszawie literaturę polską.

Czekał na swoją parafię. Nie było łatwo o pracę kapłanowi z taką „powstańczą przeszłością”. Ówczesne władze proponowały mu wyjazd na stałe z kraju. „Wróg Polski Ludowej. Tak zachowuje się na ambonie i w kościele, jakby łaskę robił, że żyje w socjalizmie”.

Wreszcie, po wielu staraniach ze strony Kurii, władze zezwoliły na jego *ingress* w świątyni Trójcy Św. w Ciechanowcu. Ale trudno było niepokornemu kapłanowi zdobywać środki na remonty, budowę kaplicy w Wojtkowiczach czy nowego kościoła w Przybysznie. Dzięki swojej nieugiętej postawie, trochę żołnierskiej, a także licznym kontaktom z ludźmi nauki i kultury, udawało mu się realizować plany. Szczególną troską otaczał rodziny powstańcze. Organizował nawet u siebie na plebanii wesela potomkom zaprzyjaźnionym z nim od lat rodzin. Był człowiekiem niezwykle ciepłym i tolerancyjnym dla ludzkich wad. Odprawiał msze ojczyzniane w swoim kościele a po śmierci ks. Jerzego Popiełuszki głosił kazania na Żoliborzu u św. Stanisława Kostki. Ku pamięci tych, co odeszli.

W czasie trwania stanu wojennego znalazłam się z synem w Ciechanowcu. Mieliliśmy kartki żywnościowe, w zasadzie nic. Dzięki uprzejmości i gościnności kapłana, nieprzyzwicie przedłużaliśmy powrót do domu. Udawało nam się czasem razem z nim rozwozić żywność „głodomorom” spod namiotów, którzy utknęli nad pięknym Nurcem. Były także i papierosy, których sam nie palił. Pytany, czemu toleruje palaczy? Odpowiadał: – ja też mam swoje wady. Pocieszał także młodych, którym trudno było czasem porozumieć się z innymi kapłanami, szczególnie w rozmowach przedślubnych. Powiadał wówczas: – ksiądz to też człowiek, może źle się poczuć lub wstać „lewą nogą”, nie przejmujcie się.

Kiedyś z synem postanowiliśmy zrewanżować się gościnnemu księdzu, zapraszając go do nas na kolację. Szkopuł w tym, że nie mieliśmy jej z czego zrobić. Od dawna korciły nas karpie w muzealnym stawie, których było tak dużo, że można je było złowić na przysłowiowy „kalosz”. Cekały jednak na jesienny odłów. Z pełną świadomością wykroczenia i determinacją skróciliśmy im czas oczekiwania. Pani Wacia, dusza i serce muzeum, pięknie je sprawiła i przyrządziła. Resztę wzięłam na siebie. Zanim poprosiłam gościa do stołu, wydukałam: – Proszę księdza, kontrabanda. – Kartofle też z „podkopu”, jak zwy-

kle szczerzy do bólu dodaje mój syn. – Z głodu, z dobrej intencji? pyta kapłan, – tak, tak, odpowiadamy zgodnym chórem. – To odpuszczam, daję dyspensę! Długo pamiętaliśmy tę kolację i więcej takiego grzechu już nie popełniliśmy.

Traktował bardzo poważnie dzieci, nie pozostawiając ich pytań bez odpowiedzi. – Wujku Wicusiu, dlaczego zostałeś księdzem? – Bo ludzie wielokrotnie mi pomogli. Chciałem im i Panu się odwdziżyć. Takim człowiekiem i kapłanem był mój bohater.

Ostatnie lata życia spędził na emeryturze w Warszawie. Dotrzymał kustoszowi słowa, sprzedając do naszego opinogórskiego Muzeum swój ukochany sekretarzyk – biurko wykonane na wzór Wawelu przez artystę stolarza. Można dziś podziwiać ten wspaniały mebelek w ekspozycji muzealnej. Dla mnie zawsze już będzie wiązał się z jego właścicielem. Ilekroć przyszło mi prezentować historię eksponatu, zawsze towarzyszyła mi obecność właściciela. Pamiętam wysypujące się z niego kartki, karteluszeki, rękopisy, wiersze – skrupulatnie ukrywane przez autora. Dostałam niebawemego zaszczytu odpisania z nich kilku wybranych przez siebie wierszy. Były dla niego jedyną pamiątką tamtych trudnych lat. Z Internetu dowiedziałam się, że pośmiertnie – staraniem miejscowej szkoły w Ciechanowcu – ukazał się tomik poezji księdza Marczuka „Serca telegramy”.

Pora pożegnać mego bohatera, człowieka wielkiej dobroci i serca. Zmarł 26 stycznia 2001 r. w Warszawie. Pochowany został w swoich rodzinnych stronach na Podlasiu.

Na podstawie materiałów źródłowych, zapisków własnych autorki
oraz wspomnień B. Lewtaki.

Kartka z pamiętnika 31

Nigdy więcej...!

Wieluń – 1 września 1939 r. Miasto oddalone o 25 km od granicy niemieckiej. Świt zwlekał z nadejściem poranka. Dzień zapowiadał się jasny i pogodny. Jakby ciepłem swym otulić chciał uśpione jeszcze miasteczko i ludzi przed zbliżającym się dramatem. Przez otwarte okna docierał zapach dojrzałej jesieni, z sadów pełnych dorodnych jabłek, gruszek, śliw...

Godzina 4.40 – świt. Nagle niebo pociemniało. Zawisły pod nim czarne skrzydła śmiercionośnych ptaków. Bez wypowiedzenia wojny Niemcy rozpoczęły atak na Polskę. Pierwsze bomby zrzucono na budynek szpitala. Ludzie uciekali z miasta, wielu biegło tylko w bieliźnie. Strzelano do nich z samolotów, z małej wysokości. Zabić miasto! Zabić wszystko, co żyje! Taki był morderczy plan agresora.

Bombardowanie trwało do godziny 14-tej. Śmierć zbierała swoje krwawe żniwo. Tego dnia zginęło ponad 1200 osób. Miasto zniszczone zostało w 90 procentach. Bezbronny Wieluń stał się początkiem kolejnej wojny światowej, początkiem ogromnego terroru i niewyobrażalnych cierpień milionów ludzi na całym świecie.

Atak na Wieluń wyprzedził tylko o kilka minut atak na Westerplatte i Hel, gdzie strzelano z morza, lądu i powietrza. Na nieliczne załogi broniące polskiego Wybrzeża zrzucono ponad 27 ton bomb. *Kiedy się wypełniły dni i przyszło zginąć latem, prosto do nieba czwórkami szli żołnierze z Westerplatte...*

Wojna dotrze wkrótce do mojego rodzinnego miasta Sochaczewa. Do mojej rzeki Bzury. Rozegrała się tam największa bitwa obronna wojsk polskich z Niemcami, trwająca od 9 do 22 września 1939 r. Z biskich mi krewnych pamiętających tamte wydarzenia, pozostał jedynie mój stryjeczny brat Zygmunt. Miał wówczas kilkanaście lat.

Nie bez powodu dzwonię do niego pierwszego września. Telefonu długo nikt nie odbiera... I znów ten irracjonalny niepokój, który wkrada się zawsze, ilekroć czuję przedłużającą się ciszę po drugiej stronie. Wreszcie słyszę, nieco zdyszany, przytłumiony przez jakieś dźwięki z radia czy telewizora, głos brata.

Na początek grzecznościowa wymiana pytań o zdrowie, rodzinę i moje pytanie: – co zapamiętałeś z pierwszych dni wojny?

– Jak wiesz, jeszcze nie walczyłem (śmiech). Przed wojną należałem do harcerstwa. Nawet w 1939 r. mieliśmy jechać pod granicę z Prusami Wschodnimi. Nie pojechalśmy, bo było już duże napięcie w stosunkach z Niemcami. Mieszkalem wówczas z matką w Młodzieszynie w jej rodzinnym domu koło Sochaczewa. Mój ojciec walczył pod Kutnem, twój gdzieś w okolicach Krakowa. W Sochaczewie toczyły się bardzo ciężkie walki. Dwie nasze polskie armie („Pomorze” i „Poznań”) szły na pomoc Warszawie. Zginęło wielu naszych żołnierzy, szczególnie piechoty. Nasza armia opierała się głównie na piechocie no i kawalerii. Niemcy mieli silne lotnictwo i bombardowali nie tylko wojskowe pozycje, ale i domy cywilne. Strzelali do naszych ludzi, ale i Niemców ginęło wielu. Niektóre miejscowości przechodziły po dwa, trzy razy z rąk do rąk. Przykładowo: Niemcy zdobyli Sochaczew w dzień, a nasi atakowali w nocy i wypierali ich z miasta. Tak podobno było też w Kutnie i innych miejscowościach.

– Miałem młodzieżowy rower. Bakcylem jazdy na nim zaraził mnie twój ojciec. Przed wojną za czyszczenie roweru otrzymywałem od niego 1 złoty polski. Dla młodego chłopaka to był to majątek. – Tak, wiem – dodałam od siebie. Rower widziałam już tylko na rodzinnych fotografiach. Ukradziono go... po wojnie. – Mów dalej.

– Znalazłem się z cywilnymi uciekinierami na szosie, po której jechały niemieckie tabory. Artyleria niemiecka skierowana była na las, gdzie stali nasi, którzy tak celnie strzelali, że te tabory dosłownie „fruwały” na pobliskie drzewa. Obok szerokiego traktu był rów i tym rowem my się przemieszczaliśmy. Odłamki pocisków dosłownie powycinały szprychy w tylnym kole roweru. Później nastąpiła cisza. Nasza artyleria przestała strzelać. Niemcy, którzy przeżyli, śmiali się, że ojcowie strzelali do swoich dzieci i cywilów w rowach. Widzieliśmy, jak Niemcy swoich zabitych ładowali na samochody i gdzieś wywozili. Naszych zabitych ładowano na wozy, rzucali jednego na drugiego. Sprawiało to bardzo przykre wrażenie.

– Miałem zaledwie kilkanaście lat i nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że dla mnie to dopiero początek wojny, która będzie trwała tak długo. – Pamiętam jak kiedyś mama szła do piwnicy a ja za nią z moim rowerem, aby jej w czymś pomóc. Kiedy rozpoczęło się bombardowanie, nie zdążyłem się ukryć i stanąłem pod murem. Bomba spadła w dość bliskiej odległości. Nie wiem ile było to od muru, dziesięć metrów czy mniej. Widocznie chcieli trafić w budynek. Bomba upadła blisko, tak blisko, że od wybuchu upadłem i poczułem na twarzy ogień i piach. Gdy się podniosłem, zobaczyłem, że cała ściana była podziurawiona odłamkami. Mnie jakoś nie trafiło. Ucierpiał tylko mój rower.

Później była konspiracja, tajne komplety, Puszcza Kampinoska. Byłem łącznikiem dostarczającym do Warszawy broń, meldunki, prasę, podrabiane dokumenty (używane jeszcze po powstaniu). Dwie organizacje, pierwsza młodzieżowa „Miecz i Pług”, od 1943 r. „Armia Krajowa”, później „WiN”. Mieliśmy swoje pseudonimy. Moim był „Kruk” (strzelec, Grupa Kampinos, batalion „Karpaty”, I kompania, dzielnice Mokotów, Służewiec...).

– UFF!!! – Za dużo tego dla mnie, odpowiadam bratu. Wiem, że byłeś ranny w czasie powstania, aresztowany po wojnie, były ucieczki i bardzo, bardzo długa droga do domu, do rodziny. Po odwilży studia i praca. Dzisiaj laury, spotkania z młodzieżą, filmy, wywiady, nagrania. Cała dokumentacja znajduje się w Muzeum Powstania Warszawskiego, w IPN, w archiwach telewizyjnych i innych źródłach, przede wszystkim w pamięci rodziny. Urodzony byłeś chyba pod szczęśliwą gwiazdą (we Francji) przeżyłeś mnóstwo niebezpiecznych wydarzeń. Długo by o tym mówić, pisać, ale to już inna legenda.

Kilka informacji chcę także tu poświęcić pewnemu znanemu żołnierzowi z dywizji generała Zygmunta Berlinga. Z tym żołnierzem zaprzyjaźniona była moja rodzina. Na początek jednak krótkie wspomnienie mojego brata Zygmunta o jego spotkaniu z *berlingowcami*.

– Po upadku powstania i zajęciu Warszawy przez Armię Czerwoną, wyłapywano nas powstańców jak szczury. Robili to funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Popędzili nas do Błonia i zamknęli w obozie. Rana na szyi dokuczała mi niemiłosiernie. Byliśmy głodni, wycieńczeni i przerażeni sytuacją, której nie byliśmy w stanie pojąć. W naszą stronę padały kamienie, bo – według strażników – konwojowano „konfidentów niemieckich”. Później wywieziono nas do Warszawy do niezniszczonego domu z filarkami przy ulicy Bema. Po drugiej stronie ulicy stał żołnierz polski w rogatywce – berlingowiec. Poszedł do nas i spytał, czy nie mamy papierosów. Któryś z naszej grupy krzyknął, że tu są sami akowcy i to my nie mamy papierosów. – Za co was złapano? – zapytał. – Za te dwie literki AK, odpowiedzieliśmy. Gdy rozpiął swój płaszcz zauważyłem, że pod spodem nie miał nawet koszuli. Tak to wojsko wyglądało. Byli tak samo zdesperowani jak my. W oczach tylko chęć walki i odwetu na Niemcach. I na Berlin. Może był jednym z wielu, którzy wpływ przepływali Wisłę, aby pomóc walczącej Warszawie. Tego się nie dowiedziałem, bo szybko nas wywieziono.

Jednym z bohaterów walczących w armii Z. Berlinga był mój rodak z Sochaczewa, żołnierz, oficer, uczestnik bitwy nad Bzurą – pan Mikołaj Troicki. Być może to jemu zawdzięczamy święto polskiej flagi. Aresztowany w 1943 r. w Warszawie w czasie łapanki i wysłany „na roboty” do Berlina. Później trafił do okupowanej przez Niemców Jugosławii. Uciekł, dosłownie spod noża, od ustaszowców i walczył w oddziałach marszałka J. Broz Tito. Po wyzwoleniu

niu Belgradu, dzięki pomocy rosyjskiego oficera, przedostał się do Polski, do wyzwolonego już Lublina. Tam odbył przyspieszony kurs oficerski. Znudzony licznymi wykładami, które musiał zaliczyć, rwał się do walki, mówiąc: „strzelać to ja już potrafię, a patriotyzmu nauczyli mnie w przedwojennym gimnazjum w Sochaczewie”. I tak, już jako oficer I Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki, przeszedł szlak bojowy przez Wał Pomorski i Kołobrzeg do Berlina. Szczególnie ważnym dla Mikołaja Troickiego i jego czterech kolegów stał się dzień 2 maja 1945 r. W pobliżu parku Tiergarten dostrzegli kolumnę z trzymetrową figurą anioła odlaną z armat, które Prusacy zdobyli na Francuzach podczas wojny 1871 r. Podeszli do niej w pięciu, oprócz M. Troickiego byli to: A. Jabłoński, A. Karpowicz, E. Mierzejewski i K. Otap. Po krętych schodach weszli na szczyt, ściskając w rękach karabiny i wykonaną z przypadkowych tkanin białoczerwoną flagę. Gdy ją na szczycie kolumny zawiesili „Za Polskę, za Warszawę, za zwycięstwo!”, zapłakali.

Na przełomie lat 40. i 50. Mikołaj Troicki był ofiarą stalinowskich represji. W latach 80. ubiegłego wieku odwiedził Opinogórę, już jako zasłużony kombatant w randze majora. Tak się złożyło, że jako przyjaciel mojego taty często bywał w naszym domu w Sochaczewie. Był ojcem chrzestnym mojej ciotecznej siostry (Janki Górskiej), którą wraz z moją mamą trzymali do chrztu. Ilekroć przybywał do nas z wizytą, towarzyszyła mu jego młodsza córka Lusia, która była moją rówieśnicą. Barwne opowieści pana Mikołaja „przebijały” wszystkie inne, choć ta historia z flagą była wtedy kontrowersyjna – politycznie niewygodna – i mało znana. W latach 80. w jednej z ksiąg pamiątkowych opinogórskiego muzeum pozostawił swój autograf. Był już zupełnie innym człowiekiem. Cóż, bohaterowie też bywają zmęczeni. Zmarł w Warszawie w 1989 r., został pochowany na Powązkach.

Kartka z pamiętnika 32

Zakłąć rzeczywistość

Opinogóra 27 marca 2020 r. Przed chwilą wysłuchałam z Watykanu modlitwy Ojca Świętego w intencji przezwyciężenia koronawirusa, transmitowanej przez polską telewizję. Dzięki jej za to. Słowa papieża refleksyjne, pełne bólu i smutku. I powtarzające się pytanie: *Chcemy być zdrowi w tym chorym świecie?* Z tego jednego pytania można byłoby rozwinąć cały esej. Nie potrafię tego uczynić. Wiem jednak, że wszystko ma swój cel i sens. To, co się miało stać, to się stało. Ale to przecież minie, bo... wszystko przemija.

A tu za oknem – jeszcze nieśmiało – puka wiosna oznajmiając swe przybycie. Jeszcze w zaroślach nie słychać słowika (o ile pozwołą mu na to koty) i wtórujących mu świerszczy, ale ona już przyszła. I, jak zawsze, uświadomi nam piękno budzącego się po zimie życia. Budzącego się mimo wszystko, tak, jak po nocy przychodzi piękny dzień. Jak poetycko wyśpiewali to kiedyś wspaniali „Skaldowie”: *Wiosna, cieplejszy wieje wiatr. Wiosna, znów nam ubyło lat. Wiosna, wiosna wkoło...*

Przenieśmy się zatem, choć na chwilę, w krainę poezji i muzyki, która może być dla nas remedium na wszelkie utrapienia. Bo ona łagodzi i koi smutki. Dlatego dzisiaj „garść” wspomnień poświęconych koncertom poezji i muzyki w opinogórskim „gnieździe” romantyzmu.

Jak to się zaczęło? Trudno uwierzyć, że było to tak dawno. Wielu artystów i stałych bywalców pierwszych opinogórskich koncertów już nie żyje. Wielu z ówczesnych gości przyjeżdża do Opinogóry ze swoimi wnukami, przekazując im potrzebę estetycznych doznań i wzruszeń. Przez sale koncertowe mieszczące się na początku w zameczku, później w odremontowanej oficynie, „przeszła” cała plejada znakomitych wykonawców. Starannie dobierana do muzyki poezja zjednywała coraz to większe grona sympatyków tych koncertów. To wśród nich zrodziła się myśl utworzenia Towarzystwa Miłośników Opinogóry.

Działalność koncertową w latach 70. ubiegłego stulecia rozpoczął Chór Akademicki Uniwersytetu Warszawskiego pod kierownictwem znakomitego Stanisława Sutkowskiego. Kolejne lata przyniosły prezentacje najlepszych ówczesnych aktorów scen warszawskich, łódzkich i krakowskich.



Fot. 51. Opinogóra 1971 r.
Grupa studentów z *Teatru
Poezji* Uniwersytetu War-
szawskiego.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.

I tak z „Listami do ojca” (listami Z. Krasieńskiego) wystąpił w Opinogórze znany aktor Henryk Boukołowski, któremu towarzyszyli artyści Warszawskiego Teatru Muzycznego, wykonujący utwory Bethovena, Haydna i Mozarta. Wystąpił też po raz pierwszy ze swoim znakomicie opracowanym spektaklem norwidowskim Daniel Olbrychski. Sala dosłownie „pękała w szwach”, a ja wybaczyłam aktorowi „po cichu” rolę Kmicica. Nie tak go sobie wyobrażałam, choć po tym znakomitym spektaklu wybaczyłabym mu nawet rolę... Oleńki. Później niezapomniana *Antygona*, w którą wcieliła się Halina Mikołajska. Na długo w pamięci mojej i widzów pozostała jej wspaniała interpretacja i kunszt aktorski. Wkrótce w Opinogórze wystąpili również inni znakomici aktorzy: Elżbieta Barszczewska (znana przedwojenna aktorka), Ryszarda Hanin, Leszek Herdegen, Stanisław Niwiński, Pola Raksa, Edmund Fetting, Jerzy Kamas, Ewa Wiśniewska, Ignacy Gogolewski, Wanda Małyncz, Anna Ciepielewska, Aleksandra Zawieruszanka, Danuta Nagórna, Ryszard Barycz i inni.

Aktorom z reguły towarzyszyli muzycy z repertuarem dobranym odpowiednio do prezentowanych poezji. Od Chopina, Rachmaninowa do Lehara.

Przyjeżdżali też do Opinogóry najlepsi ówcześni soliści operowi. Wymienić tu należy: Bognę Sokorską – słynnego „słowika warszawskiego”, której towarzyszył Paulos Raptis, Bernarda Ładysza, Andrzeja Hiolskiego, Ewę Podleś, Wandę Bargielowską i Grażynę Brodzińską. Byli tu także znani muzycy kon-



Fot. 52. Artyści warszawscy
Ryszard Barycz oraz Lidia Juranek
w Opinogórze, lata 70. XX w.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.

certujący nie tylko w Polsce, ale poza granicami naszego kraju, Jacek Weiss, Jan Kadłubski, Zdzisław Skwara, Tomasz Radziwonowicz, Katarzyna Duda, Maria Madey, Zdzisława Donat, Maria Korecka, Marta Gozdecka a także Urszula Trawińska-Moroz.

Wielu z nich przyjeżdżało do Opinogóry w następnych latach wielokrotnie. Inni przyjeżdżali prywatnie ze swoimi bliskimi, aby „odetchnąć” atmosferą romantyzmu (A. Osiecka, W. Młynarski, J. Gruza i inni).

Przyszły lata 80. Krótka przerwa wynikająca ze stanu wojennego, choć 13 grudnia 1981 r. odbył się koncert w wykonaniu pani Anny Wesołowskiej (córką znanego lekarza urologa), której towarzyszył pianista Jan Kadłubski. Nieliczna publiczność, zdesperowani artyści i gospodarze, ale tradycji stało się zadość.

Po tej przerwie publiczność poznała nowych artystów, z nowym repertuarem. Z anegdotami z własnej książki Igor Śmiałowski przybliżył specyficzne kulisy teatru i filmu. Mariusz Dmochowski, niepisany „król” wśród aktorów, dał taki popis polszczyzny z „Pana Tadeusza”, że widzowie długo nie zapomnieli, iż Polacy to naprawdę nie gęsi. W Opinogórze występowali wówczas również: Olgierd Łukaszewicz, Henryk Machalica, Andrzej Seweryn, Katarzyna Łaniewska, Mieczysław Voit, Ryszard Bacciarelli, Barbara Horawianka, Marek Perepeczko, Krzysztof Kolberger, Zofia Rysiówna. Wspomnieć też trzeba zaprzyjaźnioną z nami od lat Barbarę Wachowicz – „Basię z Podlasia”. To ich



URSZULA TRAWIŃSKA-MOROZ
coloratura soprano

Fot. 53. Urszula Trawińska-Moroz
(pod fotografią odręczna dedykacja
artystki).

Źródło: Ze zbioru B. Królik.



Fot. 54. Dyrektor Janusz Królik
przedstawia aktorkę
Annę Milewską.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.

słowa napawały nas wówczas optymizmem i nadzieją a dzięki nim koncerty opinogórskie stawały się coraz bardziej znane.

Koncerty styczniowe rozpoczynano zwykle pastorałkami. Jeśli z „kolędowaniem” do Opinogóry przybywał Wojciech Siemion, atmosfera zimowa tałała od radości i podziwu dla kunsztu wykonawcy. W następnych miesiącach, jeżeli były jakieś ważne uroczystości rocznicowe czy okolicznościowe, poezja i muzyka dostosowane były odpowiednio do treści spektaklu. I tak w latach 90. Janusz Zakrzeński świetnie „udawał” marszałka Piłsudskiego w widowisku „To jedno Polska”. Inni znakomici artyści: Laura Łącz, Damian Damiński, Katarzyna Jędrusiak, Anna Nehrebecka, Anna Seniuk, Marek Barbasiewicz, Andrzej Ferenc i inni wykonawcy prezentowali nie tylko poezję polską, ale także innych narodów: hiszpańską, francuską, skandynawską, rosyjską, węgierską. Pod koniec lat 90. i na początku nowego wieku przyjeżdżać zaczęli do Opinogóry kolejni artyści, znani również z telewizyjnych seriali. Urodziwa Jagna z ekrani-



Fot. 55. Anna Seniuk z zespołem „CON-FUOCO” w Opinogórze (w oficynie dworskiej).

Źródło: Muzeum Romantyzmu.

zacji „Chłopów” Reymonta, czyli Emilia Krakowska, młoda poetka i aktorka Marta Klubowicz, Sławomira Łozińska, Tomasz Stockinger, Maciej Rayzacher, Krzysztof Wakuliński, Jerzy Bończak, Ewa Dałkowska, Józef Duryasz i inni. Przyjeżdżali również artyści wówczas mniej znani, ale ambitni i zdolni o których będzie głośno.

Koncerty finansowane były ze środków wojewódzkich (województwa warszawskiego i ciechanowskiego), później z Urzędu Marszałkowskiego Województwa Mazowieckiego. Bez tej pomocy skromny budżet muzeum nie poradziłby sobie. Warto dodać, że koncerty organizowane były m.in. za pośrednictwem Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego.

Tak wyglądało to ze strony widowni. W ciągu tych lat za kulisami bywało różnie. Niekiedy z niepokojem wyczekiwano, czy artyści, mimo gołodełdzi, przyjadą z Warszawy na czas, czy dopisze publiczność. Czasem zawodzili bywalcy i... trzeba było wyciągać zaprzyjaźnione osoby z ciepłych łóżek a artystów zabawiać własnymi anegdotami, aby sala się zapełniła. Zwykle w lutym przeżywaliśmy tego rodzaju emocje. Czasem zdarzało się, że pianista zabrał nie te nuty, aktor w podręcznej bibliotece szukał bardziej odpowiednich tekstów, śpiewakowi tuż przed koncertem „wysiadło” gardło, czy śpiewaczka pokłóciła się z pianistą i nie chciała wystąpić... Zdarzały się czasem zabawne sytuacje. Szekspirowską Julię trzeba było ubrać w odpowiednia suknię (ściągniętą z manekina Elizy – rekwizytu muzealnego) i modlić się, żeby nie pokazała pleców,

bo suknia była znacznie za ciasna i szarfa nie maskowała „golizny”. Czasem trzeba było opatrzyć skaleczonego aktora, uspokajać młodą śpiewaczkę *nervosolem*, czy ratować *aspiryną*. Wszystko jednak kończyło się z reguły dobrze, ku zadowoleniu publiczności i gospodarzy.

Dzisiaj to już tylko okruciny wspomnień, odłożonych w mojej pamięci i kalendarzowych notatkach, które powoli bledną i oddalają się. Z czasem jednak powracają jak dobre duchy, aby nie ulec całkowitemu zapomnieniu.

Kończąc, wspomnę jeszcze o niezapomnianym 400-setnym (jubileuszowym) koncercie, który odbył się 13 grudnia 2003 r. Wykonawcy byli znakomici. Repertuar, „Śladami Jana Kiepury”, przybliżył publiczności piękne utwory Rossiniego, Moniuszki, Niewiadomskiego, Wieniawskiego i innych znanych twórców. Czterech tenorów, z samym mistrzem R. Węgrzynem, „brzmiało” niesamowicie. Młodzi studenci (M. Zajdel, P. Kasprzycki z laureatem I nagrody na Festiwalu im. J. Kiepury w Krynicy – Tomaszem Szlenkierem), pod baczным okiem swojego profesora, dali niesamowity popis. Artystom przy fortepianie towarzyszyła B. Chwastowska. Bisom, owacjom i wrzuseniom nie było końca.

A dzisiaj? No, cóż! Dzisiaj, tak jak wszyscy, czuję ten dotkliwy nakaz izolacji (choć jeszcze z własnego wyboru) uciekając się do wspomnień, czasem do literatury czy muzyki. Trzy lata moich kontaktów z bakteriologią wyrobiło we mnie nawyk przestrzegania zasad epidemiologicznych i staram się do nich dostosować.

Oczywiście, że się buntuję! Żal mi „utraconej starości”, żal mi także, że moje ukochane święta spędzę wirtualnie, z życzeniami „na odległość”. Żal, że nie uściskam moich wnuków osobiście. Żałuję, że po raz pierwszy nie będę mogła uczestniczyć w „Żywej Eucharystii” – w moim kościele. Znajdę na to radę i nie poddam się! Trzeba mieć zawsze nadzieję. A, że się żałuje? Znacznie gorzej byłoby nie żałować tego, czego powinno się żałować (to fragment z kazania wygłoszonego w moim kościele).

Kartka z pamiętnika 33

Z Żelazowej Woli do Opinogóry

*L*istopad 2019. Coraz krótsze dni i dłuższe wieczory. Jesienne dni i jesienne chandry skłaniające do refleksji nad kruchością życia i przemijaniem. To, że przemijanie i odchodzenie jest nieuniknione, prędzej czy później każdy sobie uświadamia, ale zawsze z przekonaniem, że za wcześnie. Bo życie jest nieprzewidywalne. Czasem wpędza w depresję i sprawia ból, ale też przynosi radości i niespodzianki. Przynosi też wspomnienia, które pozwalają choć na chwilę przywołać „duchy nieobecnych” i niejako ich ożywić.

Kilka dni temu pani Zosia Chojnacka, jedna z uczestniczek wycieczki zorganizowanej przez „Klub” działający w Dzboniu, wspominając o Żelazowej Woli, którą zwiedzano, nie domyślała się jak wiele wywołała we mnie wzruszeń i wspomnień. Przywołała bowiem moje dzieciństwo i moją młodość. Pierwsze koncerty, pierwsze zwierzenia, pierwsze sympatie. Ławeczkę ukrytą w kępie jaśminów nieopodal dworku i słowicze trele. Tu poznałam mojego przyszłego męża, tu też „na żywo” zobaczyłam swojego młodzieńczego idola.

Byłam w wieku, kiedy bohaterowie ekranu budzą pierwsze niewinne uczucia. Moim wybrańcem był znany i popularny wówczas francuski aktor Gérard Philipe. W tym uczuciu nie byłam osamotniona. Miałam mnóstwo rywalek. Aby go zobaczyć, „urwałyśmy” się z lekcji, ponosząc nawet pewne konsekwencje. Ale warto było! Do dziś pamiętam jego roześmianą twarz, choć wkrótce przyszło nam opłakiwać jego śmierć. Zmarł w wieku zaledwie 37 lat, pozostawiając po sobie ogromny dorobek filmowy i teatralny i... złamane serca. Pozostały w niektórych pamiętnikach jego autografy i... życie toczyło się nadal.

Należąc do grona „muzealnych korników” czuję się zobowiązana napisać nieco o historii Żelazowej Woli. Kiedy w 1926 r. odsłaniano w Warszawie pomnik Fryderyka Chopina, uczestnicy uroczystości, szczególnie jej organizatorzy, znaleźli się w niemałych opałach. Doszło nawet do skandalu. Nikogo bowiem, zwłaszcza zagranicznych gości, nie zaproszono do Żelazowej Woli, która była wtedy bardzo zaniedbana. Ówczesna prasa donosiła: – *Izba, w której urodził się Chopin nie ma ani sufitu ani podłogi. Drzwi i okna zabite deskami, popękane ściany ociekają wilgocią.*

Kiedy w roku 1810 urodził się Fryderyk Chopin, Żelazowa Wola była własnością hr. Skarbków. Ojciec kompozytora Mikołaj Chopin był wówczas guwernerem dwóch synów hrabiego Skarbka. Tu poznał swoją przyszłą żonę (krewną Skarbków) Justynę z Krzyżanowskich, która prowadziła im dom. Połączyło ich nie tylko uczucie, ale i pasja do muzyki. Matka Fryderyka grała na pianinie, ojciec towarzyszył jej grą na flecie. Kiedy rodzina Skarbków zbankrutowała, wszyscy przenieśli się do Warszawy. Sama miejscowość popadała w ruinę, zmieniając właścicieli. Lata mijały. Miejsce narodzin F. Chopina nabrało rozgłosu, gdy w roku 1891 do Żelazowej Woli przybył znany wówczas rosyjski muzyk M. Bałakiriew. Załamany widokiem ruiny pisał: – *Dom w stanie skrajnego opuszczenia, mysie brudy na przepróchniałych podłogach, dzieże z mlekiem, główki kapusty i zgniłe jabłka*. Zareagowano natychmiast. Powołano komitet i postanowiono odkupić od właściciela majątek, wyceniany na 5 tys. rubli. Niestety zabrakło pieniędzy. Postawiono więc na posesji żelazny pomnik w stylu nagrobowym. Uroczystość była okazała. Przybyło około dwa i pół tysiąca osób, przedstawiciele ziemiaństwa z pobliskich miejscowości, mieszcianie i chłopci. Karety i furmanki ledwo mieściły się na placu przed posiadłością. Sensacje wzbudził oddział cyklistów ubranych na sportowo (w pumpy), którym przewodził tenor Operetki Warszawskiej pan Misiewicz. Było kolorowo i wesoło. „Brakowało jedynie karawanu” – jak donosiła ówczesna prasa. Niewątpliwą ozdobą tego spotkania był rówieśnik F. Chopina, wiekowy Antoni Krysiak, opowiadający o swoim dzieciństwie, które spędzał w Żelazowej Woli, przywożony przez rodziców do... zabawy z małym Fryderykiem.

I wojna światowa przyniosła kolejne zniszczenia. Ocalała jedynie oficyna. Kiedy w 1928 r. powstało Towarzystwo Przyjaciół Domu Chopina, wykupiono posiadłość z sześcioma morgami gruntu i rozpoczęto odbudowę dworku. Zaczęły napływać kolejne pieniądze. Na apel o wsparcie pierwsi odpowiedzieli Japończycy. Prace trwały trzy lata. Rozpoczęto też urządzenie wnętrza, parku i grodenie terenu. II wojna światowa na pięć lat przerwała działalność. W roku 1945 upaństwowiono zabytek i wyremontowana Żelazowa Wola jako muzeum rozpoczęła swój nowy żywot.

Priorytetem w działalności muzeum stały się niedzielne koncerty w wykonaniu wybitnych artystów. Sama miałam ten niezwykle zaszczyt poznać niektórych z nich. Dla mnie samej były to tylko nazwiska znane z plakatów i afiszy lub ilustrowanych pism. Nie zdawałam sobie wówczas sprawy z jaką historią przyszło mi się zmierzyć. Wymienię kilka: niezapomniana Edwarda Chojnacka, Halina Czerny Stefańska, Barbara Hesse Bukowska, Jan Kadłubiski, Adam Harasimowicz i wielu, wielu innych znakomitych artystów. Z niektórymi spotykałam się jeszcze w Opinogórze.

Jak wiadomo Żelazowa Wola była przysłowiowym „oczkiem w głowie” ówczesnych władz. Wszystkie bardziej lub mniej oficjalne delegacje kierowane były do nowo powstałego muzeum. Wielkim wydarzeniem był przyjazd znakomitego artysty Artura Rubinsteina. Było to pod koniec lat 50. ubiegłego stulecia. Pozwólmy to wydarzenie zrelacjonować słowami jego świadka, ówczesnego kustosa... *mojego męża! – Mistrz, po krótkim koncercie, spacerował po parku, bez tłumów (była to wizyta prywatna), gdzie nikt nie śmiał zakłócać atmosfery ani narzucać się z ofertą o historii czy życiu codziennym naszego muzeum. Kiedy po krótkiej, grzecznościowej wymianie zdań mistrz podał mi na pożegnanie swoją dłoń, doznałem szczególnego wzruszenia. Jego dłoń była tak ciepła i delikatna, jak dłoń mojego ojca. A kiedy przez ułamek sekundy przebiegła myśl, że są to przecież ręce, dzięki którym tyle wzruszeń i emocji przeżywał cały świat, poczułem się naprawdę dziwnie. Po chwili A. Rubinstein wsiał do wspianego auta i odjechał. Bramę otworzył mu pan Pawlak, stary dozorca z sumiastym wąsem, który uśmiechnął się i pokłonił odjeżdżającym. I w zasadzie na tym skończyłaby się ta wizyta w chopińskim dworku, gdyby nie komiczny jej epilog. Otóż po 15. minutach wróciła czarna limuzyna Artura Rubinsteina, z której wysiadł on sam i sędziwemu dozorczy w bramie wręczył... dwa złote. Przypomniał sobie prawie już pod Sochaczewem, że popełnił nietakt i starał się to naprawić, choć za dwa złote niewiele można było kupić. Ale mistrz nie miał żadnego rozeznania w pieniądzach, szczególnie w naszej walucie, która szybko ulegała inflacji.*

Niemalą atrakcją Żelazowej Woli była zabawna menażeria: islandzki konik (taki większy kuc), pies Aza i osiołek Makary. Była to iście hultajska trójka! Turyści pamiętali te sympatyczne zwierzęta, szczególnie osiołka Makarego, dlatego kustosz postanowił sprowadzić do parku jego następcę. Makary (duplikat pierwszego) miał podobny temperament i ośli upór. Stał się szybko członkiem pracowniczej brygady muzeum. Poza lenistwem i uporem miał jedną wielką pasję – miłość do muzyki. – Muzykalny, mówiono wokół. Było to jednak dość kłopotliwe, zwłaszcza w czasie niedzielnych koncertów. Bywało, że w dźwięki muzyki wdzierał się potworny ryk Makarego. Pryśkał nastrój, wybuchała eksplozja śmiechu, ale koncert trwał nadal. Zamknięty w budynku gospodarczym „drań” miał dobry słuch. Czasem wykorzystywany był przez pracowników do przeróżnych figli.

Byłem młody (wspominał kustosz), marzycielsko usposobiony, wiele godzin spędzałem w otwartym oknie słuchając odgłosów parku i śpiewu słowików. Pewnego razu w nocy usłyszałem pod oknem na tarasie stukot kopytek naszego osiołka. Scena jak z kabaretu. Na taras wjechali dwaj aktorzy – Makary a na nim jeden z dyżurujących nocnych pracowników, ubrany w długą, białą koszulę. Nastrój parku uleciał w jednej chwili. Jeździec wytrzeźwiał w jednej chwili, kiedy na mój pełen oburzenia głos osioł odpowiedział tak przeraźliwym rykiem, że mieszkańcom pobliskiego So-

chaczewa przerwał błogi sen. Pracownik otrzymał nagane, osioł trafił do komórki na pobyt o chlebie i wodzie. Niezbyt długo trwała kara, bo przyjaciele „łobuza” – konik i pies, tak długo dobijali się do komórki, z której dochodziły żałosne jęki, że trzeba było więźnia uwolnić.

Zupełnie inna, choć też ciekawa historia zdarzyła się z konikami, które były dość egzotyczne jak na Żelazową Wolę. Była darem dla ówczesnego premiera Józefa Cyrankiewicza, który przebywał z wizytą na dalekiej północy. Żelazowa Wola otrzymała dwa takie islandzkie koniki, białego i czarnego. Zwierzęta te sprawiały duży kłopot, ponieważ w rodzinnym kraju żywiły się tylko rybami i suchym mchem. Tu były skazane na polską kuchnię i jeden z nich nie przeżył eksperymentu. Drugiego wypuszczono do parku, aby sam znalazł coś do jedzenia. Dawano mu tylko chleb, wodę i jakieś ziarna. Obawiano się, że wkrótce podzieli los swojego towarzysza, ale tak się nie stało. Mając dużo swobody, znalazł kiedyś na wysypisku kompostu beczkę ze starymi kiszonymi ogórkami, które mu posmakowały. Pracownicy zaczęli karmić nimi mocno już osłabione zwierzę. Napelniali owsem ogórki i tak przyzwyczajali konika do treściwszej paszy. Eksperyment poskutkował, ale był jeden warunek, owies musiał być od jednego tylko rolnika. Kupując owies, trochę przepłacano, ale z innego źródła konik nie chciał owsa jeść. Wyraźnie odżył, stał się niezwykle sympatyczny, a na zimę urosła mu długa broda i grzywa sięgająca ziemi.

Pewnego razu do Żelazowej Woli przyjechali dwaj lekarze weterynarii z dalekiej Mongolii. Towarzyszył im w charakterze przewodnika i tłumacza dystyngowany starszy pan. Lekarze, ubrani byli wizytowo w czarne garnitury i jesionki, na głowach kapelusze a na szyjach zawieszone aparaty fotograficzne marki „Zorka”. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby to była jesień, ale był piękny, majowy dzień. Lekarze byli honorowymi gośćmi ówczesnego przewodniczącego Rady Państwa Aleksandra Zawadzkiego, któremu w darze przywieźli dwa wielbłądy. Strach padł na dyrekcję muzeum, obawiającą się kolejnego powiększenia menażerii. Dla gości zorganizowano koncert, którego w wielkim skupieniu i kamiennymi twarzami wysłuchali. Kilka pytań i kilka odpowiedzi i... rozpacz tłumacza: – Jeżdżę z nimi już ponad dwa tygodnie i tylko raz skorzystali z aparatów, robiąc zdjęcia we wrocławskim ZOO. Czym ich tu zainteresować? – Oczywiście naszą menażerią, proponuje kustosz. – Chcecie panowie obejrzeć konia, który żywi się tylko rybami i mchem, a na zimę rośnie mu długa broda? Zgodzili się bardzo chętnie, lekarze wyraźnie się ożywili i aparaty fotograficzne poszły w ruch. Aby uhonorować gości, zaprezentowano też pozostałe zwierzęta z osiołkiem i Azą – owczarkiem podhalańskim występującym głównie w Polsce. Goście byli uszczęśliwieni, czemu dali wyraz, wpisując do muzealnej księgi pamiątkowej, że był to jeden z najpiękniejszych dni podczas ich wizyty w naszym kraju.

I tak dwa magiczne miejsca związały nas dożywotnio z romantyzmem. Przyszło nam tylko zamienić Żelazową Wolę na Opinogórę. – Czy był to przypadek? Nie sądzę. Podążyliśmy ścieżką za następnym romantykiem Zygmuntem Krasińskim. Ci dwaj panowie znali się w okresie dzieciństwa, wspólnie koncertowali, budząc podziw mieszkańców Warszawy. Przez jakiś czas nawet wspólnie mieszkali, bo państwo Chopinowie wynajmowali mieszkanie w pałacu Krasińskich. Było to wtedy, gdy ojciec Fryderyka był nauczycielem języka francuskiego w pobliskim liceum, do którego uczęszczał także Zygmunt Krasiński.

Na podstawie własnych materiałów i wspomnień rodzinnych.

Kartka z pamiętnika 34

Nie wszystek umrę...

W tym roku (2020) w dniu 23 października minie dziesięć lat od śmierci mojego męża Janusza Królika. Spoczywa na cmentarzu opinogórskim obok szwoleżerów, których pamięci poświęcił ostatnie lata swego życia. Na nagrobku widnieje napis *Non omnis moriar*. – Co znaczą owe słowa, pytają czasem ludzie mijający grób. Wyjaśniam: *Nie wszystek umrę* – zapożyczone z sentencji Horacego. Czy na nie zasłużył? W moim mniemaniu – tak. Zasłużył w całej pełni. Swoją pracą, pasją, zaangażowaniem. Życiem.

Opinogórze poświęcił dojrzałe i późniejsze lata swojej uczciwej i rzetelnej pracy. Był człowiekiem z innej epoki. Dzisiaj nie przystającym do współczesnych wymogów tzw. człowieka nowoczesnego, dla którego idealizm czy romantyzm to... puste słowa. Kim więc był? Postaram się to wyjaśnić. Może pomogą mi jego słowa, które miały być wstępem do pamiętnika, którego nie dokończył:

Rodziców miałem kochanych i kochających. Wychowywali mnie w duchu katolickim, na człowieka prawego i dobrego Polaka. Pamiętam, jak w Mińsku Mazowieckim, wspólnie z ojcem i moim starszym bratem Mietkiem, oglądaliśmy defiladę 7 Pułku Ułanów przed generałem Kazimierzem Sosnkowskim, lub w Warszawie na Polach Mokotowskich wspaniałe parady wojskowe przed marszałkiem Edwardem Rydzem-Śmigłym. Pamiętam także uroczystości sprowadzenia do Warszawy relikwii św. Andrzeja Boboli. W latach trzydziestych w naszym domu często mówiło się o Józefie Piłsudskim, którego ojciec był gorącym zwolennikiem. W słuchawkach kryształkowego radia często rozbrzmiewały pieśni legionowe.

Długa droga wiodła mego męża do Opinogóry. Dzieciństwo w Siedlcach, młodość w Warszawie. Studia na Wydziale Historii Sztuki Uniwersytetu Warszawskiego... i praca. Początkowo (w latach 1953–1959) w Państwowym Instytucie Sztuki w Dziale Dokumentacji i Inwentaryzacji. W tym czasie eksternistyczne studia na Akademii Sztuk Pięknych w pracowni prof. Eugeniusza Arcta. Praca (inwentaryzacja) w terenie, na Podlasiu i w województwie rzeszowskim. Z Warszawą nie zrywa kontaktu. Dla młodego człowieka dużym

wydarzeniem stał się w 1955 r. udział w organizacji ogólnopolskiej konferencji w sprawie badań nad sztuką polską, a także pomoc w pracach organizacyjnych V Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie. Do 1959 r. inwentaryzacja w powiecie siemiatyckim w województwie białostockim i udział w plenerach malarskich. Później (w 1960 r.) roczna praca w Chrześcijańskim Stowarzyszeniu „Ars Christiana” na stanowisku plastyka projektanta. Praca dobrze płatna, choć uciążliwa – od godz. 8 do 16 rysowanie na „akord”. To nie dla niego. Szuka nowych wyzwań.

Przyjmuje kierownictwo w zorganizowanym już muzeum w Żelazowej Woli. Cieszył się, że... wkracza w XIX wiek. Niestety, była to praca czysto administracyjna – przy biurku. Za mało możliwości dla człowieka twórczego. Udaje mu się jedynie opracować i – po wielu trudnościach – rozpocząć realizację trasy „Dylizansem z Żelazowej Woli do Brochowa” – miejsca chrztu Fryderyka Chopina. Po wielu latach wróci do podobnego pomysłu, ale już... z Opinogóry do Pałuk, Krasnego i Zielonej.

Rok 1962 przynosi duże zmiany w życiu niepoprawnego romantyka. Małżeństwo i propozycja pracy w Opinogórze. To o niej powie po latach „Opinogóra – moja miłość”. Nowo powstałe tam muzeum potrzebuje kreatywnego dyrektora. Na terenie północnego Mazowsza były wtedy jeszcze długo białe plamy jeśli chodzi o muzealnictwo. – To coś dla mnie, powiedział i zgodził się na... dwa lata pracy. Rozpoczęły się intensywne poszukiwania pamiątek po Krasińskich, gromadzenie księgozbioru, zakupy eksponatów z epoki. Powstają pierwsze, jeszcze czarno-białe, pocztówki, informatory, pojawiają się dary. Po wielu negocjacjach, z Powiatowego Domu Kultury w Płońsku muzeum otrzymuje resztkę ocalałego z jednego z XIX wiecznych pałaców na Mazowszu księgozbioru z dwiema neogotyckimi szafami. W 1966 r. Janusz Królik zostaje delegatem na Kongres Kultury Polskiej w Warszawie. To nie lada zaszczyt. Przedstawia tam projekt (przyjęty) organizowania przy szkołach izb muzealnych. Gromadzone w nich lokalne eksponaty mogłyby zasilić w przyszłości powstające muzea. Sam motorowerkiem objeżdża wszystkie szkoły w powiecie ciechanowskim. Na zlecenie Ośrodka Dokumentacji Zabytków w Warszawie wykonuje korektę inwentaryzacji zabytków z powiatów: ciechanowskiego, makowskiego, przasnyskiego i pułtuskiego. W Puławach przedstawia władzom projekt organizacji miasteczka miniatur architektonicznych na wzór hollenderskiego Madurodam. Rzemieślnicy proponują bezinteresownie, w ramach prac dyplomowych swoich podopiecznych, wykonanie makiet zerowych zabytków z całej Polski. Tereny nadnarwiańskie, nieopodal zamku – przyszłego Domu Polonii, są zdaniem autora idealnym miejscem do takiej atrakcyjnej prezentacji. Z jakiegoś powodu projekt upada. Szkoda. – Coś za bardzo młody człowiek przysparza problemów władzy, za bardzo się „króliczy”. Niech pra-

cuje nad Opinogórą. Tak mówiła ówczesna dyrektor Wydziału Kultury WRN w Warszawie A. Forbertowa.

Lata 60. ubiegłego stulecia to lata wzmożonej pracy. Opinogórskie muzeum przejęło od miejscowego PGR park, oficynę z lokatorami, domek nad stawem, gdzie mieszkali Helena i Adolf (dawny ogrodnik hrabiego) Wisialscy. Był też sad z ponad stu drzewkami z owocami o niebiańskim smaku, trochę uli, inspektów z małą cieplarenką. – Jak by tu wykorzystać potencjał tkwiący w ludziach i ziemi, aby materialnie wspomóc muzeum? – zastanawiał się kustosz. Prowadził konsultacje z ogrodnikiem hrabiego, który mając 80 lat i ponad 60-letnią praktykę proponował sadzić... japońskie kartofelki „Stachis”. Nikt z ówczesnych fachowców nie znał takiej odmiany. Godzą się więc na sadzonki... kapusty. Niestety, i z nich również nic nie wyszło. Cóż, marzenia z rzeczywistością nie zawsze bywają zgodne. Aby rozwijać działalność muzeum, trzeba było walczyć o dotacje państwowe.

Trwały pertraktacje z kolekcjonerami, zaczynało przybywać coraz więcej eksponatów, pamiątek po Krasieńskich. Nawiązano kontakt z rozproszonymi po świecie przedstawicielami tej zasłużonej dla kraju rodziny, od której muzeum otrzymało bardzo ciekawą kolekcję portretów przodków z Mszany Dolnej, wcześniej znajdujących się w Regimentarzędzie na Ukrainie. Rozpoczęto też grodzenie parku, wyremontowano domek z kolumnami, rozpoczęto prace parkowe, rekonstrukcje stawów. Wszystko wykonywano systemem gospodarczym, przy znikomej liczbie pracowników. Prace te ukończone zostały w roku 1975.

Opinogóra zaczynała coraz bardziej zyskiwać na znaczeniu wśród muzeów mazowieckich. W 1970 r. rozpoczęto cykl koncertów muzyki i poezji romantycznej. W tym samym roku Janusz Królik włącza się aktywnie w prace Ośrodka Badań Naukowych Mazowieckiego Towarzystwa Kultury w Warszawie. W roku 1971 rozpoczyna przygotowanie rozprawy doktorskiej na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego pod kierunkiem prof. Andrzeja Zahorskiego. Temat rozprawy: *Wincenty Krasieński jako gospodarz i mecenas*. Niestety, śmierć promotora oddaliła te plany.

W roku 1974 opracowano i wydano przewodnik pt. *Opinogóra*. Rok później przygotowano w ramach „Panoramy Trzydziestolecia” opracowanie *Mazowsze, Kurpie, Podlasie – Warszawie* i prezentacje wystawy w Muzeum Narodowym. W muzeum wykonywano oczywiście liczne prace bieżące.

W pierwszych latach po utworzeniu województwa ciechanowskiego, nastąpiły znaczące zmiany organizacyjne. Janusz Królik został dyrektorem nowo utworzonego Muzeum Okręgowego. Całkowite nieporozumienie i „niewypał”. Ta decyzja przyniosła mu wiele kłopotów. Trzeba dodać, że w tym czasie przygotowywał scenariusz do ekspozycji w Krzewni (ówczesny oddział Muzeum Romantyzmu) a także scenariusz wspomnianej tu już trasy turystycznej

„Opinogóra-Pałuki-Krasne-Zielona”. Wytypowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki odbywał w Austrii kurs szkoleniowy, był też aktywnym opinogórskim radnym. Wiele ważnych realizowanych zajęć a tu... zmieniające wiele decyzje organizacyjne władz nowego województwa. Do dziś trwają dyskusje nad zasadnością tych decyzji.

W 1977 r. wraz z pracownikami Muzeum Okręgowego jest autorem programu dla muzeum w Bieżuniu – Muzeum Małego Miasta (Program ten udało się zrealizować dopiero w 1985 r.). Rok później został wybrany na członka Wojewódzkiej Rady ds. Upowszechniania Kultury przy Urzędzie Wojewódzkim w Ciechanowie. Ukończył również w Toruniu Podyplomowe Studium Muzealnicze na kierunku „Wystawiennictwo”.

W 1979 r. Janusz Królik zrezygnował z pełnienia funkcji dyrektora Muzeum Okręgowego. Była to decyzja w pewnym sensie wymuszona. Zachował jednak funkcję dyrektora w opinogórskim muzeum. Stworzył wtedy dwie ciekawe wystawy: „Województwo ciechanowskie w starej fotografii” i „Sztuka ludowa dla dzieci i dzieci w sztuce ludowej”. Rok później opracował projekt stałej galerii w Muzeum Ziemi Zawkrzańskiej „Wojciech Piechowski i malarze z jego kręgu”. Zorganizował również sympozjum naukowe „Opinogóra w kulturze polskiego romantyzmu”, które stało się inspiracją do zorganizowania przyszłej stałej wystawy „Polski Romantyzm”. Warto również wspomnieć, że w tym samym roku zdecydował się na zaprezentowanie w Bieżuniu własnego malarstwa.

Lata 1980–1996 były dla Janusza Królika niezwykle twórcze. Wracają do Opinogóry, przerwane na pewien czas, studenckie sesje naukowe. W 1981 r. z jego inicjatywy powstaje Towarzystwo Miłośników Opinogóry, wkrótce również nasza „Gazeta Opinogórska”, której jest pomysłodawcą i autorem oprawy graficznej. W dalszym ciągu organizuje plenery malarskie, łącząc profesjonalistów z amatorami, integrując w ten sposób środowisko osób twórczych spełniających się w malarstwie. W 1985 r. powołuje Społeczny Komitet Budowy Pomnika Zygmunta Krasińskiego. W Warszawie i Krakowie wystawia także swoje prace: „Barwy ziemi mazowieckiej” oraz „Ginące krajobrazy” (wyróżnienie). Trwa dobra współpraca z LO im. Z. Krasińskiego w Ciechanowie, dni patrona, wystawy, odczyty.

Prawdę mówiąc, męczy mnie ta sucha wyliczanka, choć za chwilę będę musiała do niej wrócić. Daty i fakty nie oddają w pełni człowieka z krwi i kości, jak zwykło się mówić. Jego charyzmy, jego zaangażowania w to co robi, jego pasji. Jego wzlotów i upadków. Bo sukcesy i porażki towarzyszyły mojemu mężowi do końca życia.

Było wielu takich ludzi, u których granica pomiędzy życiem osobistym a pracą ulegała zatarciu. To pasja do tego co robią, prowadziła ich przez życie i sprawiała, że tworzyła nierozzerwalną więź pomiędzy człowiekiem i jego dziełem. Zde-


 Muzeum Romantyzmu w Opinogórze

Pejzaże Mazowsza i Podlasia
 w malarstwie
Janusza Królika (1932–2010)



Królík Janusz (1932 – 2010)
 Wielki Piasek, 1955 r. olej/plótno
 w: Muzeum Książki i Sztuki w Białymostku
 odda: Muzeum Wal. Jasniewiczkiej w Sierpcu

Termin: lipiec–grudzień 2020
Otwarcie: 7 lipca 2020
 transmisja OLINE godz. 14⁰⁰
Miejsce: Dwór Krasieńskich w Opinogórze


www.mazowsze.pl
 MUSEUM JEST INSTYTUCJĄ FINANSOWANĄ ZE ŚRODKÓW SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA MAZOWIECKIEGO

Fot. 56. Plakat informujący o wystawie malarstwa Janusza Królika w Muzeum Romantyzmu.

cydowanie takich ludzi nie można określić mianem menadżer, raczej „dziwak”, zapaleniec, idealista – czasem... „wariat”. Ale bez tych „wariatów” nie byłoby dziś Królewskich Łazienek i Warszawskiej Starówki, ale też Ciechanowca, Myszyńca, Nowogrodu czy – nieskromnie mówiąc... Opinogóry. Ludzie, którzy w trudnych czasach tworzyli ośrodki kultury, zasłużyli na to, aby ich nazwiska łączyć z tymi ośrodkami i miejscami, w których powstawały. Dla tych ludzi nie była istotna aktualnie „wyznawana” ideologia. Przez władze traktowani byli jako niegroźni szaleńcy, którzy bez własnego interesu realizowali swoje programy, pod którymi wielu mogło się podpisać. I takich podpisujących się było wielu. Gdyby nie ci idealisci, żylibyśmy dziś w innym świecie. Świecie często pozbawionym piękna, tradycji, naszej historii. Może ich świat już odszedł, może nie ma dziś dla nich miejsca, ale dobrze, że zdążyli wypełnić swoją misję.

Wracając do Opinogóry. Takie wystawy jak: „Amor Patriae Nostra Lex”, poświęconej historii Krasieńskich, czy „Budząc krzyk orła” i „Portret szlachty mazowieckiej” (przygotowanych wspólnie z muzeum w Ciechanowie), budziły duże uznanie wśród zwiedzających i cieszyły się dużą frekwencją. Nota bene ta ostatnia zdobyła I nagrodę na ogólnopolskim konkursie w 1993 r.

Wróćmy jednak jeszcze do roku 1989. Kluczowym wydarzeniem było odsłonięcie pomnika Zygmunta Krasieńskiego. Ale też prezentacje ciekawych obrazów z prelekcją, wycieczki szkoleniowe, kursy językowe, wydawnictwa,



Fot. 57. Janusz Królik przed jedną z muzealnych ekspozycji.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.



Fot. 58. Janusz Królik w muzealnej oficynie.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.

albumy, pocztówki, druki ulotne. Były też spotkania literackie, wieczory poetyckie przy „małej czarnej”, które tworzyły chęć współdziałania z instytucją i jej działalnością.

Były też kontakty z zagranicą. W latach 90. ubiegłego wieku wyjazdy na Ukrainę, Białoruś, Litwę, do Królewca, do Niemiec, Anglii, Hiszpanii, Francji pozwalały prezentować polską kulturę i poszerzać własną wiedzę. Wykorzystując cudze doświadczenia i przeszczepiając je na rodzimy grunt. Stąd zrodził się zapewne w 1993 r. projekt Janusza Królika stworzenia Polskiej Unii Muzealnej, przedstawiony ówczesnemu ministrowi kultury Kazimierzowi Dejmowski. Była duża szansa na jego realizację, ale wtrącił się w to los i nie doszło do szczęśliwego finału. Zmarł minister a plany i projekty zostały w szafach biurowych.

Pod koniec lat 90. Powstaje ciekawa wystawa „Trzech wielkich romantyków – Fryderyk Chopin, Cyprian Kamil Norwid i Zygmunt Krasiński”. Rodzi się również inicjatywa budowy w kościele opinogórskim pomnika nagrobnego Zygmunta Krasińskiego.



Fot. 59. Janusz Królik,
w głębi Ryszard
Bacciarelli.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.

Czas płynął nieubłagalnie. W lipcu 2004 r. T. Woicki dziennikarz „Tygodnika Ciechanowskiego” zapytał Janusza Królika: – Czy to prawda, że odchodzi Pan z Opinogóry? – Ja nie odchodzę z opinogórskiego muzeum, – odpowiedział – przestałem tylko od 1 lipca być jego dyrektorem. Będę nadal kierował działem historycznym, czyli praktycznie będę robił to, co zwykle robiłem. Poza administrowaniem. Więcej czasu będę mógł poświęcić sprawom wystawieniowym oraz kontynuacji przedsięwzięć merytorycznych. – Czy wszelkie dotychczasowe plany, zamierzenia, inicjatywy będą kontynuowane? – dopytywał dziennikarz. – Nie wyobrażam sobie, żeby było inaczej. Mogą też wejść nowe przedsięwzięcia – odpowiadał J. Królik.

I tu – myślę – ten „czarodziej” pomysłów i planów popełnił największy błąd. Tak, jak powiedział kiedyś J. Tuwim: – Plan to coś, co potem wygląda zupełnie inaczej. Taki układ z całą pewnością nie był najlepszy zarówno dla jednej jak i drugiej strony. Ostatnie sześć lat pracy mojego męża w niepełnym wymiarze godzin było niezwykle pracowite, pełne nowych pomysłów, marzeń i wyzwań. Był jednak coraz bardziej zmęczony i zestresowany. Bałam się, straszliwie się bałam. Nie zdołałam go zatrzymać. O ostatniej wystawie poświęconej stałej ekspozycji Polskiego Romantyzmu mówił: – zrobię taką ekspozycję, która stanie się bardzo ważnym, uzupełniającym ośrodkiem wiedzy o okresie polskiego romantyzmu. Ku przestrodze dla niektórych i z nadzieją dla wszystkich. Takie miejsce widzę w dworze. Dokonał swego dzieła, choć cieszył się nim krótko. Pod koniec czerwca 2009 r. dowiedział się, że we dworze nie będzie miejsca na realizację tego rodzaju przedsięwzięcia. Rozpoczęto demontaż wystawy. Wcześniej zaprotestował przeciwko zagospodarowaniu podziemi zameczku na

jeszcze jedną kawiarenkę i inne bardzo ważne miejsce użyteczności publicznej. Wszelkiego rodzaju pytania pozostały bez odpowiedzi. Praca w kulturze nigdy nie była i nie jest łatwa, wbrew pozorom. Wymaga dużo determinacji, zrozumienia, kultury działania i zdrowej rywalizacji. Aby w końcu powiedzieć: – Udało się, zawsze dla dobra sprawy.

Dziś Opinogóra pięknie i syci wzrok miejscowych i przyjezdnych swoją urodą. Powstały nowe osiedla, nowe budynki użyteczności publicznej. Uporządkowany został park i kompleks nowych obiektów architektonicznych – dwór, oranżeria, wyremontowana została oficyna. Dokonano renowacji starych zabytkowych grobów na cmentarzu i pomnik nagrobny wieszca w opinogórskim kościele. Pięknie iluminowany jest (widać to nocą) zameczek – klejnot architektury neogotyckiej.

– Dzisiaj już z pewnością wiesz, kto go zaprojektował. – Czy to Maria, matka Zygmunta? Tak bardzo Cię to zawsze ciekawiło. – Czy wytłumaczyłeś generałowi, czemu nie zdołałeś zrehabilitować go w swojej pracy? Takie i inne pytania zadają czasem, siedząc na ławeczce przy grobie męża.

Tak więc Opinogóra to dzieło wielu ludzi przez lata zaangażowanych w pracę dla niej. To także rodzaj uczucia do miejsca, którego nie da się ani zmierzyć, ani zważyć. Ale ono istnieje.

Kartka z pamiętnika 35

Krymska przygoda... czyli historia jednej wystawy

...Lubię poglądać wsparty na Judahu skale
Jak spienione bałwany to w czarne szeregi
Ścisnąwszy się buchają, to jak srebrne śniegi
W milionowych tęczach kołują wspaniale.

*P*ozwoliłam sobie rozpocząć moje kolejne opinogórskie kartki z pamiętnika od fragmentu krymskiego sonetu Adama Mickiewicza *Ajudah*, napisanego w 1826 r. Choć Zygmunt Krasiński nie był nigdy na Krymie, uczynili to po wielu latach pracownicy Muzeum Romantyzmu w Opinogórze, wioząc na Krym historyczną wystawę. Było to duże wyzwanie, ale też nie lada problem logistyczny. Zanim przejdę do szczegółów, na początek kilka informacji o tym egzotycznym miejscu.

Półwysp Krymski, zwany w starożytności Taurydą, przechodził różne koleje losu. Jego historia jest burzliwa i uwikłanych jest w nią wiele państw. Jego losy splątane są z Ukrainą, Rosją, Turcją i Tatarami, znaleźć można także polskie wątki. Pierwotnie był tatarski, od 1443 r. było tam państwo (Chanat Krymski), które powstało z czarnomorskiej posiadłości Złotej Ordy, będącej wasalem władców Imperium Osmańskiego. W kwietniu 1783 r. caryca Katarzyna II przyłączyła Krym do carskiej Rosji. Po burzliwych przemianach w samej Rosji (po rewolucji bolszewickiej i II wojnie światowej, gdy półwysp zajęły wojska hitlerowskich Niemiec), w 1954 r. decyzją Rady Najwyższej ZSRR, a właściwie sekretarza generalnego KPZR Nikity S. Chruszczowa, Krym przekazany został Ukraińskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Uzyskał wtedy autonomię z prawem do własnego rządu i konstytucję, pod warunkiem, że nie będzie ona sprzeczna z konstytucją Ukrainy. Nastąpił wtedy masowy powrót Tatarów krymskich, wysiedlonych wcześniej z półwyspu, zwolenników ścisłych związków z Ukrainą.

Krym, położony między Morzem Czarnym a Morzem Azowskim, nazywany był niegdyś perłą starego kontynentu, a nawet „światem w miniaturze”. Połączony z lądem Przesmykiem Perekopskim ma niewiele ponad 25 tys. km² powierzchni z wybrzeżem około 1000 km. piękne krajobrazy, wspaniały klimat, bogata roślinność o charakterze podzwrotnikowym, plaże i malownicze miasteczka, przyciągały liczne rzesze ludzi wywodzących się z kręgów arystokracji rosyjskiej a także poetów, lekarzy i przemysłowców z całej Europy. Tu mogli realizować swoje marzenia i zaspokajać twórcze aspiracje. Choć powstawały nowe budowle, to nie przesłaniały piękna starożytnych klasztorów, ormiańskich cerkwi i pozostałości po tatarskich meczetach. Liczne twierdze zachowały po sobie pamięć wielu ważnych wydarzeń dziejowych. Po aneksji półwyspu przez carską Rosję, przesiedlono z niego wielu ludzi, w tym także Polaków. Zachowały się wzmianki o czterech polskich wsiach założonych w okolicy Perekopu. Z danych statystycznych wynika, że mieszkało tu około siedmiu tysięcy Polaków.

Historia kołem się toczy, zostawmy ją na chwilę i powróćmy do wystawy. Aby wyjaśnić jej powód i cele, należy cofnąć nieco wskazówki kalendarzowego zegara (co w moim przypadku zdarza się nader często). Otóż w 1998 r. ludzie pióra z Ciechanowa, tudzież poloniści z ciechanowskich szkół powołali do życia Mazowiecki Oddział Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. Na jego siedzibę wybrali Opinogórę. Głównym orędownikiem jego powołania był emerytowany nauczyciel z Ciechanowa dr Henryk Kaczorowski – wykładowca Akademii Podlaskiej w Siedlcach. Wierni tradycji (ponad stuletniej) krzewienia literatury członkowie Towarzystwa wykazywali dużą aktywność, uczestnicząc w licznych wydarzeniach kulturalnych, organizując wyjazdowe sesje, konferencje, odczyty, wystawy. Przysparzało to popularności również naszemu muzeum. Jak informacja o tej aktywnej działalności dotarła na Krym, tego nie wiem. Ale w roku 2007 do Muzeum Romantyzmu nadeszło zaproszenie przyjazdu na Krym w celu nawiązania współpracy. Jej zaczynem miała być historyczna wystawa „Droga do niepodległości” obejmująca m.in. historię I Pułku Szwoleżerów Gwardii Napoleona i bitwę pod Somosjerrą. Wystawa, prezentująca dwie różne drogi do odzyskania przez zniewolony naród polski niepodległości, składała się z kopii obrazów znakomitych malarzy przedstawiających historyczne sceny, np. „Wincenty Krasieński ogląda pole bitwy pod Somosjerrą” Januarego Suchodolskiego, historyczne obrazy Michała Wywiórskiego, rzeźby gipsowe, np. popiersie gen. Krasieńskiego (wg F. Bosio), plansze fotograficzne, ogromnych rozmiarów kopię obrazu W. Kossaka „Panorama bitwy pod Somosjerrą”, mapy, np. „Szlak Napoleona w Polsce w latach 1806–1807” a także kopię munduru szwoleżera ufundowaną przez samorząd gminy Opinogóra.



Fot. 60. Jaskółcze gniazdo koło
Jałty na Krymie.

Źródło: Wikipedia.



Fot. 61. Pałac w Liwadii.

Źródło: Wikipedia.

Uroczyste otwarcie wystawy nastąpiło 29 września 2007 r. w Muzeum Sztuki w Symferopolu. Polski konsul Adam Adamczyk wraz z dyrektorem Muzeum Romantyzmu Romanem Kochanowiczem wspólnie zdjęli przewiązane w wejściu na salę wystawową symboliczne wstęgi w barwach Polski i Ukrainy. Jako pierwszy krótkie przemówienie wygłosił konsul, po nim głos zabrali dyrektorka Muzeum Sztuki w Symferopolu Larina Kudriaszkowa oraz dyrektor Muzeum Romantyzmu Roman Kochanowicz a także prezes Polskiego Centrum Kulturalno-Oświatowego Renata Tereszenko. Warto dodać, że na otwarcie wystawy przybyli przedstawiciele władz Krymu, chociaż w tym czasie na Ukrainie odbywały się wybory. Cała uroczystość miała wspaniałą oprawę medialną, zapewnioną przez przybyłych licznie na wystawę przedstawicieli prasy, radia i telewizji. Kurator wystawy i zarazem autor jej scenariusza Janusz Królik oprowadził licznie zebranych gości po ekspozycji. Wystawę można było zwiedzać przez dziewięć dni do 7 października 2007 r.

Dla delegacji opinogórskich muzealników w składzie: Roman Kochanowicz, Janusz Królik, Leszek Nowaliński i Sławomir Leśniewski wyjazd z wy-

stawą był również okazją do „zdobywania” Krymu, poprzez wędrówkę śladami wielkiego polskiego romantyka Adama Mickiewicza. W pierwszej kolejności odwiedzili Bakszysaraj (w języku tatarskim – Pałac w ogrodzie). Głównymi jego atrakcjami są tam Pałac Chanów oraz Wielki Meczet Chański – największa świątynia muzułmańska na Krymie. Kolejnym punktem na szlaku był Sewastopol, gdzie zachowały się ruiny starożytnego greckiego miasta Cheronęz Taurydzki od którego pochodzi najstarsza nazwa całego półwyspu. Ruiny obejmujące port, amfiteatr, bazyliki a także dawną mennicę. Następnego dnia muzealnicy wybrali się w okolice Jałty, gdzie po drodze zwiedzili XIX wieczny pałac Woroncowa w Ałupce i usiłowali zdobyć Jaskółcze Gniazdo – słynny neogotycki zamek, ale się to nie powiodło – był niedostępny.

Ten zamek – efekt szaleństwa bakijskiego barona naftowego – zawieszony na szczycie klifu Aurora w miejscowości Haspara ma dość ciekawą historię. Powstał na początku XX w. na miejscu drewnianego domku, zaprojektowanego (w 1895 r.) dla rosyjskiego generała i jego kochanki, nazywanego domkiem schadzek z tajemniczą damą. Zmieniali się jego właściciele. Ostatni z nich (baron Steingel) obiekt przebudował, zmieniając go w neogotyckie чудо.

Będąc w pobliżu Jałty nasi turyści odwiedzili Liwadię, słynną rezydencję cara Mikołaja II, zbudowaną w latach 1911–1912 na miejscu pałacu należącego niegdyś do polskiego arystokraty (L. Potockiego). W tej rezydencji w 1945 r. odbyła się znana Konferencja Jałtańska.

Jeszcze rzut okiem na przepiękne Góry Krymskie, Wrota Bajdaru i tak przez Mickiewicza w *Sonetach krymskich* rozstawione Ajudah i Czatyrdah. Pora wracać do domu! Pełna wrażeń przygoda krymska naszych muzealników z egzotycznego, ciepłego zakątku świata zakończyła się szczęśliwym powrotem do Opinogóry w październikowy, jesienny dzień.

Na podstawie notatek mojego męża
a także dostępnych źródeł internetowych – Bożena Królik

PS

Dostałam od męża – na szczęście – „zielony, krymski kamyk” i maleńki flakonik uwiecznionych w nim wszystkich zapachów Krymu – lasów, łąk, ziół, kwiatów i cudownego, kryształowego powietrza. Jeszcze dziś, kiedy spoglądam wstecz, chłonę oddech miejsca, w którym kiedyś, być może, wędrowała i moja dusza.

Kartka z pamiętnika 36

Wspomnienia jak duchy...

 pinogóra 2020, listopad. Cała przyroda – na pożegnanie? – pokazuje nam jeszcze to, co ma najpiękniejsze, kolory. Czerwienią się dęby, klony, buki, zielenie przechodzą w brązy... Pod stopami szeleszczą złote liście. Coraz krótsze dni. Szybko zapadający zmierzch, ze swoją późnojesienną nostalgią, wróży rychłą zmianę pory roku. Częściej wracamy do wspomnień, które niczym duchy wciskają się w otaczającą nas rzeczywistość. Czasem wywołują uśmiech, czasem smutek.

Za nami liczne państwowe uroczystości. I choć skromniejsze od niegdysiejszych, przypominają historię naszego narodu, ciągle zmagającego się w walce o niepodległość i umiłowaną wolność. Za nami również kolejne święta zmarłych ograniczone pandemią. Pozamykane cmentarze pozwalają jedynie z odległości spojrzeć na groby naszych bliskich, trochę mniej niż zwykle oświetlone zniczami. Cały świat ogarnięty lękiem. Szalejąca pandemia zburzyła całe nasze dotychczasowe życie i nie tylko nasze. Przyspieszyły swój odlot nawet klucze dzikich gęsi, zmierzających do bezpieczniejszych miejsc. – Czy je znajdują? Kto to wie?

Te gęsi przywołały mi ostatnio w pamięci interesujący cytat z utworu poety, satyryka z lat 50. ubiegłego wieku – Janusza Szpotańskiego (1929–2001). Cytat moim zdaniem chyba adekwatny do obecnej sytuacji. Przywołuję go z pamięci: ...Gdybym był gegacz jak się patrzy / Z małpią zręcznością wdrapałbym się na krzyż / Ale pluszowy – bo to ważne przecie wisieć na krzyżu, który cię nie gniece / Z krzyża bym rzucał okrzyki rozpacz / Tak jak to bywa zwyczajem gegaczy... Te słowa poety pierwotnie miałam pozostawić bez komentarza i „pogęgać” na obiecany inny temat. Nie potrafię jednak zdystansować się od trudnych spraw w czasach, w których przyszło mi żyć. „Pogęgam” zatem o tym, co rozpaczliwie boli i przeraża nie tylko mnie.

Szaleje epidemia, przybywa „covidowych” szpitali, codziennie umierają ludzie, słyszymy ostrzeżenia wirusologów zalecających przestrzeganie zasad związanych z naszym bezpieczeństwem. To jednak, co dzieje się na ulicach i placach naszych miast jest niewyobrażalnie wręcz okrutne a nawet nieludzkie.

Burzy ład i porządek społeczny. Do tego obelżywe hasła, wulgarne okrzyki, agresja... Gdzie tu troska i szacunek dla lekarzy, dla całej służby zdrowia, która codziennie zмага się w walce o ratowanie życia setek ludzi dotkniętych tą straszną chorobą. Gdzie szacunek dla seniorów, rodziców, dziadków, babć.

Nie wszyscy w naszym kraju myślą jednakowo, to normalne. Ścierają się różne racje, nie mnie je oceniać. Ale w demokracji spory – nawet najtrudniejsze – trzeba rozwiązywać w sposób cywilizowany i nie wywoływać konfliktów, szczególnie wtedy, gdy mogą rodzić zagrożenia dla zdrowia a nawet życia. Debata, spokojna rozmowa jest zawsze lepsza niż wrzaski.

W czasach mojej młodości różnie się działo. Też buntowaliśmy się przeciw nakazom i zakazom. Ale obowiązywały pewne zasady. Język „ulicy” nazywany był wówczas językiem „dorożkarskim”. Aborcja jest problemem bardzo ważnym nie tylko w Polsce, w Europie, ale także na całym świecie. Jest to problem etyczny i polityczny. „Ulica” tego bolesnego problemu nie rozwiąże.

Bywa, że w myślach odwołuję się do mojej mądrej dziewiętnastowiecznej babci, która urodziła siedmioro dzieci, przeżyła dwie wojny światowe, zarazę, która w czasie I wojny światowej nazywano „hiszpanką” – i nie była w tym wszystkim bierna. Pomagała innym, ilekroć zachodziła taka potrzeba. Leczone się wtedy własnymi metodami (głównie naparami z mięty, lipy, czarnego bzu), była także izolacja. Wszyscy chorzy w jej rodzinnym domu przeżyli. W czasie II wojny światowej ratowała także rannych żołnierzy nie pytając o ich narodowość. W każdym z nich widziała swoich synów wysłanych na front. Była dzielna, tak jak dzielne były wówczas wszystkie kobiety. Znając jej riposty w stosunku do swoich dorosłych już dzieci myślę, że dzisiaj nie zawahałaby się zaproponować, aby wszystkie tego rodzaju konflikty przenieść na „Łysą Górę”, z dala od społeczeństwa, które powinno normalnie funkcjonować.

Wracam do moich wspomnień, duchów. Często w pamięci pojawia się mój rodzinny dom. Małe pokoiki, alkierzyki, ciotki, stryjowie, babcia, rodzice. Było hałaśliwie i bezpiecznie. W takiej atmosferze dorastałam z moją stryjeczną siostrą Basią, która odeszła w tym roku. I to gderanie mojej kochanej i kochającej babci, skarżące się mojej mamie, że to „tatarskie nasienie” znów jej wlaźło w szkodę... Bywało tak szczególnie przed świętami, kiedy usiłowałam w czymś pomóc, ale ciasto nie wiadomo z jakiego powodu... zbyt szybko opadało a dziury po rodzynekach nie dawały się zalepić. Ot, zwykłe dziecięce problemy, zdarzające się w każdym domu. Mój rodzinny dom, zawsze pełen najbliższych, którzy odchodzili dla mnie zawsze zbyt szybko. Dom, do którego wracałam, ilekroć było mi smutno. Gdyby mógł przemówić, powiedziałby wiele swoim zmieniającym się „lokatorom”. Widział wszystko. Czułość i troskę, Narodziny i śmierć. Łzy i radość. Bywając w nim już jako żona i matka, czułam tam wszystkie zgromadzone uczucia i... obecność duchów tych, którzy odeszli.

Myśląc zdroworozsądkowo odżegnujemy się od różnych zabobonów, dawnych wierzeń, lecz jeśli nam coś zaczyna zagrażać, dochodzi do nas ten pierwotny lęk i daleko nam do racjonalnego pojmowania zjawiska. Zaczynamy obawiać się tego, czego nie potrafimy zrozumieć. Nie przyznajemy się oczywiście do „wiary w duchy” obawiając się śmieszności.

Przez sześć lat mieszkaliśmy w opinogórskim zamczku a właściwie w jego podziemiach. Nie mieliśmy jeszcze żadnej wiedzy o Opinogórze. Wchodziliśmy ochoczo w dorosłe życie, urządzając z mężem nasz pierwszy dom. Właściwie przydzielone nam mieszkanie. Było dość oryginalnie, ciepło i przytulnie. Drzwi od strony szkoły były zawsze otwarte, aby wietrzyć pomieszczenia. I choć wchodziły do nas z parku różne stwory – jak jeże, wiewiórki, koty, nie licząc zabłąkanych turystów – było ciekawie i bezpiecznie. Mój spokój burzyły niekiedy koszmary senne i zbyt częste przeziębienia. Lekarze twierdzili, że to wilgoć panująca w pomieszczeniach wkopanych w ziemię. Jak widać, suterena mi nie służyła.

Wkrótce przenieśliśmy się do domku z kolumnami. Mogliśmy już przez otwarte okna oglądać świat. Proszę sobie wyobrazić, że w Opinogórze nigdy nie zamykało się okien i drzwi. Obecność posterunku w pobliżu pozwalała nam bezpiecznie funkcjonować. A, że czasem wieczorem wpadł do nas z wizytą nie-toperz... To cud, że nasz syn nawet się nie obudził. Dla mnie skończyły się koszmary, ale rozpoczęła walka z... grzybem. Nie było na niego wtedy skutecznych środków i był to problem nie tylko nasz.

I wreszcie oficyna. Nareszcie pierwsze wnętrza pełne słońca, powietrza i widok na parkowe płaskowzgórze. Pyszny, szczególnie o poranku, kiedy jeszcze nie obudziło się słońce, a pod okna podchodziły z pobliskiego „zwierzyńca” sarenki, zające i piękne kolorowe bażanty. Lubiłam tam swój pokój z mebelkami, które przypominały mi mój dom w Sochaczewie (wówczas był to jeszcze Chodaków, wtopiony dziś w to powiatowe miasto). Nie mogłam przyzwyczaić się do największego pomieszczenia – jadalni. Tylko tam można było wstawić duży rozsuwany stół na kilkanaście osób. Przez dwa duże okna docierało do wnętrza słońce, tak potrzebne do życia. Widok z okna ze szczytu (od kuchni) na brzozy zasadzone przez pana Mietka i mojego męża, pachnące akacje, jaśminy, bzy karmiły wnętrza zapachami prawdziwej natury. I co z tego? Sprzątałam, odkurzałam, podlewałam kwiaty... i szybko zaszywałam się w moim ulubionym pokoju, zamykając starannie drzwi jadalni. Ale czułam się tam niezbyt komfortowo. Wydawało mi się, że w pomieszczeniu znajduje się jeszcze ktoś poza mną. Było to dziwne uczucie. Ni to lęk, ni to strach. A jednak dziwne i zupełnie odbiegające od racjonalnego pojmowania rzeczywistości. Zaczynałam nawet czytać jakieś „mądrości” na temat zbłąkanej materii, która nie ginie a tylko się przeobraża. Było to dla mnie jednak zbyt trudne, i przestałam się tym interesować.

Aż pewnego roku (lata 90.) odwiedziła nasz dom pani Wioletta Komar (z zawodu reżyser, ale też bioenergoterapeuta), córka pani doktor J. Gołackiej, znanej okulistki. Obie panie przyjechały z Odessy i zamieszkały w Ciechanowie. Siedzieliśmy z panią Wiolą w naszej jadalni przy herbatce, miła rozmowa, jakieś wspomnienia, dowcipy... W pewnym momencie nasz miły gość przerywa rozmowę i szepcze: – Proszę mówić dalej, oprócz nas w tym pomieszczeniu jest jeszcze inna osoba, która pilnie nam się przysłuchuje. – Proszę się nie bać. To ktoś młody i bardzo życzliwy... i wesoły – dodaje. Rozmowa z naszej strony staje się jakaś inna. Mąż nadrabia miną i jak zwykle „tokuje”, ja – chrypiąc – pytam, czy „to” jeszcze jest? Wychodzę z pokoju, zostawiając ich w „trójkę”. W kuchni ratuję się papierosem, nie dla mnie takie eksperymenty! Wreszcie wychodzimy do parku, proponując wspólny spacer i zwiedzanie zameczku. – A tu, czy kogoś pani wyczuwa? – pytamy jednocześnie z mężem. – Tu, nic – odpowiada pani Wiola. – Żadnego uczucia, żadnej energii, zameczek to takie obojętne miejsce. – Nie było to w końcu małżeństwo szczęśliwe – dodajemy wraz z mężem, myśląc o Elizie i Zygmuncie. Schodzimy do podziemi. – Tu mieszkaliśmy sześć lat opowiadam naszemu gościowi. – I co, jak się pani tu czuła? – pyta pani Wiola. – Ja? Dobrze – kłamię. – Mój Boże! Tyle tu nieszczęścia i bólu – nie zważając na nas odpowiada nasz gość i dodaje: – Widzę tu jakieś starsze osoby w długich białych szatach, długie siwe włosy, jakieś chusty na głowach i ból, ból, umieranie. – Tu był lazaret w czasie I wojny światowej – dopowiada mąż.

Wychodzimy do parku, kierując się w stronę domku ogrodnika hrabiego Edwarda Krasińskiego. Nasz gość z uśmiechem zaczyna opowiadać o dwojgu starych ludzi tulących się do siebie. Ona z długimi włosami, on uśmiechnięty i szczęśliwy. Dużo uczucia, dużo dobroci... – Toż to nasze znajome małżeństwo, Helena i Adolf Wisialscy – mówię jednocześnie z mężem. – Ich pierwszych poznaliśmy w Opinogórze.

Wracamy do głównego tematu naszego spotkania. Do ewentualnej współpracy przy widowiskach plenerowych (rekonstrukcji ślubu Zygmunta a właściwie wesela i biwaku u gen. W. Krasińskiego). Realizacja zarysowanych w czasie tego spotkania ciekawych planów na długo pozostawała w sferze marzeń. Dopiero uzyskane po kilku latach fundusze wykorzystano na organizację „Widowisk napoleońskich”, imprezy o zasięgu międzynarodowym (Polska, Rosja, Anglia, Białoruś). Zabawa w wojenkę widziana z okna oficyny nie wyglądała jednak groźnie. Wkrótce przenieśliśmy się do domku z kolumnami. I tak z miejsca na miejsce...

Tymczasem wokół oficyny rozpoczęły się wykopy, sięgające fundamentów. Pod jednym z jej okien (naszej wcześniejszej jadalni) natrafiono na szczątki szkieletu, pochodzącego prawdopodobnie z okresu I wojny światowej.

Przypomniała nam się wówczas wizyta pani Wioletty Komar i... jeszcze „kogoś” towarzyszącego nam w czasie pamiętnej rozmowy. „Kogoś” nieznanego, niematerializowanego. Mógł to być jakiś żołnierz, który zginął w Opinogórze i pośpiesznie pochowany został pod oficyną. W czasie trwających przed ponad stu laty walk, w Opinogórze byli Rosjanie a z drugiej strony muru od Opinogóry Dolnej nacierali Niemcy. Zebrano więc szczątki bezimiennnej ofiary wojny do skrzyneczki i, w obecności ówczesnego proboszcza Opinogóry księdza Bogusława Grzybowskiego, z okolicznościową modlitwą pochowano na miejscowym cmentarzu.

Aby nie budzić niepotrzebnych emocji (choć o zamkowe „duchy” byliśmy często pytani), opowiadaliśmy z reguły o złym Opinie, szalejącym przed kilkunastoma wiekami wśród pogańskich Słowian, któremu „...uśmiech szyderczy siadał na ustach, kiedy spoglądał na trupy” (to fragment z poematu Z. Krasińskiego *Pan Trzech Pagórków*). Bywały także podobne rozmowy z ojcem Cyrylem (J. K. Krasińskim) z Maria Laach – Opactwa Benedyktynów w Niemczech. Poruszaliśmy wtedy różne tematy. Znawca medycyny tybetańskiej, teolog, zakonnik, chiromanta, filozof a nawet... egzorcysta, na wiele pytań dotyczących dziwnych wydarzeń odpowiadał najczęściej: – Uhm! Coś w tym jest – dzieląc się później własnymi przypadkami. Częstym bywalcem w Opinogórze był także pan Stanisław Ledóchowski, który kilka lat temu opowiedział mi o „nawiedzonym” domu swojego stryja w Warszawie.

Może istotnie coś jest, jakby ktoś dzisiaj powiedział „na rzeczy”. Ale, skoro nie potrafimy racjonalnie poradzić sobie z tym „pozaziemskim” problemem, moim zdaniem nie powinniśmy zaprzętać sobie tym głowy.

Kartka z pamiętnika 37

Isć na groby...

*W*ieczny odpoczynek racz im dać Panie... Szept modlitwy w ten ciemny listopadowy wieczór rozbrzmiewa i niesie się po całym cmentarzu. Nastrój nie-
zwykły. Przypomina zupełnie scenariusz filmowy. Nie ma w tym jednak nic spektakularnego ani romantycznego. Rzecz dzieje się naprawdę. To procesja wiernych z zapalonymi lampkami, w ciszy przerywanej modlitwą kluczy alejkami cmentarza, starając się dotrzeć do wszystkich grobów. Na małych, większych i ogromnych pomnikach błyszczą setki lampek rozświetlających tę historyczną nekropolię. Feeria barwnych kwiatów jeszcze nie tkniętych mrozem robi wrażenie wielkiego ogrodu botanicznego. Gdzieś przycupnięte stare nagrobki pokryte już patyną czasu, starają się rywalizować z marmurami i granitami. Na nich także jakaś litościwa ręka położyła kwiat, zapaliła lampkę. Do niektórych grobów nie można się docisnąć.

Cmentarz się rozrasta. Kiedyś był wydzieloną częścią parku z kilkunastoma zaledwie mogiłami i dlatego dzisiaj możemy o nim mówić, że jest jedną z najciekawszych nekropolii na północnym Mazowszu. *Za dusze dobrodziejów, dobroczyńców, fundatorów... Zdrowaś Mario.*

Za parkanem cmentarnym bieleje piękna sylwetka opinogórskiej świątyni. Tam spoczywają Krasińscy. – Słyszysz nas pan, generale Krasiński? To za pana i jego bliskich się modlimy. Tu spoczywają wierni panu towarzysze broni, którzy po licznych kampaniach i trudach wojennych znaleźli wieczny odpoczynek na opinogórskiej ziemi.

Przy głównej alei, po lewej stronie grób towarzysza broni generała – Franciszka Girardota, lekarza z Pułku Lansjerów Gwardii Cesarskiej, który w kampanii 1814 r. stracił nogę. Napoleon na polu bitwy nadał mu herb barona... z nogą. Niedaleko spoczywa K. Wyleżyński – student Uniwersytetu Wileńskiego, pułkownik i adiutant gen. Wincentego Krasińskiego. Pali się świeczka na grobie St. Krynickiego. To plenipotent rodziny hrabiów, którym służył 49 lat. Obok, grób Dunin-Wąsowicza, kawalera Legii Honorowej i orderu polskiego, uczestnika wojen napoleońskich. Nieco dalej spoczywa J.K. Trocki,

masztelarz związany służbą w Opinogórze ponad pięćdziesiąt lat, który... „na rok przed śmiercią jeszcze sam pragnął konia w lejcach trzymać”. A oto orientalny nagrobek nauczyciela poety ks. Al. Chiariniego. Wciśnięte w nowe już pomniki dwa jakże ciekawe nagrobki. Baronowej de la Haye i K. Rozpędowskiej. Pierwsza była boną poety przywiezioną przez jego matkę z Francji, druga, to jego ukochana niania. Między jednym a drugim grobem stała niegdyś ławeczka. Zygmunt często odwiedzał to miejsce. „Bytem (..) w nocy na cmentarzu tym i księżyc ponuro zaglądał spoza brzoź, białeły groby tych, których znałem i co mnie kochali. Usiadłem między boną moją i Rozpędowską i płakałem, i prosiłem o nadziei trochę”. Myśli biegną też do ostatniego ordynata zamordowanego w Dachau, Edwarda Krasieńskiego, którego prochy pozostały gdzieś w obcej ziemi.

W rejestrach starych grobów znajdują się też liczne nazwiska ludzi blisko związanych pracą duszpasterską w Opinogórze. Nie wszystkim dane było znaleźć swoje wspólne miejsce na tym historycznym cmentarzu. Spoczywa tu tylko jeden kapłan. To ks. Wiktor Mościcki, zesłaniec na Syberię, który po 43-letnim pobycie w Rosji powrócił pieszo do Opinogóry i był długoletnim proboszczem parafii. Wspominamy również ks. Brudnickiego zamordowanego w obozie niemieckim, zmarłych ks. Soszyńskiego i ks. Tadeusza Drozda.... Wieczny odpoczynek... „Za rodziców, bliskich, przyjaciół... „

Modlimy się w skupieniu, ogarniając myślą wszystkich drogich nam nieobecnych. Spacer po cmentarzu w ten późny listopadowy wieczór nie budzi żadnego lęku. Czujemy jakąś niezwykłą więź między sobą i tymi, którzy spoczywają w grobach. Nie ma zbędnych rozmów, rozbieganych myśli. Istnieje tylko modlitwa. Jedni drugim oświetlają drogę, pomagają przebrnąć przez kałuże, błoto. Atmosfera życzliwości jest wyjątkowa. Taka zapewne bywa na pielgrzymkach. Nasza trwa osiem dni.

Codziennie mniej światła na grobach, tylko nieliczne jeszcze płoną. To zupełnie nie przeszkadza. Światło jest w nas. Modlitwa staje się sprawą nadrzędną. Pojęliśmy istotę i właściwy cel intencji. Czujemy się wszyscy jakoś dziwnie przeobrażeni. Odwiedza nas ksiądz proboszcz, nie ukrywając radości, że pielgrzymkę zorganizowali sami wierni.

Ósmy wieczór różańca dobiega końca. Więdną kwiaty, gasną lampki na grobach. W nas coś jednak zostało. To był dobrze wypełniony obowiązek wobec zmarłych. Rozstajemy się z żalem. Wracamy inni. Czy jutro będziemy lepsi? Zobaczymy. W pamięci pozostaną niezapomniane wrażenia, refleksje nad życiem i śmiercią.

Kartka z pamiętnika 38

Tadeusz Drozd. *Kapłan dobrej nadziei...*

Z zakamarków mojej pamięci ni stąd ni zowąd pojawił się ostatnio tytuł dawno przeczytanej książki – tak adekwatnej do dzisiejszej rzeczywistości – *Grypa szaleje w Naprawie*. Powieści napisanej przez publicystę i poetę Jalu Kurka (1904–1983) o życiu mieszkańców pewnej podkarpackiej wsi. Akcja utworu toczy się w latach 20., po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Czasy odległe... a problemy ludzkie bardzo podobne. Konflikty, przemiany społeczne i kulturowe, także zarazy. Ludzie nie nosili wtedy, tak jak my dzisiaj, maseczek, nie kupowali pulsoksymetrów. Nie zamykano ich w domach i nie informowano codziennie o liczbie ofiar. Ratowali się własnymi metodami. Umierali, co jest naturalnym etapem życia, choć ono toczyło się nadal. Byli z pewnością przerażeni i bezsilni, jak my dzisiaj.

Wirus, który ponad rok temu z tak porażającą siłą zaatakował cały świat, nie oszczędzając także naszego kraju i nas samych, zaatakował także moich najbliższych. Choć trudno mi wykrzesać z siebie optymizm, nadzieję będę pielęgnowała i postaram się jej nie utracić.

Aby nie zawieść redakcji i moich czytelników, niniejszy wspomnieniowy felieton zdecydowałam się poświęcić komuś, kogo mieszkańcy Opinogóry i okolic pamiętają i wspominają z miłością. Szczególnie „Dzboniacy”, jak żartobliwie nazywał ich ksiądz Tadeusz Drozd – bo o nim będzie to wspomnienie – wieloletni, wspaniały proboszcz Opinogóry.

Urodził się 19 września 1922 r. w Barcicach nad Bugiem. Piękną rzeką, która już zawsze kojarzyć mu się będzie z traumatycznymi wydarzeniami z okresu II wojny światowej. Młody, niezwykle wrażliwy człowiek, zmuszony do oglądania wstrząsających scen, o których trudno nawet pisać, przyrzekł sobie, że – gdy przeżyje – poświęci się Bogu i ludziom. Nie chciał więcej widzieć zagłady dzieci i ich matek przeznaczonych do unicestwienia ze względów rasowych. Ze szczególną estymą odnosił się zawsze do matek i rodzin, które wymagały wsparcia, zarówno modlitewnego, jak i materialnego. Czynił to dyskretnie,



Fot. 62. Ksiądz Tadeusz Drozd
z mamą i bratankami.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.

tak jak zapewne czynili to jego poprzednicy i następcy. Bo prawdziwe miłosierdzie jest skromne i ciche, dalekie od efektownych poczynąń. Był synem organisty Józefa Drozda i Haliny z Gołębiewskich. Wychowany w wartościach i niepodważalnych zasadach szacunku do drugiego człowieka, nie mógł zostać kimś innym.

Przenosił się z rodzicami z miejsca na miejsce, a w czasie okupacji na kompletach uzupełniał swoją naukę. Jako ekstern otrzymał świadectwo dojrzałości w 1946 r. w Liceum im. Tadeusza Rejtana w Warszawie. Seminarium duchowne ukończył w Płocku, przyjmując święcenia 27 sierpnia 1950 r. Pierwszą duszpasterską pracę rozpoczął jako wikariusz w Winnicy koło Wyszogrodu. Obdarzony dobrym głosem i słuchem muzycznym a także znakomitą grą na organach, szybko zdobył uznanie wśród parafian. Zarówno dorosłych jak i dzieci, które ze szczególną intuicją potrafiły dostrzec aurę dobra wokół swojego katechety. W czasie wolnym od pełnienia obowiązków miał także własne zainteresowania, jakby to dziś powiedzieć – hobby. Było to wędkowanie. Być może tylko relaksująca i ekscytująca przygoda w otoczeniu natury, być może również ucieczka w świat ciszy i samotności. Kolekcjonował stare pieśni religijne, które przepisywał razem z nutami, powiększał też swój księgozbiór dotyczący II wojny światowej. Co do osobowych cech, które były widoczne, to radość życia.

Ogromna, emanująca na otoczenie. To zapewne cenny dar, który charakteryzuje człowieka i pogodnego z natury.

Z Winnicy przeniesiono kapłana do Kobylnik koło Płocka, gdzie przebywał trzy lata. I wreszcie Opinogóra. Samodzielne probostwo, które trwało od 10 lipca 1956 r. do 13 marca 1977 r. Dwadzieścia jeden lat pracy dla parafii. To długi okres, choć w tym rankingu zwyciężyłby niewątpliwie ksiądz Bogusław Grzybowski, administrujący parafią ponad 30 lat.

Wracając do naszego bohatera, księdza Tadeusza. Szybko zaskarbił sobie uznanie parafian. Powołał chór, który współprowadził ze znakomitym organistą panem Henrykiem Wilamowskim. Na wysokim poziomie wykonywano utwory religijne podczas mszy jeszcze w języku łacińskim. Po raz pierwszy usłyszałam w naszej opinogórskiej świątyni chorały gregoriańskie, tradycyjne, jednogłosowe śpiewy liturgiczne Kościoła łacińskiego.

Proboszcz zamieszkał w starej drewnianej plebanii. Choć malowniczo położonej, ale pamiętającej jeszcze czasy – jak żartobliwie mówiono – króla Ćwieczka. Marzył o nowej plebanii, domu, którego budowę rozpoczął. Sam zaangażował się w niektóre prace fizyczne. – Nie przystoją kapłanowi pokryte ranami dłonie, upychające szklaną watę w wewnętrzne ściany budynku – mówiliśmy mu często. – Kto będzie tak pięknie grał nam na organach? Często z mężem zakradaliśmy się do kościoła cichuteńko, aby nie przeszkadzać mistrzowi. Zatopiony w muzyce, zdawał się nie dostrzegać intruzów. A może nie chciał ich spłoszyć. To były niezapomniane chwile.

Nie były to łatwe lata dla naszego kapłana. Pełne pracy i planów. Wszystko niemalże od podstaw. Pełnienie funkcji modlitewnej i gospodarczej. Dwie władze – kościelna i administracyjna, państwowa. Łagodzenie konfliktów wśród ludzi i ta ciągła dyspozycyjność.

Byliśmy z mężem szaczczeni przyjaźnią proboszcza. Byłam świadkiem wielu wydarzeń z życia parafii. Dzisiaj, próbując je odtwarzać, sięgam często do materiałów źródłowych, opracowanych przez historyka, księdza profesora Michała Grzybowskiego z Płocka.

W rozmowach z dzisiejszymi mieszkańcami Opinogóry często zadawałam pytanie, czy nazwisko księdza Drozda coś im mówi? – A jakże – odpowiadali. – Mnie dawał ślub, mnie uczył religii, mnie chrzczył. – A mnie nawet przeświecił kropidłem, kiedy rozrabiałem – powiedział najstarszy z nich. Najmilej i najcieplej wspominają swojego proboszcza mieszkańcy Dzbonia. To u nich, ilekroć wracał z Przasnysza swoim wysłużonym motocyklem, zatrzymywał się choćby na krótką pogawędkę, czy... papieroska, wypalonego tuż przy drodze.

Niekonwencjonalny styl bycia proboszcza nie wszystkim odpowiadał. Jedni krytykowali, inni – szczególnie młodzi – podchodzili do tego zupełnie inaczej, choć zawsze z przynależnym kapłanowi szacunkiem. Pamiętam, jak spiesząc

się kiedyś na różaniec ujrzałyśmy kapłana, pomagającego młodym małżonkom układającym kamienie pod fundament domu. – Proszę księdza, różaniec – wołałyśmy! – Idźcie, idźcie, nie widzicie co robię? – Nie potraficie się czasem same pomodlić? Umknęliśmy szybko, aby kapłan i nas nie zechciał zatrudnić w... kamieniołomach. Taki był. Suche biograficzne fakty nie oddają żmudnej pracy księdza Drozda. Jego charyzmy, jego dyspozycyjności w kościele, konfesjonale, nierzadko przy łóżku umierającego.

Dwie władze – kościelna i państwowa. Każda bezwzględna i wymagająca. Często – niestety – krzywdząca. Kłopoty i zmartwienia nie omijały proboszcza. Szczególnie zatroskany był o katechezę, która przez dłuższy czas odbywała się w podziemiach kościoła, stających się czasem magazynem sprowadzanych tu materiałów budowlanych do przyszłej plebanii. Boleśnie przeżył kradzież orderów z gabloty w kościele, które były darem rodziny Petrykowskich. Ale najbardziej... zbliżające się rozstanie z Opinogorą. Częste wyjazdy do Płocka nie wróżyły nic dobrego. Wracał przygnębiony i smutny. W 1977 r. zdołał doprowadzić budynek plebanii do stanu surowego. Ale w niej nie zamieszkał. Decyzją Kurii w Płocku został przeniesiony na probostwo w Daniszewie. Nie pomogły interwencje, próby zatrzymania kapłana w Opinogórze. Decyzja władz kościelnych była nieugięta. Zupełnie jak w wojsku. Zegnaliśmy naszego proboszcza ze łzami w oczach. On sam, wzruszonym głosem dziękując swoim parafianom, odprawił ostatnią mszę świętą w kościele, w którym spędził 21 lat życia. Przyjdzie nam kiedyś ponownie żegnać dobrego pasterza, ale upłynie jeszcze wiele lat.

Ogromną pomocą naszemu kapłanowi w nowej parafii w Daniszewie służyli mieszkający w Zygmuntownie państwo Barbara i Tadeusz Kuczyńscy. Ludzie życzliwi, pragmatyczni, których przyjaźń bardzo sobie cenił. Razem pomogliśmy mu urządzić się w nowej parafii. Pamiętam bardzo dobrze te dni. Jego nowa plebania była duża, o ile wiem murowana, centralne ogrzewanie. Wokół żadnych domów, absolutne pustkowienie. Nieopodal drewnianego kościoła i plebanii tylko domek organisty. Korzystając z nieobecności księdza, urządziliśmy wnętrza jego nowego domu w sposób zbliżony do tych w Opinogórze. Mój mąż z pietyzmem odtworzył jego gabinet, co dla naszego przyjaciela było ogromną niespodzianką i radością. Wyrzuciliśmy tylko jego stare rozdeptane kapcie, za co dostaliśmy odpowiednią reprimendę. Było mu się bardzo trudno przyzwyczaić do nowego miejsca. Ilekroć wyjeżdżaliśmy, wracał z nami. Zatrzymywał się wtedy w pięknym domu państwa Kuczyńskich, spoglądając z okna na swój kościół w Opinogórze. Ogromnie tęsknił. Często, w różnym składzie osobowym, odwiedzaliśmy go w Daniszewie.

Pamiętam jedną dość zabawną przygodę, jaką przyszło nam przeżyć w jeden z mroźnych, zimowych dni. Zapakowawszy do samochodu jakąś żywność, aby

nie sprawić gospodarzowi kłopotu, postanowiliśmy zrobić mu niespodziankę, nie uprzedzając o wizycie. Odbyliśmy tę wyprawę razem z państwem Jadzią i Henrykiem Dutkowskimi, zaprzyjaźnionymi również z księdzem. Przekopując się przez zasy, marznąc, pomału zbliżamy się do Daniszewa. Zapomnieliśmy, że to okres kolędy i możemy księdza nie zastać.

Istotnie. Plebania nie oświetlona, zmrok i... ogarniająca nas beznadzieja. Nasi mężowie udali się do organistówki, aby zasięgnąć „języka”, ale wrócili z niepewnymi minami. Widocznie proboszcz jest gdzieś z kolędowaniem i nie wiadomo, kiedy wróci. Ot, problem! Mój mąż – jak zwykle – nie traci optymizmu. Twierdzi, że nie ma takiego sposobu, aby nie zdobyć twierdzy. Opukujemy okna, chodzimy wokół, wreszcie znajdujemy jedno małe, nie do końca domknięte, okienko od kotłowni. – Tu nawet kot się nie prześliznie – mówię. – No właśnie, możesz to zrobić tylko ty – odpowiada mąż. Dodaje jeszcze, że mam wzrost kota i sobie poradzę. – Ale nie jego wagę – warczę – i w dodatku nie zmieszczę się w kozuchu. – To ci go do środka wrzucimy, bo może będziesz musiała dłużej w tej piwnicy posiedzieć – zgodnym chórem odpowiadają zadowoleni z siebie... sadyści. Topografię kotłowni znam. Wiem, że z niej można się po kilku schodkach dostać do wnętrza domu, o ile tylko są... otwarte drzwi. Ruszam. Przy szamotaniu wypadła mi latarka i nic nie widzę. Ale, mimo strachu, miękko wylądowałam wreszcie w tej kotłowni. Namacałam drzwi do korytarza, trochę problemów z zasuwką i... wszyscy znaleźliśmy się wewnątrz plebanii.

W środku bardzo zimno. Panowie rozpalają w piecu w kotłowni, ja z Jadzią pod płytą kuchenną. Penetrujemy barek, nastawiamy rosół i, skracając sobie czas w oczekiwaniu na gospodarza, gramy w karty, z którymi nasi przyjaciele się nie rozstawali. Mijają godziny, pachnący rosół kusi, raczymy się nim bez wyrzutów sumienia, no bo chyba kolędującego proboszcza nikt na głodno nie wypuści. Około północy gospodarz wraca. Widząc nas, nieco przerażony, woła: – Chyba kominem weszliście? – Nie kominem – mówię – a okienkiem od kotłowni – czując się jak bohaterka spektaklu. Później były rozmowy, rozmowy... do białego rana.

Po trzech latach w Daniszewie przeniesiono księdza T. Drozda do Krzynowłogi Małej koło Przasnysza. Prawdę mówiąc, znudziły nam się te jego kolejne przeprowadzki, ale dzielnie podążaliśmy w zaprzyjaźnionej grupie za naszym proboszczem. W Krzynowłodze ksiądz poczuł się nieco lepiej. Nawiązał kontakty z nauczycielami, także z kolegami kapłanami z sąsiednich parafii. Aktywnie włączył się w życie nowego środowiska. Ufundował też płytę poświęconą martyrologii bohaterskich mieszkańców tej wsi w czasie II wojny światowej. Bo wspomnienia wojenne go nie opuszczały, stając się jego obsesją.

Dzięki swojej dobroci i pozytywnym cechom osobowości cieszył się do końca życzliwością parafian. Ale ciągle zmiany miejsc posługi oraz liczne problemy

podkopywały mu zdrowie. Powodowały różne schorzenia, a w efekcie zgon. Porażająca wiadomość o jego śmierci pogrążyła nas wszystkich w żałobie. Pojechaliśmy ostatni raz, aby w czymś pomóc. Pan Tadeusz Kuczyński przywiózł staruszką, ojca księdza, o którego nie było komu się zatroszczyć. Przebywał wówczas w Domu Opieki Społecznej siostr zakonnych w Wyszkanie. Wcześniej przemieszkiwał jakiś czas u swego syna, ale nie mógł przywyknąć do jego tułaczego życia z parafii do parafii. Nie mam prawa krytykować rodziny czy kogokolwiek, ale dużo tu było niejasności i niedomówień.

W rozmowie z księdzem dziekanem Witoldem Białym z Chorzel dowiedzieliśmy się o szczegółach śmierci księdza proboszcza Drozda. Zmarł nagle na zawał serca podczas pełnienia swoich obowiązków 20 lutego 1984 r., gdy do sąsiedniej parafii pojechał po dary dla swoich parafian. Dźwignął worek z ryżem, pragnąc go umieścić w samochodzie. Nikt mu w tym nie pomógł. Były jeszcze inne niewyjaśnione sprawy. Wspomniany tu już ksiądz Biały przeczytał nam fragmenty z pamiętnika zmarłego proboszcza. Na krótko przed śmiercią pisał: – *Dzisiaj pokonałem zawał. Dwa tygodnie temu pochowałem sąsiada księdza Feliksa Szyszkiewicza, który zmarł nagle. Gdyby to mnie teraz spotkało, miałoby parafianie niezły ubaw. Nota bene ks. Feliks był moim dobrym kolegą, jeszcze z czasów LO w Sochaczewie.*

– Twoi parafianie, kochany przyjacielu kapłanie, nie mieli „ubawu”. W ten zimowy, mroźny dzień Twojego pogrzebu, żegnały Cię tłumy wiernych z trzech parafii. Zamarzające łzy mieszały się z naszymi modlitwami i serdeczną pamięcią o Twoich dobrych czynach i wielkim sercu!

Nabożeństwo żałobne odbyło się w Krzynowłodze Małej 24 lutego 1984 r. Zgromadziło... kilkudziesięciu księży i tłumy, tłumy wiernych z trzech parafii. Śp. ksiądz Tadeusz Drozd pochowany został w rodzinnym grobowcu na starym cmentarzu w Wyszkanie.

PS

Po pogrzebie herbata w gościnnej plebanii w Wyszkanie. W tej samej, w której odbyło się w 1920 r. to niesławne spotkanie Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polskiego (Dzierżyńskiego, Marchlewskiego i Kona). Mimo woli pojawiała się ukradkiem pytanie – czy był to ten sam stół i te same krzesła? No cóż, taka mała dygresja.

Kartka z pamiętnika 39

Dotyk ducha miejsca

Nasza gmina znana jest z tradycji rolniczych, ale przede wszystkim ma bogatą przeszłość historyczną. Właśnie ta kulturowa przeszłość sprawia, że Opinogóra w jakiś specyficzny sposób promieniuje daleko poza obszar powiatu, województwa, a nawet kraju. Jakby tę szczególną energię emitował jakiś wyjątkowy duch tego miejsca, które czasem nazywane bywa mazowieckim Wawelem. Czy ma to związek z narodowym, romantycznym wieszczem Zygmuntem Krasińskim, którego doczesne szczątki spoczywają w podziemiach miejscowego kościoła? Zapewne tak. Ale czy tylko? Od ponad wieku przybywający w to miejsce przybysze, widząc z daleka bielejącą w słońcu sylwetkę neogotyckiego zameczku, powiadali, że Opinogóra świeci. Ja również przed laty doznałam tego dojmującego odczucia.

Ze wzruszeniem i wdzięcznością myślę o ludziach, którzy nie tylko wspierali mnie w odkrywaniu romantycznej Opinogóry, ale także przeżywali ze mną odległe już dziś w czasie fragmenty życia. Była to moja szczególna wędrówka w czasie, trwająca tu od ponad półwiecza.

Zapewne ten duch miejsca sprawia, że mieszkańcy Opinogóry i całej gminy – a także inne osoby związane z nią rodzinnie lub zawodowo – charakteryzują się szczególnym poczuciem wspólnoty, odczuwając potrzebę społecznej aktywności. Wspólne muzykowanie, chóry kościelne i śpiewające zespoły, kluby – seniora i dobrej gospodyni. I dobre „duchy” sprzyjające tej aktywności: kolejni wójtowie i gminni samorządowcy, szefowe i instruktorzy Gminnego Ośrodka Kultury oraz Gminnej Biblioteki Publicznej, a także Towarzystwo Miłośników Opinogóry i własne lokalne czasopismo.

Dwadzieścia pięć lat temu pojawiła się w gminie „Gazeta Opinogórska”. Pomysł wydawania kwartalnika powstał w grupie inicjatywnej Towarzystwa Miłośników Opinogóry. Idea dość szybko trafiła na podatny grunt. Pomysłowi powstania lokalnej gazety przyklasnął wówczas, nieżyjący już dziś, wójt gminy Stanisław Wieteska z wykształcenia historyk. Znalazły się potrzebne fundusze, znaleźli się ludzie tworzący zespół redakcyjny. Ochoczo przystąpiono do pracy.

Powstała koncepcja programowa i szata graficzna (zaprojektowana przez mojego męża Janusza Królika). Także i ja znalazłam się w gronie osób piszących.

Z doświadczenia wiem, że nic nie dzieje się bez powodu. Czasem samo życie pisze nam scenariusz i – prawie gotowy – wkłada w nasze ręce. Wystarczy to zaakceptować, albo odrzucić. Decyzja zależy od nas. Obydwoje z mężem dokonaliśmy wyboru wiążąc się pracą dla Opinogóry na długie lata. Natłok wydarzeń, wielorakość kontaktów i ciągła dyspozycyjność zmuszała do identyfikacji z problemem nierzadko wykraczającym poza obowiązki służbowe. Było to korzystne dla instytucji, gorsze niekiedy dla nas. Mieszkaliśmy na terenie zespołu muzealnego, stąd nasze życie osobiste przemieszczało się z zawodowym. Trudno było to rozgraniczyć. To prawda, było ciekawe, czasem nawet fascynujące, ale jednocześnie bardzo trudne i odpowiedzialne.

Każdy człowiek potrzebuje a nawet pragnie jakiejś przestrzeni tylko dla siebie. Mieć swoje miejsce, gdzie mógłby się schronić, ukryć! W naszej sytuacji było to niemożliwe. Cóż, taka jest rola gospodarza. Coś za coś! Kilka lat temu na promocji książki poświęconej mojemu mężowi, napisanej przez Irenę Borową, wspominałam o tym.

Początki pracy nie były łatwe. Nie było takich udogodnień, jak dzisiaj. Aby powiększać bazę muzealną, musieliśmy sami, systemem gospodarczym ją budować. Przywilejem była młodość i ochota do pracy, ze świadomością służebnej roli dla Kultury. Działaliśmy z mężem na zasadzie zaczynu, drożdży, aby później – po latach – zobaczyć efekt swojej pracy. Ciesząc się z każdego, nawet najmniejszego sukcesu. Byliśmy niejako strażnikami depozytu ofiarowanego nam przez los. Dzisiaj myślę, że działając w określonych, niełatwych warunkach nieźle wykorzystaliśmy swój czas, wypełniając obowiązki wynikające z naszej pracy. Tak przynajmniej stało się w moim przypadku.

Kiedy po śmierci męża wydawało mi się, że nic mi nie pozostało, tylko wspomnienia, postanowiłam je ożywić. Nie był to tylko rodzaj terapii, To także obowiązek, aby różne zdarzenia zachować i uchronić od zapomnienia. Tak narodził się – inspirowany specyficzną aurą Opinogóry – pomysł napisania przeze mnie osobistych wspomnień z tego miejsca. W ten sposób powstał cykl *kartek z pamiętnika* prezentowany przez kilka lat na łamach „Gazety Opinogórskiej” pod wspólnym tytułem *Duch miejsca*.

Miałam świadomość, że moje wspomnienia na tle ważnych wydarzeń jakich świadkami byliśmy i jesteśmy dzisiaj, mogą wydawać się banalne lub mało istotne. To tak gwoździ wyjaśnienia, na wypadek wątpliwości: „na co to?” czy „po co to nam?”. Ale przecież „Gazeta Opinogórska” jest od ćwierćwiecza specyficzną kroniką różnych wydarzeń i kiedyś po latach może spełnić ważną przyczynkarską rolę dla młodych ludzi interesujących się swoją miejscowością. Może też nieco starszych inspirować do wielu sentymentalnych podróży w czasie.

Nr 1

Rok 1996

GAZETA

OPINOGÓRSKA

KWARTALNIK TOWARZYSTWA MIŁOSNIKÓW OPINOGÓRY I SAMORZĄDU TERYTORIALNEGO

„Szانونi Państwo !!!”

Oddajemy do Waszych rąk pierwszy numer pisma Towarzystwa Miłośników Opinogóry. A więc naszej wspólnej gazety.

Pragniemy na jej łamach poruszać wszystkie problemy dotyczące historii, a także życia codziennego, wydarzeń kulturalnych oraz wiadomości samorządowych opinogórskiej gminy.

Warto ocalić od zapomnienia historię gminy, jej mieszkańców, przyrody i krajobrazów, lokalnej atmosfery i wydarzeń, tych co miały miejsce kiedyś i obecnie. To wszystko stanowi naszą „małą ojczyznę”.

Chcemy na szerokich łamach przywrócić się problemom dotyczącym każdego mieszkańca gminy.

Piszcie o Waszych radościach i smutkach, zamieszczajcie będziemy również wszelkie ogłoszenia okolicznościowe.

Będziemy dążyć do umożliwienia wyzbycia się anonimowości mieszkańców, przybliżania problemów, z którymi się borykają, będąc otwarci na pomysły czytelników, na ich propozycje tematyczne, a przede wszystkim na zrozumienie i sympatię.

Redakcja.

JESTEM HONOROWYM OBYWATELEM GMINY

– Jak scharakteryzowałby Pan gminę, którą kieruje już czternasty rok?

Opinogórska gmina należy do jednej z największych w województwie. Liczy ok. 14 tys. hektarów, 40 sołectw i 6,4 tys. mieszkańców. Jest typowo rolniczą, jedną z najlepiej usprzętowionych, gdzie średnia wielkość gospodarstwa jest dość duża, bo wynosi 11 ha. Słynie też z bardzo dobrych gleb i wysokich plonów. Uprawia się tu głównie pszenicę, buraki cukrowe (ponad 10 proc. ich masy towarowej w województwie pochodzi z tej gminy), jęczmień i rzepak. Znana jest również z hodowli bydła i trzody chlewnej.

– Słynie też z dwóch pałaców: gminnego i Krasińskich...

W tym pięknym obiekcie, siedzibie gminy, w której rozmawiamy tylko 54 proc. należy do samorządu; ale wraz z innymi instytucjami na pewno dobrze służy mieszkańcom. Natomiast Muzeum Romantyzmu ze wspaniałym zespołem zabytkowo-pałacowym rzeczywiście przysparza nam splendoru: dzięki niemu Opinogóra jest często bardziej znana niż Ciechanów.

– A jak ocenia Pan miejscową kulturę?

– Uważam, że nasz GOK jest przynajmniej. Działa w nim zespół dziecięcy „Wesołe nutki”, kabinety, biblioteka. Doceniamy też rozwój sportu, stąd liczne zawody sportowe, m. in. o puchar wójty. W gminie funkcjonuje aż dziewięć jednostek OSP, wszystkie z samochodami stra-

Rozmowa ze Stanisławem Wieteską,
wójtem gminy Opinogóra



żakami, które też organizują – podobnie jak miejscowi wędkarze – zawody o puchar wójty. Obecnie staramy się powołać w gminie orkiestrę strażacką.

– Dużo jest w gminie zakładów usługowych i handlowych?

– Na całym naszym terenie działa ok. 40 sklepów, kilka placówek usługowych, m. in. SKR i ubojnia w Zygmuntowie, mała drukar-

nia we Władysławowie, Bank Spółdzielczy, poczta, ośrodek zdrowia, który zatrudnia czterech lekarzy, w tym dwóch stomatologów. Upadł jednak PGR; nie mam jednak zastrzeżeń do jego dzierżawcy; ziemia jest dobrze zagospodarowana, regularnie uiszczane podatki.

– A jacy są ludzie w gminie Opinogóra?

– Różni, jak wszędzie. Wydaje mi się, że z większością mieszkańców udało mi się znaleźć wspólny język.

– Ale mieszka Pan w Ciechanowie...

– Tak, choć pochodzę z Konopek. Mam jednak ogromną satysfakcję, że jestem jedynym wójtem, któremu rada gminy nadała przed dwoma laty honorowe obywatelstwo.

– Opinogórska gmina uważana jest za jedną z bogatszych w województwie; czy nie ma tu ubogich?

– Oczywiście, że są. Ok. 550 mieszkańców pozostaje obecnie bez pracy, w tym prawie 200 bez prawa do zasiłku dla bezrobotnych. Ok. 300 najbardziej potrzebujących osób korzysta z pomocy społecznej w naszym GOPS. W tym roku opieka społeczna w gminie pochłonie aż 4,8 mld starych zł., z czego samorząd wyklada 1,7 mld st. zł. Aktualnie 21 osób zatrudniamy w ramach prac publicznych, gdyż chcemy pomóc bezrobotnym. Choć gmina uchodzi za bardziej

dokończenie na str. 8

Fot. 63. Pierwsza strona pierwszego wydania „Gazety Opinogórskiej”, a na niej wywiad z wójtem Stanisławem Wieteską.

Oczywiście z mojej strony to nie tylko sentymenty. Nie da się wyrzucić do śmietnika niepamięci wielu lat życia i wspomnień. Nie jest to łatwe. Dzieląc się nimi, czuję się niekiedy tak, jakbym sama siebie oddawała po kawałku. Brzmi to jak kanibalizm, ale to tylko przenośnia zasłyszana w jakichś wzmiankach o „pisarzach pamiętników”. Tak naprawdę chcę zachować od zapomnienia koloryt tamtych lat, tamtych wydarzeń, tamtych ludzi związanych w pewnym sensie z muzeum i Opinogorą. Wiele z nich jest już po drugiej stronie ziemskiego bytu. Wydaje się, że jestem im to poniekąd winna.

Po kilku latach tych wspomnień „uzbierało” się tyle, że pojawiła się propozycja, aby je wydać w formie zbioru. Podobnie jak przed laty redakcja przygotowała do wydania zbiór publikowanych w „Gazecie Opinogórskiej” znakomitych felietonów pana Henryka Przygodzkiego, pod tytułem „Widziane z Opinogóry”. Oczywiście miałam świadomość tego, jak dużą, a nawet ryzykowną biorę na siebie odpowiedzialność już wtedy, gdy moje wspomnienia ukazywały się w kolejnych numerach naszej gazety. Dziś to poczucie odpowiedzialności jeszcze wzrosło. Ale stało się.

* * *

Byłabym osobą niewdzięczną, gdybym nie wyraziła słów wdzięczności ludziom, którzy bezpośrednio lub pośrednio przyczynili się do publikacji moich wspomnień. Przede wszystkim panu dr. Zbigniewowi Ptasiewiczowi – wieloletniemu redaktorowi „Gazety Opinogórskiej”, pomysłodawcy wydania tego zbioru. Dziękuję mu za redakcję tekstów wspomnień, ich opracowanie graficzne i przygotowanie do druku. Również za jego cierpliwość w kontaktach z „humorzystą” czasem autorką.

Dziękuję panu Piotrowi Czyżykowi, wójtowi gminy Opinogóra Górna oraz Radzie Gminy za życzliwość i decyzję o pokryciu kosztów wydania. Również pani sekretarz gminy Beacie Golańskiej za pomoc i uśmiech.

Dziękuję dyrekcji Muzeum Romantyzmu za wyrażenie zgody na udostępnienie i cyfrową obróbkę wielu fotografii, które perfekcyjnie przygotował pan Michał Krzyżanowski.

Dziękuję moim przyjaciółom, emerytowanym dziennikarzom – Alicji i Tadeuszowi Bonikom za to, że we mnie wierzyli. Tak bardzo nie chciałam ich zawieść.

Dziękuję Ani Wańkowicz-Kalińskiej za jej pamięć i miłość do Opinogóry. I choć jest gdzieś daleko za oceanem, pozostaje blisko w moim sercu.

Dziękuję pani Magdalenie Wiercińskiej za wspaniałe lektury, ich dobór i nowości wydawnicze, których zazdroszczą mi nawet czytelnicy warszawskich bibliotek.

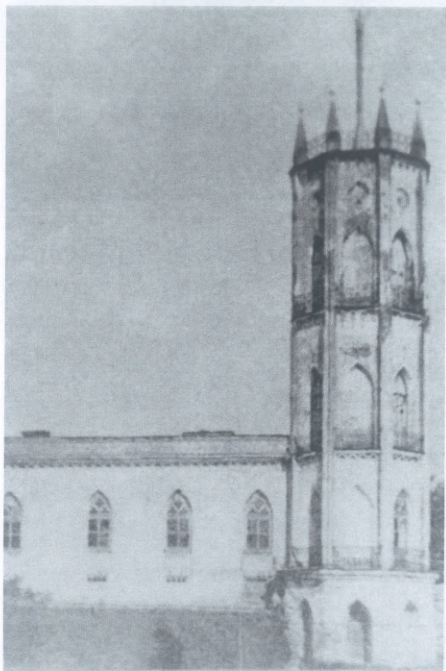
Dziękuję wreszcie najważniejszym osobom w moim życiu – najbliższej rodzinie, przede wszystkim synowi Piotrowi. Ziściły się jego marzenia, których

nie mógł sam zrealizować. Był ze mną zawsze, wspierając mnie w „twórczych” poczynaniach, dodając mi odwagi.

Kłaniam się i dziękuję wszystkim kochanym moim Czytelnikom za ich wyrozumiałość i dobre słowa, a także... ceniom tych, którzy odeszli i gdzieś spoza chmurki cieszą się dziś razem ze mną.

Bożena Królik

Fotografie z Opinogóry



Fot. 64. Jedna z najstarszych fotografii zamku w Opinogórze, koniec XIX w.

Źródło: Muzeum Romantyzmu.



Fot. 65. Domek z podcieniem, okres międzywojenny.

Źródło: Muzeum Romantyzmu.



Fot. 66. Zameczek w Opinogórze zniszczony po II wojnie światowej.

Źródło: Muzeum Romantyzmu.



Fot. 67. Artykuł o Opinogórze w lokalnym czasopiśmie „5 rzek” z 1957 r.

Źródło: CTN.



Fot. 68. Dyrektor Janusz Królik z grupą pierwszych turystów prezentuje popiersie gen. W. Krasińskiego (rzeźba F. Bosio).

Źródło: Muzeum Romantyzmu.



Fot. 69. Radość macierzyństwa. Autorka wspomnień z synem Piotrem, Opinogóra lata 60.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.



Fot. 70. Autorka wspomnień ze swoją mamą i synem Piotrem, Opinogóra 1969 r.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.



Fot. 71. Autorka wspomnień, Opinogóra lata 70. XX w.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.



Fot. 72. Autorka wspomnień z synem Piotrem na łyżwach, staw opinogórski, lata 70. XX w.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.



Fot. 73. Autorka wspomnień z mężem Januszem, Opinogóra lata 70. XX w.
Źródło: Ze zbioru B. Królik.



Fot. 74. Autorka wspomnień w opinogórskim parku, 1997 r.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.



Fot. 75. Autorka wspomnień z aktorami E. Wawrzoń i J. Bukowskim, Opinogóra lata 90. XX w.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.



Fot. 76. Janusz Królik Ciechanowianin roku, obok syn Piotr.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.



Fot. 77. Piotr Krasieński ze strażakami ochotnikami.
Opinogóra 2005 r.

Źródło: Ze zbioru B. Królik.



Fot. 78. Budynek dawnej oficyny dworskiej w Opinogórze, obecnie
w kompleksie Muzeum Romantyzmu.



Fot. 79. Dwór w kompleksie Muzeum Romantyzmu w Opinogórze.



Fot. 80. Oranżeria w kompleksie Muzeum Romantyzmu w Opinogórze.



Fot. 81. Wnętrze kościoła w Opinogórze.

Źródło: TMO.



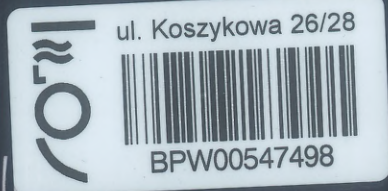
Fot. 82. „Mazowiecki Wawel” podziemia kościoła w Opinogórze z grobami Krasieńskich.

Źródło: Piotr Królik.



Fot. 83. Pomnik Zygmunta Krasińskiego w Opinogórze w jesiennej scenerii.

Źródło: Muzeum Romantyzmu.



Bożena Król

Miejsce urodzenia – Rodzinny dom nad Bzurą – Chodaków (znany przed wojną z jednej z najnowocześniejszych fabryk jedwabiu), dzisiaj wtopiony w miasto Sochaczew

Edukacja – Trzy dyplomy: Studium Medyczne (bakteriologia), Studium Bibliotekarskie i Studium Żywnościowe w Warszawie

Znaki szczególne – Plamka tatarska

Zainteresowania – Literatura historyczno-obyczajowa, pamiątki, muzyka

Cechy osobowe – Emocje, otwartość na ludzi, poczucie humoru, szczerość (bez fałszu)

Cechy nabyte – Tolerancja

Wady – Nieliczne poza brakiem cierpliwości i gadulstwem

Nie toleruję – Zdrady

Ulubiony kolor – Lawenda

Kwiaty – Wszystkie wczesnowiosenne, szczególnie kaczeńce

Kamień – Księżycowy

Drzewa – Lipa i „Uparty Mazur” – dąb w okolicy Młocka

ISBN 978-83-936238-5-3



9 788393 623853 >

